

 HARLEQUIN[®]
TM

ROMANS
HISTORYCZNY



ELIZABETH
ROLLS

Śledztwo lorda Remingtona

Elizabeth Rolls

Śledztwo lorda Remingtona

Tłumaczenie:
Melania Drwęska

PROLOG

Marzec 1802 roku

- Niech to diabli! - zaklął lord James Cambourne, spoglądając z niedowierzaniem na poturbowane oblicze młodego kuzyna Nicka Remingtona. - Co się stało, do jasnej cholery? Czy był tu doktor?

Paget, służący młodzieńca, skinął głową.

- Tak, milordzie. Natychmiast po niego posłałem. Właśnie wyszedł.

- I co?

Służący troskliwie opatulił kołdrą młodego pana.

- Panicz ma tylko trochę siniaków, pęknięte żebro i guza na głowie.

- Tylko?! - obruszył się James. - Na miłość boską! Jak możesz mówić o tym tak spokojnie! Czy to zwyczajne u tego chłopaka?

- Nie. - Paget spojrzał na Nicka, który poruszył się raptownie. - Może moglibyśmy przejść do salonu, milordzie? - zapytał, ścisząc głos. - Doktor Greaves mówi, że on powinien teraz spać.

- James? - Głos Nicka był cichy jak szept. - To ty?

Oczy o zapuchniętych powiekach, w tym jedno z imponujących rozmiarów sińcem, otworzyły się i posłały niebieskie spojrzenie. Naznaczona sińcami i zadrapaniami

twarz Nicka była biała jak prześcieradło.

- Tak, to ja - odparł James. - Co ci strzeliło do głowy, idioto?
- dodał szorstkim tonem, który miał zamaskować poczucie ulgi, że kuzyn się ocknął.

- Rzeczywiście zachowałem się jak idiota - wykrztusił Nick; wargę miał rozciętą. - Czy Paget posłał po ciebie?

- Ależ oczywiście, że tak - wtrącił się służący. - Przecież napadli na panicza!

- Co takiego?! - zdumiał się James.

Nick spojrzał na Pageta.

- Powiedz mi, że nie posłałeś po mamę i papę.

- Oczywiście, że nie - uspokoił go służący. - Tylko po jego lordowską mość.

- Dzięki Bogu. - Nick spróbował usiąść, ale opadł na poduszki. Kołdra się zsunęła, odsłaniając posiniaczony nagi tors.

Widząc to, James po raz kolejny zaklął.

- Pewnie wyglądam równie okropnie, jak się czuję - wyszeptał Nick.

- Leż na tych cholernych poduszkach! - James położył kuzynowi rękę na ramieniu, starając się go nie urazić. - Nie mam ci za złe, że wolisz nie ściągać rodziców, ale jeżeli chcesz, żebym ich nie wezwał, to będziesz robił, co ci każę.

- Tyran... - mruknął z bladym uśmiechem Nick.

- Radzę ci w to uwierzyć - rzucił James. - Kto cię tak urządził? - zapytał, gdyż wyglądało to na umyślne brutalne pobicie.

- Czy już wspominałem, że postąpiłem jak idiota? - Nick się

skrzywił.

- Owszem - potwierdził James. - Choć całkiem niepotrzebnie, bo to oczywiste. Mów dalej.

- Cóż, straciłem trochę pieniędzy.

- Trochę? To znaczy ile?

- Hm... dosyć dużo. Dwie pięćsetki.

James powstrzymał się od uwag, choć same cisnęły mu się na usta.

- Dwie pięćsetki - powtórzył z przekąsem - Przegrałeś tysiąc funtów w... Co to było? Karty? Kości? Konie?

- W karty - odparł Nick. - Rzecz w tym, że...

- Nie byłeś w stanie zapłacić. - James nawet nie próbował ukryć sarkazmu. Tysiąc funtów to więcej niż roczna pensja, jaką młody kuzyn dostawał od rodziców.

- Tak - odparł Nick słabym głosem, zamykając oczy.

Paget wykonał gest w stronę drzwi. W gruncie rzeczy miał rację, uznał James. Nick jest bezpieczny i został opatrzony; jego opowieść może spokojnie poczekać. Jednak poturbowany uniósł powieki i wyjął:

- Nie mogłem zapłacić, więc on sprzedał moje weksle.

- Ale kto?

- Nazywał się Hensleigh. Kapitan Hensleigh.

- Nigdy o nim nie słyszałem - stwierdził James i obiecał sobie, że kapitan Hensleigh wkrótce o nim usłyszy. - Piechota czy marynarka?

- Co?

- Co to za kapitan? - zapytał James.

- Och, kanciarz, jak przypuszczam - odparł, krzywiąc się

Nick.

Kapitan Kanciarz. Wspaniale, pomyślał James. Kuzyn po raz pierwszy przyjechał do Londynu i od razu przegrał z zawodowym szulerem więcej, niż był w stanie zapłacić, po czym został brutalnie pobity.

- Macie może kawę? - zwrócił się do Pageta.

- Już wcześniej uprażyłem i zmieliłem ziarna - odparł służący - ale pan Nick zasnął. Zaraz przyniosę.

- Przepraszam, powinienem był ci zaproponować - wymamrotał Nick.

James prychnął pogardliwie.

- Przyjmijmy, że brak ci manier, podobnie jak rozumu.

- Przynieś kawę, Paget - poprosił Nick. - Bądź tak miły.

- Tak jest, proszę pana.

- Czy istnieje możliwość, że napastnicy wrócą? - James zwrócił się do kuzyna. - Gdzie to się stało?

- Na tyłach Fleet Street, w pobliżu Strandu.

- Jakie licho cię tam poniosło?

- Szukałem Hensleigha - odparł Nick. - Dał mi tydzień, który jeszcze się nie skończył, ale wiedziałem już, że nie będę w stanie zapłacić, i chciałem go poprosić o więcej czasu.

- Co takiego?! Może jeszcze zamierzałeś wstąpić w drodze powrotnej do St. Clement Danes i pomodlić się o cud? - zakpił James.

- Nie. - Nick się zaczerwienił. - Chciałem pójść do ciebie i... poprosić o radę. Nie znalazłem Hensleigha i w drodze powrotnej wpadłem na tych, co mnie pobili.

- Przede wszystkim, poradziłbym ci, żebyś trzymał się

z daleka od takich spelunek. Niestety, co się stało, to się nie odstanie. Powiedz mi, dlaczego nie przerwałeś gry, kiedy sprawy przybrały zły obrót? – zapytał James, myśląc, że to odwieczny problem.

– Ja... liczyłem na to, że się odegram, bo na początku wygrałem. I to dosyć dużo. A potem...

– ...przegrałeś, ale tylko trochę – dokończył James. Stara, dobrze znana historia.

– Tak – przyznał Nick – i nawet dosyć szybko odzyskałem te pieniądze, jednak później...

– ...naprawdę zacząłeś przegrywać. Nie zorientowałeś się, że cię ogrywają?

– Jak widać, nie – mruknął Nick, mnąc w palcach pościel. – Co mam teraz zrobić? Nie jestem w stanie spłacić długu, a nawet gdybym dysponował taką sumą, to nie zostałoby mi już nic na mieszkanie oraz życie.

– Właśnie. – James pokiwał głową. – Czy chociaż to ci się spodobało?

– Ale co?

– Karty. Gra. Uczucie podniecenia – odparł James.

Postanowił spłacić dług Nicka, musiał jednak wy badać, czy nie będą to wyrzucone pieniądze, czy aby chłopak nie ma żyłki do hazardu. Przecież, jeżeli on się nie ożeni, to jego majątek przejdzie zgodnie z prawem na ojca Nicka, Williama, a młodzieniec będzie następny w kolejce.

– Och, nie. – Nick skrzywił się. – Nieszczególnie.

– Naprawdę? – James nie był pewny, czy chłopak mówi szczerze, czy tylko odpowiada zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Cóż, przyjemnie było wygrywać - przyznał Nick.

- Tak być powinno.

- Wolę jednak, na przykład, gonitwy z przeszkodami - stwierdził Nick. - Nawet jeżeli nie wygram, to konna jazda stanowi ogromną przyjemność.

- A hazard cię nie bawi?

- Nie. - Nick przecząco pokręcił głową. - Było mi niedobrze przez większość czasu.

James odetchnął z ulgą.

- Przyjedź do mnie latem, to się pościgamy. Mam źrebaka, którego możesz dla mnie ujeżdżać, bo ja jestem dla niego za ciężki.

- Chętnie, ale nie wiem, czy papa spuści mnie po tym wszystkim ze smyczy. Będę musiał napisać do niego, co zrobiłem, i...

- Ja to załatwię - przerwał mu James. - Po co denerwować twoich rodziców.

Pomyślał, że choć William i Susan to dobrzy ludzie, wymówkom nie byłoby końca, a Nick już dostał niezłą nauczkę i wyciągnął z niej wnioski. Poza tym William nie byłby w stanie spłacić takiego długu, a jego było na to stać.

- Nie! - Tym razem Nick zdołał usiąść, klnąc z bólu. - Chciałem twojej porady, a nie twoich pieniędzy!

- Gdybym w to nie wierzył, nie dostałbyś ani jednego, ani drugiego. Posłuchaj mnie, młodzieńcze, nie ty pierwszy zrobiłeś z siebie durnia w Londynie, a i ja nie byłem wyjątkiem. - James skrzywił się na samo wspomnienie. Ośłupiała mina Nicka uświadomiła mu, że kuzyn ma dopiero

dziewiętnaście lat.

- Ty?!

- Nie urodziłem się stateczny i przyzwoity, wręcz przeciwnie.

- Nie to miałem na myśli! - Nick spiekł raka. - Trudno mi sobie wyobrazić, że mógłbyś popełnić takie głupstwo.

- Możesz mi wierzyć, że nie masz monopolu na głupotę. - James pomyślał, że zrobił coś jeszcze gorszego. - Rzecz w tym, że ktoś mnie kiedyś spłacił i nie pozwolił, bym się jej odwdzieczył.

- Jej? - Nick wytrzeszczył oczy. - To znaczy komu?

- Wszystko załatwię i potraktuję to jako próbę wyrównania dawnych zobowiązań - oświadczył James. Nie był wcale pewny, czy Elizabeth spojrzy na to w ten sposób.

- Wiesz co, teraz poczułem się jak śmieć, nie tylko jak idiota - wyznał Nick. - Wszystko ci zwrócę, czy chcesz tego, czy nie.

- Dobrze. - James wolał nie mówić, że pieniądze nie mają znaczenia. Jeżeli Nick sądził inaczej, to tym lepiej. - Powiedz mi teraz, komu i gdzie mam zapłacić. Podaj mi też zamiary kapitana Hensleigha.

Nick westchnął ciężko.

- Nie znam ich, ale bez trudu trafisz do tego nędznego lokalu Pod Kogutem.

- Pod Kogutem? Tak nazywa się to miejsce?

- Tak. To stara piwnica. Pewnie dawniej odbywały się tam walki kogutów. Hensleigh zjawia się prawie każdej nocy. Nie będzie ci jednak potrzebny, bo moje weksle kupił gość, który nazywa się Kilby. Jednemu z napastników wymknęło się to

nazwisko, ale pieniądze kazali mi przynieść do gospody o nazwie Służąca i Sroka.

Powrót Pageta z tacą dał Jamesowi chwilę na zastanowienie. Usiadł na krześle przy łóżku i zaczął wolno sączyć kawę. Najważniejsze to spłacić dług, zanim Nick znów zostanie pobity przez zbirów Kilby'ego. A potem... weźmie się za kapitana Hensleigha.

- James?

- Tak?

- Chyba nie myślisz o czymś nierozsądnym?

- Nie - skłamał gładko James. - Natomiast uprzytomniłem sobie, że twoi rodzice lada moment zjawią się w Londynie. - Udał, że nie słyszy jęku kuzyna. - Możesz na kilka tygodni wyjechać do mojej posiadłości w Chiswick, dopóki nie przestaniesz wyglądać jak psu z gardła wyjęty i zebro ci się nie zrośnie.

Nick uśmiechnął się blado.

- To miło z twojej strony. Myślisz, że mama nie będzie chciała wpaść tam z wizytą? Chiswick nie leży zbyt daleko od Londynu.

- Na pewno nie, jeżeli napomknę twojemu ojcu, że zabrałeś ze sobą kobietę.

Nick jeszcze głębiej zapadł się w poduszki i ku rozbawieniu Jamesa zarumienił pod siniakami.

- Niech cię diabli! Jeszcze papa gotów pomyśleć, że uganiam się za spódniczkami!

- A nie jest tak? - zapytał z uśmiechem James. - No cóż, to twoja decyzja. Wolisz, żeby mama zrobiła raban jak kwoka

nad pisklęciem?

- Dobrze już, dobrze. Masz rację. Dziękuję.

- Pojedziemy moim powozem, jak tylko doktor uzna, że możesz podróżować. - James upił łyk kawy. - Tak przy okazji, świetnie się składa. Myślisz, że Paget zechce wyznać sekret znakomitej kawy mojemu lokajowi?

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzy tygodnie później

James uniósł wzrok znad stolika i spojrzał z niedowierzaniem na swojego przeciwnika.

- To już tysiąc funtów, Hensleigh. Chyba pora się rozliczyć?
- Z przesadną uwagą wymawiał każde słowo, jakby się bał, że zacznie bełkotać. - Ups! - mruknął z roztargnieniem, gdy niby mimochodem przewrócił kieliszek z burgundem.

Hensleigh uśmiechnął się szeroko i postawił kieliszek.

- Och, daj pan spokój, Cambourne. Przecież nie jestem tchórzem, wręcz przeciwnie. Musi pan dać mi szansę, abym się odegrał. Wszystko albo nic w następnym rozdaniu? Zwycięzca bierze wszystko?

James wolałby zakończyć tę farsę i wyjść z wygraną lub przynajmniej z weksłami. Prawdę mówiąc, dosyć już czasu spędził Pod Kogutem. Odnalazł to miejsce bez specjalnego wysiłku, natomiast wejście do środka okazało się trudniejsze, choć podał hasło, które znał od Nicka. Poskutkowało dopiero korona wsunięta w rękę osiłka pilnującego drzwi. Hensleigha wypatrzył już przy pierwszej wizycie. Był to wysoki mężczyzna o rzedniejących rudawych włosach, obcesowych manierach i dość prostackiej twarzy. James nie podszedł jednak do niego, tylko zaczął grać w kości przy innym stoliku, pilnując, by nie wygrać lub nie stracić zbyt wiele, gdy tylko się

zorientował, jak wyważone są kostki. Ubrał się też odpowiednio, starając się wyglądać i zachowywać jak zasobny dziedzic przybyły prosto z prowincji, czyli wręcz idealny gołąbek dojrzały do oskubania. Przedstawił się jako zwykły pan Cambourne, gdyż w tej sytuacji jego lordowski tytuł byłby tylko przeszkodą. Obserwując grających w karty, doszedł do wniosku, że Hensleigh nie jest jedynym szulerem w tym pomieszczeniu, i stosownie do tego zaplanował strategię.

Zgodnie z jego przewidywaniami, pierwszą partię wista pozwolono mu wygrać. Gdy później Hensleigh podszedł, aby pogratulować, zaczął narzekać, że przeciwnik nie okazał się na tyle dobry, by gra z nim dostarczyła pożądanych emocji. Za drugim razem trochę przegrał, ale więcej wygrał, zgarniając na czysto dwieście funtów. Tej nocy Hensleigh powitał go nader wylewnie, proponując jedną lub dwie partyjki. Najwyraźniej przyszła pora oskubania naiwnego przybysza z prowincji.

James pomyślał, że chciałby mieć to za sobą. Znudziła mu się obskurna zadymiona nora z jej kompletem desperatów i oszustów. Kilka kobiet oczywistej profesji krążyło po sali. Wszystkie aż paliły się, by wyciągnąć z gracza wygraną, o ile wcześniej nie udało się to szulerom przy stolikach. Od czasu do czasu któraś z nich wychodziła z jednym lub kilkoma graczami. Nikt się nie wymykał; nie było mowy o dyskrecji. James nawet parokrotnie słyszał, jak uzgadniano cenę.

- Wszystko albo nic? - powtórzył propozycję Hensleigha. - To oznacza, że straciłby pan dwa tysiące funtów.

- Ech, co mi tam... - prychnął Kapitan Kanciarz. - Co to za

życie bez odrobiny ryzyka? – dorzucił z szerokim uśmiechem.

– To jak? Bierzemy nową talię?

– Czemu nie? – odparł James i rozsiadł się wygodnie, a Hensleigh przywołał posługacza

– Przynieś nową talię, człowieku – zaordynował – i ścierkę, żeby uprzątnąć ten bałagan. Zgodziliśmy się z panem Cambourne'em, że wygrany zgarnia wszystko.

Mężczyzna spojrzał na niego czujnie.

– Tak jest, kapitanie – odrzekł i oddalił się pospiesznie.

– Może jeszcze jeden kieliszek wina, Cambourne? – zaproponował Hensleigh, sięgając po butelkę.

– Czemu nie? – powtórzył z głupawym uśmiechem James.

Hensleigh szczerze napełniał mu kieliszek za kieliszkiem, przekonany, że zdołał uśpić jego czujność, gdy on tymczasem większość trunku wylewał ukradkiem na dywan. Służący ze ścierką wytarł stół, po czym położył na nim nową talię.

– Dziękuję, dobry człowieku. – Hensleigh wyciągnął rękę.

Rozciął opakowanie i zaczął tasować karty. James wyprostował się i oznajmił stanowczo:

– Teraz moja kolej. Ja rozdaję.

Kilka kart wyslizgnęło się Hensleighowi z dłoni, gdy skierował spojrzenie na Jamesa.

– Czyżby? Jestem pewny, że pan się myli.

– Nic podobnego.

Hensleigh zerknął na kieliszek, a James z uśmiechem pokręcił głową. Nie spuszczając wzroku z twarzy przeciwnika, zgarnął rozsypane karty i czekał. Po chwili oszust z obojętną miną wręczył mu resztę talii.

- Dziękuję.

Hensleigh zacisnął usta, ale się nie odezwał. James nie zwracał na niego uwagi i zaczął zręcznie tasować karty z wprawą, której wcześniej nie okazał. Odchyłał je lekko, gdy przelatywały mu przez palce, odbijając światło. Tak naprawdę nie musiał ich oglądać, chciał jedynie, by Hensleigh spociał się ze strachu.

- Czy za to pana wyrzucili? - zapytał od niechcena.

Hensleigh przełknął ślinę.

- Niby skąd? O czym pan mówi?

- Z piechoty albo z marynarki, choć nie wyglądasz mi na wilka morskiego - odparł James. - Kapitan Kanciarz nie był im potrzebny. Niewykluczone, że obrażam armię, a pan wymyślił sobie swoją rangę. W Gwardii Konnej nic o panu nie słyszeli. - Uśmiechnął się cierpko, widząc, że Hensleigh gwałtownie zbladł. - Bardzo niechłujnie znaczona talia - ciągnął. - Można łatwo wyczuć woskowe linie na koszulkach. Poprzednia talia nie miała tak wyraźnych znaków.

Słyszając to, oszust nagle zebrał się w sobie.

- Obawiam się, że jest pan w błędzie. Możemy jednak poprosić o następną talię.

James potrząsnął głową.

- Nie. Rozliczymy się, i to teraz.

- Przecież zgodził się pan, że zwycięzca bierze wszystko.

- O ile zagramy nieznaczoną talią - stwierdził stanowczo James. - Kończymy grę - dorzucił, wprawnym ruchem zgarniając karty. - Wyjdziemy po cichu czy mam zrobić z tego widowisko?

Hensleigh rozejrzał się nerwowo i zacisnął pięści.

- Niech cię diabli! - rzucił, tracąc opanowanie.

James wzruszył ramionami i poleciał:

- Podpisz weksle. Niech zarządca potwierdzi ich autentyczność. Nawet nie myśl, że będziesz mógł tu grać, dopóki mi nie zapłacisz - dorzucił.

Hensleigh spojrział na niego nienawistnym wzrokiem.

- Od początku wodziłeś mnie za nos!

James skłonił się.

- Ależ oczywiście.

Dwa tygodnie później

James wspinał się po wąskich skrzypiących schodach, wstrzymując oddech. Już od wejścia uderzył go odór smażonej ryby - wczorajszej, a może nawet zeszłorocznej - oraz rozgotowanej kapusty. Po kolejnym półpiętrze spróbował przekonać sam siebie, że zapach nieco osłabł.

Choć od gry w karty minął tydzień, Hensleigh nie przyszedł, aby spłacić długi, nie pojawił się też Pod Kogutem. Po kolejnym tygodniu poszukiwań przez czysty przypadek James odnalazł kryjówkę dłużnika, w której, jak mu powiedziano, trzymał on swoją kobietę.

„Drugie piętro” - poinformowała go gospodyni. „Jego nie widziałam, ale dziewczyna jest na górze”.

Na piętrze podest zatrzeszczał złowieszczo, uginając się pod ciężarem Jamesa. Rozejrzał się, marszcząc nos. Woń zjełczalej ryby była tu równie ostra jak na dole. Chociaż w gruncie rzeczy nie potrzebował pieniędzy, które był mu

winien Hensleigh, zamierzał go zniszczyć, aby już nikogo więcej nie oszukał. Kiedy się z nim rozprawi, Hensleigh nie będzie w stanie utrzymać samego siebie, a co dopiero kobiety. Jeżeli nie zostanie go w mieszkaniu, to kochanka będzie mogła przekazać mu ostrzeżenie, że lada chwila weksle zostaną sprzedane.

Zastukał głośno, zauważając z pewnym zdumieniem, że drzwi są czyste.

Po chwili otworzyły się i w progu stanęła dziewczyna w usmolonym fartuchu, ze ściereczką w ręku. Kilka miedzianych kosmyków wymknęło jej się spod czepka, muskając lekko zarumieniony kremowy policzek. Z głębi mieszkania napłynął znajomy zapach, niemający nic wspólnego z rybą. Pociągnął nosem – pasta do mebli? Tak, ale coś jeszcze, słodki aromat, który przeniknął go na wskroś.

- Szuka pan kogoś?

Zupełnie nieoczekiwane nieufne spojrzenie zielonych oczu obudziło w nim niepożądane podniecenie. Jakim sposobem gad w rodzaju Hensleigha zdobył taką dziewczynę?

- Trafił pan pod niewłaściwy adres – oznajmiła i uczyniła ręką ruch, aby zamknąć drzwi.

- Akurat! – rzucił, wkładając nogę między futrynę a skrzydło drzwi.

- Szukam Hensleigha.

Wpatrywała się w nieznanego szeroko otwartymi oczyma. Nie chodziło nawet o jego wzrost, a był naprawdę wysoki. Może to przez szerokie ramiona? Zresztą bez względu na przyczynę czuła, że ma w głowie mętlik.

Po chwili odchrząknęła i powiedziała:

- Przykro mi, proszę pana. Nie ma nikogo. - Nagle rozjaśniło jej się w głowie i zdrętwiała na myśl o błędzie, jaki o mały włos by popełniła. Przenikliwe spojrzenie szarych oczu wręcz ją świdrowało. - To znaczy nie ma go tutaj.

Ścisnęła w rękach ściereczkę, aby ukryć ich drzenie. „Hensleigh, nie Armitage”. Wiele lat temu ojciec wbił jej do głowy, aby nigdy pod żadnym pozorem nie wymieniała ich prawdziwego nazwiska. To, jakim się posługiwał, zmieniało się co jakiś czas, ale od paru tygodni brzmiało Hensleigh..

Szare oczy zwężyły się w szparki. Aksamitny głos męczyzny otoczył ją niczym obłok.

- Naturalnie, róża pod każdą nazwą będzie pachnieć równie słodko - powiedział. - Choć moim zdaniem to może się okazać mylące.

Czy to jakiś czarownik? - zadała sobie w duchu pytanie, słysząc wypowiedzianą przez niego swoją myśl. Nie potwierdzaj i nie zaprzeczaj, pomyślała. Najgorzej się tłumaczyć. Mógł być tylko jeden powód, dla którego taki męczyzna szukał jej ojca - dług. Ile tym razem? Nawet myśleć o tym nie powinna, a tym bardziej pytać.

- Przykro mi, ale go nie ma. Proszę cofnąć nogę. - Właściwie po co powiedziała, że jej przykro?

Nieznajomy spojrział na nią z ukosa.

- Kiedy można się spodziewać jego powrotu?

Noga nie ruszyła się z miejsca. Lucy wzięła głęboki oddech.

- Ja... ja nie wiem - wyjąkała i po raz pierwszy od bardzo dawna pożałowała, że ojciec nie stanie za chwilę w drzwiach.

Ten mężczyzna miał czelność patrzeć na nią w taki sposób, jakby jej nie wierzył.

- Nie szkodzi. Poczekam.

Miałaby wpuścić wilka za próg? W jej głowie wszystkie dzwony zabiły na alarm.

- Nie. On jest...

Silne ręce chwyciły ją za ramiona i wystawiły na podest. Lucy ogarnęła panika. Tymczasem nieznajomy wszedł do mieszkania. Przez moment chciała go zostawić i popędzić na dół, do względnie bezpiecznej kuchni pani Beattie. Nie, pomyślała, nie ucieknę, przecież nie jestem tchórzem i ruszyła za aroganckim nieznajomym.

- Jak pan śmie! Nie obchodzi mnie, kim pan jest! Proszę natychmiast wyjść!

Mężczyzna spojrzeniem omiół pokój, by znów popatrzeć na jej twarz.

- A jak zamierzasz mnie do tego zmusić? - zapytał, jakby naprawdę chciał to wiedzieć.

Nie miała pojęcia, jednak...

- To mój dom! - odparowała. - Mam wszelkie prawo się domagać, żeby go pan opuścił! - Dom? Zabrzmiało to nader żałośnie, ale to jeszcze nie znaczy, że będzie tolerować obecność tego typu.

- Dom? - zapytał wyraźnie rozbawiony. W kącikach jego oczu zarysowały się drobne zmarszczki. - Raczej nie ma w nim czego bronić, prawda? Chyba że Hensleigha? A może nazywa się Hammersley w tym tygodniu? Gdzie on jest?

Gdy Lucy usłyszała, że zna nazwisko, którym poprzednio się

posługiwali, zimny dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

- Mówiłam już, że nie wiem!

- Rzeczywiście tak mówiłaś - przyznał. - Nie zaprosisz mnie, żebym usiadł?

- Nie!

Mimo jej kategorycznej odmowy, wzruszając ramionami, spoczął na wysłużonym krześle przy zimnym pustym kominku. Nie palili w nim od tygodni. Pieniądzy ledwie wystarczało na jedzenie. Lucy odetchnęła głęboko, starając się uspokoić.

- Wybacz pan, ale wrócę do swoich zajęć - powiedziała, siląc się na spokój.

Zanurzyła ściereczkę w otwartym pojemniku z pastą woskową, po czym zaczęła polerować stół. Niestety, nie zamierzał jej ignorować i nie spuszczał z niej wzroku, gdy z mozolną pedanterią po raz drugi polerowała blat stołu.

- Muszę powiedzieć, że zazdrozczę Hensleighowi - odezwał się po kilku chwilach.

Lucy zachnęła się, lecz z takim zapałem kontynuowała, że koślawy mebel zaczął stukać o podłogę.

- Szczęściarz z niego - ciągnął nieznajomy. - Mieć ładną dziewczkę, która nie tylko sprząta dwa razy w ciągu jednego przedpołudnia, ale i grzeje mu łóżko. No, no!

Na moment znieruchomiała, nie wierząc własnym uszom. Po chwili górę wziął temperament, który dziadkowie przez lata próbowali ująć w karby. Stała przed nim, nie wypuszczając z dłoni ściereczki.

- Dziewkę? - Z trudem powstrzymała chęć, by cisnąć mu ją w twarz.

- Źle się wyraziłem - odparł ze spokojem. - Jesteś z pewnością o klasę wyżej od nich, mimo że masz okropny gust w kwestii mężczyzn. Stać cię na kogoś lepszego niż Hensleigh czy jak on się teraz nazywa.

- Naprawdę? - zapytała spokojnie, choć ledwie trzymała na wodzy złość. - Na przykład na pana, tak?

Uśmiechnął się drapieżnym wilczym uśmiechem.

- O ile tylko masz ochotę i jeśli powiesz mi, gdzie on jest.

- Mówi się, że mądre to dziecko, co zna własnego ojca.

James poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go cegłą w głowę, gdy dotarł do niego sens jej słów. Nikt mu nie wspomniał, że kobieta przebywająca w mieszkaniu Hensleigha to jego córka. Był przekonany, że...

- Ale - ciągnęła dalej nieznośna dziewczyna - jeżeli jest pan gotowy uznać mnie za swoją nieślubną córkę, to będę bardzo szczęśliwa.

James zdołał w końcu zebrać myśli i odzyskać mowę.

- Jest pani córką, a nie... - Urwał.

- Owszem - potwierdziła lodowatym tonem.

- Oczekuje pani przeprosin, panno... Hensleigh? - Niech to diabli! Mężczyźni miewali córki, ale Hensleigh...

- Co takiego? Wyglądam na głupią? - zapytała.

James nie odpowiedział. Dziewczyna wyglądała na wściekłą, nie na głupią. Miała delikatne rysy, a jej piąstka ściskająca ściereczkę w taki sposób, jakby chciała mu ją wepchnąć do gardła, była kształtna, choć brudna. Miała też kulturalny głos, choć teraz pobrzmiwały w nim ostre tony. Nie była pięknnością w klasycznym tego słowa znaczeniu, ale zielone

oczy lśniły, usta były pełne i czerwone, tyle że w tym momencie zaciśnięte ze złości, a rude włosy wymykały się spod czepka. Czy to nie śmieszne, że nie mógł się pogodzić z myślą, iż jest kochanką Hensleigha? Przecież w ogóle nie obchodzi go, czy to kochanka tego oszusta, czy nie.

Nagle wzrok Jamesa padł na wąskie drzwi na drugim końcu pokoju. Omal ich nie przeoczył, skupiony na dziewczynie. Bez słowa wstał, podszedł do nich, otworzył je i zajrzał do środka.

- Nie ma go tu!

W głosie dziewczyny nie było już cienia strachu, tylko furia. Z podziwem musiał to przyznać. Starannie pościelone łóżko, umywalka i niewielka skrzynia stanowiły całe umeblowanie. Zamknął drzwi i odwrócił się do dziewczyny.

- I co? Jest pan zadowolony? - zapytała. - A może chciałby pan jeszcze zajrzeć pod łóżko?

- Jedno łóżko? A gdzie pani śpi? - I kto tu jest głupi, pomyślał. A już gotów był jej uwierzyć.

W pobladłej twarzy zielone oczy zaśniły gniewnie.

- To nie pańska sprawa, ale...

Przemaszerowała przez pokój i zatrzymała się przed kotarą zasłaniającą ciemny kąt, w którym, jak sądził, najpewniej chowała nocnik. Gdy odsunęła ją jednym szarpnięciem, doznał szoku. Zobaczył na podłodze wąskie posłanie przykryte cienką kołdrą, na której leżała starannie złożona nocna koszula, a obok niej coś, co wyglądało jak futerał na skrzypce. Właśnie ten widok przekonał go bardziej niż cała reszta.

- Pani tu śpi? - zapytał. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby pozwolić córce spać na podłodze, na posłaniu godnym psiej

przybłądy, a samemu zająć w miarę wygodne łóżko? – dodał w duchu.

– Jak pan widzi – odparła, zasuważąc kotarę. – Nie obchodzi mnie, co pan o mnie pomyśli – ciągnęła. – Wątpię też, by pana zainteresowało, co ja sądzę o panu, ale wdarł się pan siłą do mojego domu, obraził mnie na wszelkie możliwe sposoby i dlatego wołałabym, żeby pan stąd poszedł. Przekażę ojcu, że pan tu był.

– Ale nie powie mi pani, gdzie on teraz się znajduje? – Dlaczego miałyby to uczynić? Przecież to jej ojciec, chociaż najwyraźniej o nią nie dba.

– Tego nie wiem.

James spojrzał z ukosa na dziewczynę, bo zastanowiło go brzmienie jej głosu. Czyżby pojawiła się w nim nuta strachu?

– Czy wyjawiałaby mi pani, gdyby wiedziała? – zapytał łagodnym tonem.

– Jest panu winny pieniądze?

Ona nie jest głupia, ale jemu też nie brakuje rozumu. Jeśli powie jej prawdę, ścigana zwierzyna może mu się wymknąć.

– Po co od razu spodziewać się najgorszego, panno Hensleigh – zauważył. – Może jest na odwrót?

– Pan jest mu winny pieniądze? – spytała z niedowierzaniem.

Na moment James się zawahał.

– Czy to takie dziwne? – Nie skłamał, ale nie powiedział wprost, że to on był winny Hensleighowi pieniądze. Mimo to zakłuło go sumienie.

Spojrzała na niego niepewnie.

– Rozumiem. Naprawdę nie mam pojęcia, gdzie on jest

i kiedy wróci. Proszę podać mi swoje nazwisko; powtórzę mu, że pan tu był.

James nie wątpił, że Hensleigh na sam dźwięk jego nazwiska z miejsca da drapaka. Z drugiej strony, był już teraz niemal pewny, że dziewczyna rzeczywiście nie wie, gdzie przebywa jej ojciec.

- Remington - powiedział.

Kolejna półprawda. Jednak ani ona, ani jej ojciec nie uznali za stosowne podać mu prawdziwego nazwiska.

- Dobrze, panie Remington. Miłego dnia.

- Naprawdę nie orientuje się pani, dokąd poszedł? - James nie dawał za wygraną. - Wasza gospodyni wspomniała, że nie widziała go od kilku dni.

- Nie wiem - oblała się szkarłatnym rumieńcem - a przynajmniej nie dokładnie. Może być u... przyjaciółki. Odwiedza pewną kobietę, ale...

- Ale co?

- Myślałam, że wie pan wszystko o kochankach!

- Wiem, po co są kochanki! - odparł James.

Zbulwersowała go myśl, że ojciec nie uznał za stosowne ukryć tej wiedzy przed córką. A z kolei ona nie udawała, że nie ma najmniejszego pojęcia o tych sprawach. Cóż, w jej sytuacji graniczyłoby to z głupotą.

- Nie mam pojęcia, gdzie ona mieszka i jak się nazywa. - Głos dziewczyny ociekał pogardą. - Skoro pan wiedział, że ojca tu nie zastanie, to po co fatygował się na górę?

Bystra sztuka; musiał jej to przyznać.

- Ponieważ gospodyni mogła się pomylić, a pani znać jego

miejsce pobytu. Zajrzę znowu, panno Hensleigh – zapowiedział James.

Nie było sensu tkwić tu dłużej; niczego więcej się nie dowie.

Wyszedł na podwórze. Nędznie ubrany człowiek chrapał w bramie obok pustej butelki, a kilku małych obdartusów grało w coś, używając kamyków. Jeden z nich spojrzał na niego z nadzieją.

– Ma jaśnie pan miedziaka?

Świadom tego, że być może popełnia kardynalny błąd, jako że ludzi napadano nawet dla mniejszych sum, James wyjął z kieszeni sześciopensówkę i podniósł ją do góry.

– Najpierw informacje.

Reszta chłopców stłoczyła się wokół niego na widok tak niesłychanego bogactwa.

– Czy ktoś ostatnio widział Hensleigha? – zapytał. Wsunął drugą rękę do kieszeni i palcami ścisnął portfel.

Chłopcy wymienili spojrzenia. Odezwał się jeden z nich, pewnie ich przywódca, sądząc po tym, że wysunął się do przodu.

– Chodzi o kapitana?

– Tak.

– Od trzech czy czterech dni nikt go nie widział. Lu także.

– Jaka Lu?

Chłopak spojrzał w górę.

– Był pan z nią wystarczająco długo. To jego córka Lucy.

– Racja – przyznał James.

– Fitch może wiedzieć, gdzie jest kapitan – odezwał się jeden z mniejszych chłopców. – On przyjaźni się z Lu. Nawet czasem

daje jej pieniądze.

- Zamknij się! - Najstarszy chłopak szturchnął go w głowę.

- Co za Fitch?

Chłopiec zerknął na twarz prowodyra i nie odpowiedział.

- Taki tam gość. - Przywódca grupki wzruszył ramionami.

James uznał, że to nie jego sprawa, czy panna Hensleigh przyjaźni się z kimkolwiek, nawet z typem, który czasem daje jej pieniądze. To się zdarza. A jednak dłoń, którą trzymał w kieszeni, zacisnęła się w pięść.

Z góry spłynął na nich dźwięk strojonych skrzypiec. James słuchał, jak poszczególne struny kolejno łączą się w harmonijną całość. Chwila ciszy, a potem nagle instrument rozbrzmiał śpiewną taneczną melodią, rozjaśniając szare podwórze, mimo że słońce skryło się poza jego ponure mury. Odrywając uwagę od muzyki, James rzucił sześciopensówkę przywódcy grupy, po czym wyjął z kieszeni kolejną i dał ją chłopcu, który wspomniał o Fitchu.

- Gdyby ktoś wiedział, gdzie jest kapitan, będę zainteresowany.

- Zabrał torbę - odezwał się inny chłopiec. - Zauważyłem go na Fleet Street, przy stacji dylizansów.

- A spostrzegłeś, czy wsiadał do któregoś z nich?

Z przystanku na Fleet Street odjeżdżała część dylizansów do Bath. A to bardzo prawdopodobny kierunek dla szulera chcącego powetować sobie straty.

Chłopiec zawahał się, po czym wzruszył ramionami.

- Nie, tylko go widziałem. Nie myślałem, że to kogoś zainteresuje.

James rzucił mu kolejną sześciopensówkę.

- Masz rację. Jesteś na tyle bystry, żeby nie mówić mi tego, co twoim zdaniem chciałbym usłyszeć. Dziękuję ci.

Chłopiec ze zdumiewającą zręcznością złapał w locie monetę.

- Jak pan chce, szefie, mogę tam skoczyć i popytać.

- Nie trzeba - odparł po namyśle James. - Mówi wam coś nazwisko Kilby?

Chłopcy ucichli, zerkając ukradkiem na prowadzyciela, który wzruszył ramionami.

- Nigdy o nim nie słyszeliśmy.

James pokiwał głową.

- Dziękuję wam, chłopcy.

Przekonany, że go okłamali, opuścił podwórze i skierował się na zachód, w stronę Fleet Street oraz stacji dylżansów. Melodyjne tony skrzypiec Lucy Hensleigh dźwięczały mu w uszach jeszcze długo po tym, jak rozplynęły się w oddali, zagłuszone przez turkot kół i tętent kopyt.

Lucy grała, dopóki światło nie ześlizgnęło się z okna, pozostawiając ją w cieniu. Muzyka otulała ją niby czarowny obłok, pozwalała się poczuć bezpiecznie i udawać, że przerażająca rzeczywistość jej nie dotyczy. Grała z pamięci, gdyż kilka miesięcy wcześniej ojciec sprzedał nuty oraz trzy ostatnie książki. Skrzypce uchowały się tylko dlatego, że zabrała je ze sobą, wychodząc, więc nie znalazł ich, gdy wpadł do mieszkania, szukając czegoś do zbycia.

Poczekwała, aż czarowna aura rozplynie się powoli, wiedząc, że nawet muzyka nie jest w stanie na zawsze zapanować nad

światem, a potem drżąc z zimna, schowała instrument do futerału i zamknęła okno. Ćwiczyła już wystarczająco długo i zaraz zjawi się Fitch. Z głodu zaburczało jej w brzuchu.

Szkoda, że ojca nie było w domu, kiedy przyszedł pan Remington. Przyszło jej na myśl, że może wcale nie opuścił miasta. Nie wyjeżdżałby przecież z takim pośpiechem, gdyby ktoś był mu winny pieniądze. A może on był komuś dłużny jeszcze więcej?

ROZDZIAŁ DRUGI

Jig patrzył, jak pióro Kilby'ego posuwa się, skrzypiąc, po wielkiej księdze. To niesamowite, że ten człowiek potrafi tak szybko pisać, pomyślał. Nie zazdrościł mu jednak, gdyż doskonale radził sobie bez ksiązek, a wiedział, że nadmiar książkowej wiedzy mógł rozmiękczyć człowieka. Nie dotyczyło to szefa - nigdy nie tracił czujności.

Pióro zwolniło i strona została posypana piaskiem.

- Czekam na twój raport, Jig. - Kilby podniósł wzrok znad księgi.

Chłopak niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Znalazłem jego gniazdko, szefie.

Kilby przeciągnął się i położył ręce po obu stronach księgi, lecz jego uśmiech wydał się Jigowi niezbyt zachęcający.

- Minęły dwa dni, odkąd kazałem ci odszukać Hensleigha. Całe dwa dni. A ty mi mówisz tylko, że znalazłeś jego gniazdko!

Jig przełknął ślinę.

- Wyjechał na to, że wyjechał, bo nikt go tu nie widział.

Palce przestały bębnić w biurko. Jig odetchnął z ulgą. Kilby był na ogół otwarty na logiczne argumenty.

- Wyjechał?

- Tak jest, szefie. Nie mogę znaleźć gościa, którego tu nie ma, ale wiem, gdzie uwił sobie gniazdko.

- Ale jeżeli ptaszek wyfrunął z gniazdka, to już nie jest jego gniazdko, nie uważasz?

- Myślę, że on wróci - powiedział Jig. Zimny pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa. - Trzyma tam dziewczynę.

Tym razem palce prawej ręki Kilby'ego - tej blisko pistoletu - zabębniły w biurko.

- Mężczyźni jak świat światem zostawiali swoje kobiety. Na jakiej podstawie...

- W tym przypadku jest inaczej. - Jig odchrząknął. - Ta dziewczyna to chyba jego córka.

Palce Kilby'ego zamarły.

- Córka? Utrzymywał to w tajemnicy.

- Tak. Nietrudno zgadnąć dlaczego. - Jig oblizał wargi na wspomnienie apetycznej rudowłosej dziewczyny.

- Rozumiem. Ładna, tak?

- Jest jak dojrzały owoc - zapewnił go Jig. Sam miał ochotę go zerwać, ale wiedział, że nie warto ryzykować życia, gdyby dziewczyna wpadła w oko szefowi.

- Hm. - Kilby odchylił się w krześle, marszcząc brwi. - Pytanie brzmi, czy już ktoś połakomił się na tę śliweczkę.

Jig milczał. Było mu obojętne, czy jakąś dziewczynę ktoś wcześniej ujeżdżał. Jednak w pewnych dzielnicach noc z dziewicą warta była majątek.

- Och, mniejsza o to - stwierdził Kilby. - Skoro Hensleigh ma chodliwy towar, odzyskam pieniądze, które wyłudził ode mnie za weksle młodego Moresby'ego. Możesz odejść, Jig.

Chłopak zawahał się. Pozostała część informacji może nie być tak mile przyjęta, ale nie powinien jej zatrzymywać dla

siebie. Szef lubił wszystko wiedzieć.

- Mam jeszcze coś.

- Co?

- Jakiś dżentelmen podejrzenie węszy.

Kilby wyprostował się powoli.

- Gdzie węszy? Chyba nie tutaj?

- Nie. - Jig przecząco pokręcił głową. - Słyszałem, jak rozpytywał o Hensleigha. W ten sposób wpadłem na jego trop.

- Myślisz, że chodziło o dziewczynę?

Jig spojrzał na niego niechętnie.

- Może. Ten dżentelmen pytał kilku chłopaków o Hensleigha - dorzucił, gdy Kilby uniósł brwi. - Powiedzieli mu, że kręcił się przy stacji dylizansów. Ten dżentelmen oczywiście poszedł tam, a ja ruszyłem w ślad za nim. Zaczął wypytywać ludzi. Wygląda na to, że Hensleigh albo ktoś do niego podobny kupił bilet do Bath.

Kilby zamyślił się na moment.

- Najpewniej Hensleigh jest winny pieniądze temu dżentelmenowi. A może szukał tylko dziewczyny.

- Może jedno i drugie - podsunął mu Jig.

Kilby skinął głową.

- Tak. Pewnie przyszedł po swoje pieniądze, a teraz się zastanawia, czy nie odebrać wygranej od tej dziewczyny. Sprawdź, z kim Hensleigh przegrał ostatnio Pod Kogutem. Obserwuj też jego mieszkanie. Gdyby ten sam dżentelmen znowu się pojawił, dowiedz się, gdzie mieszka albo jak się nazywa.

- Tak jest, szefie.

- Coś jeszcze?

- On pytał o pana.

Kilby zacisnął pięści.

- Ach, tak? - zapytał złowieszczo łagodnym tonem. - I co, dostał odpowiedź?

- Nie. Nikt nawet słówkiem nie pisnął.

Kilby pokiwał głową.

- Bardzo mądrze. Coś jeszcze?

Jig zawahał się. To wbrew jego zasadom, ale cenił sobie życie, a ci, którzy ukrywali coś przed szefem, kończyli je gwałtownie i przedwcześnie.

- Ten Fitch...

- Co z Fitchem?

- Chyba też kręci się koło dziewczyny. Słyszałem, jak jeden z chłopaków mówił, że on jej daje pieniądze.

- Tak? To ciekawe, bo jego dochody spadły ostatnio. Dowiedz się dlaczego.

- Tak jest, szefie.

- Dobrze się spisałeś, Jig. Jestem pod wrażeniem.

Początkowo nie planował ponownej wizyty w domu Hnasleigha, ale kiedy dowiedział się, że kupił bilet do Bath, postanowił na niego zaczekać. Poza tym nie przestawał myśleć o jego córce ani o tym, co pocznie sama, gdy on dopadnie jej ojca.

Nagle radosne taneczne dźwięki skrzypiec rozproszyły jego myśli. Zwolnił, rozejrzał się wokoło i zauważył młodego skrzypka stojącego na rogu po drugiej stronie ulicy. Zmarszczył brwi, bo dźwięk skrzypiec i skoczna melodia

wydały mu się znajome, ale nie zatrzymywał się. Wrzucił jedynie pieniądz do jego czapki i poszedł dalej.

Nie przerywając gry, Lucy patrzyła, jak pan Remington odchodzi. Żołądek miała ściśnięty, choć nie potrafiła powiedzieć dlaczego. To nie jego sprawa, że musiała grać na ulicy, aby nie umrzeć z głodu.

- Fitch...

Chłopiec podniósł koronę, która zniknęła w bezpiecznej skrytce jego kubraka. Czasami ludzie udawali, że się schylają, by wrzucić pieniądze, a tak naprawdę je wyjmowali. Czujne oko Fitcha zapobiegało kradzieżom, za co miał udział w zyskach. Korona oznaczała pieniądze na czynsz i solidny posiłek dla nich obojga tego wieczoru.

- Hojny gość - zauważył Fitch.

- To ten, o którym ci mówiłam. - Lucy nie przerywała gry.

- Racja. - Fitch cofnął się i znów oparł o mur.

Lucy zaczęła grać sentymentalną balladę, którą usłyszała przed tygodniem. Bawiła się melodią, dodając różne ozdobniki. Kilka osób przystanęło, żeby posłuchać, i więcej monet zadźwięczało w czapce. Lucy uśmiechnęła się i podziękowała im skinieniem głowy, po czym znów zagrała taneczną melodię.

- Ten gość wraca - rzucił półgłosem Fitch.

Oddech ugrzązł jej w piersi, lecz grała dalej, kątem oka widząc, jak pan Remington idzie po drugiej stronie ulicy. Tym razem nie spoglądał w ich stronę, więc odetchnęła z ulgą. To oczywiste, że udał się do jej mieszkania, a ponieważ jej nie zastał, wracał, skąd przyszedł.

Solidny posiłek sprawił, że Lucy było ciepło, gdy zalaną deszczem ulicą pospiesznie wracała do mieszkania. Pod pachą niosła nie tylko skrzypce, ale i zakupy. Na widok bramy prowadzącej na podwórze kamienicy, w której mieszkała z ojcem, zdjęła płaszcz i owinąwszy nim futerał ze skrzypcami, puściła się biegiem. Oprócz chleba i sera na śniadanie oraz węgorza w galarecie na kolację miała jeszcze całego szylinga na czynsz. Nazajutrz także zarobi, choć trudno liczyć, że poszczęści się jej tak jak dzisiaj.

Zamykając za sobą drzwi, Lucy odetchnęła z ulgą. Nareszcie we własnych czterech ścianach!

- Udany dzień, panno Hensleigh?

Zaskoczona Lucy wzdrygnęła się, upuszczając klucz i pakunki. Udało jej się utrzymać skrzypce pod pachą, ale jedzenie rozsypało się po podłodze.

- Jak zacznę krzyczeć, pani Beattie przyjdzie na górę - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. Przynajmniej taką miała nadzieję. A tak w ogóle, pomyślała, to gospodyni nie powinna była wpuszczać tego mężczyzny.

Pan Remington ruszył w jej stronę, marszcząc brwi.

- Dlaczego miałyby pani teraz wszczynać alarm, skoro nie uczyniła pani tego wówczas, gdy panią przestraszyłem?

Głupiec czy arogant, skoro mu się wydaje, że jego atencje byłyby przez nią mile widziane? Sięgnęła za siebie, do klamki, a on w tej samej chwili schylił się po chleb i ser, które upadły na podłogę.

- Co pan robi?

- W tym momencie podnoszę chleb - odparł, prostując się. -

Gdzie mam go wyrzucić?

- Wyrzucić?! - oburzyła się Lucy. - Proszę położyć go na stole.

- Przecież leżał na podłodze! Chyba nie chce pani...

- Nie stać mnie na takie fanaberie! - Strach ustąpił miejsca gniewowi. - Niech pan położy chleb na stole, jeśli łaska.

- Naprawdę zamierza pani go zjeść?

- Podłoga jest czysta, chyba że wniósł pan coś na butach.

Na miłość boską! Przecież nie dalej jak wczoraj zamiatała ją i szorowała. Czerwona z upokorzenia, patrzyła, jak pan Remington kładzie bochenek na stole, a obok niego ser.

Odstawiła skrzypce i zgarnęła z powrotem do torby przeznaczone na kolację kawałki węgorka.

- Przepraszam.

Ze zdumienia omal znów nie upuściła ryby.

- Co takiego?

- Czy tak trudno uwierzyć, że przepraszam, bo przestraszyłem panią do tego stopnia, iż upuściła pani kolację?

- W głosie Jamesa zabrzmiała nuta irytacji. - Natomiast w dalszym ciągu nie rozumiem, czemu chciała pani podnieść krzyk. Przecież pani wie, po co przyszedłem.

- Czyżby? Zakradł się pan tu i czekał na mnie po ciemku, wiedząc, że mój ojciec nie wrócił. I jeszcze dziwi się pan, że napędził mi stracha.

Mimo wątego światła Lucy ujrzała, że dwie szkarłatne plamy wykwitają na policzkach Remingtona. Przez moment patrzył na nią bez słowa, po czym powiedział:

- Pani mnie obraża, panno Hensleigh. Myślała pani, że panią

zaatakuję?

- Owszem, brałam po uwagę taką możliwość - odparła.

Nie zamierzała ustąpić, choć jego oburzenie było usprawiedliwione, a ona się pomyliła. Skoro nie miała racji, to po co wrócił? - zastanawiała się z niepokojem.

- Przecież ja prawie wcale pana nie znam - wytknęła mu. - A już na pewno nie na tyle, by móc ocenić pański charakter.

Zważywszy na niepożądane emocje, jakie w niej budził, powinna być po dwakroć bardziej ostrożna. Dlaczego znowu przyszedł?

James powściągnął oburzenie i postarał się spojrzeć na zaistniałą sytuację z punktu widzenia Lucy. Wróciła do mieszkania, a tam w ciemnościach czekał na nią w gruncie rzeczy obcy mężczyzna, a co więcej, nie mając po temu szczególnego powodu. Skąd mogła wiedzieć, że choć potrafił uwieść chętną kobietę, nigdy nie przymuszałyby żadnej siłą.

- Przepraszam. - Uświadomił sobie, że to już drugie przeprosiny w ciągu pięciu minut. - Pani ojciec się nie zjawił?

- Nie.

James czekał, ale Lucy nic więcej nie powiedziała, zdjęła tylko z półki talerz. Co takiego było w tej torbie? Aha, kawałki węgorka w galarecie. Położyła je na stole obok chleba i sera, które uratował. Talerz lekko zabrzączał, kiedy stawiała go na stole, więc przyjrzał się jej uważniej. A niech to, ona ma chyba dreszcze i sine wargi, pomyślał.

- Powinna pani zdjąć mokre ubranie - orzekł, starając się nie patrzeć na jej długie smukłe nogi, rysujące się pod spodniami i opadającymi pończochami. Ani na mokre rękawy

koszuli, oblepiające szczupłe ramiona. Dobrze się złożyło, że miała na sobie kamizelkę. – Proszę mi powiedzieć, gdzie jest opał, to rozpalę w kominku.

Uniosła dumnie głowę.

– Nie ma potrzeby.

– Akurat! Przemokła pani na wylot i zziębła.

Pełne usta zacisnęły się z uporem, który już zaczynał rozpoznawać.

– Przebiorę się. Nic mi nie będzie. Zrobię to po pana wyjściu.

– Musi pani się ogrzać przy ogniu – nalegał. – Gdzie jest opał?

– Nie ma – wyjawiała w końcu. – Ja... zapomniałam zamówić.

Olśniło go, gdy rumieniec zabarwił policzki Lucy. Nie stać jej na węgiel. Ten łajdak, jej ojciec, zostawił ją samą jak palec, zdaną tylko na siebie, bez jednego pensa! Grała na ulicy, żeby cokolwiek zarobić. Ruszył do drzwi.

– Pan wychodzi?

Zatrzymał się z ręką na klamce. Czy musiała mówić to z taką ulgą?

– Idę po opał – burknął. – W tym czasie może się pani przebrać.

Lucy patrzyła na drzwi, które zatrzasnęły się z hukiem. Za kogo on się uważa, żeby jej rozkazywać? Przecież ona nie jest dzieckiem i ma swój rozum. Nie musi się przed nim tłumaczyć. Choć drżała z zimna, zrobiło jej się ciepło na sercu na myśl, iż ktoś jednak troszczy się o nią na tyle, aby zganić ją za mokre ubranie, i nalega, żeby rozpalic ogień w kominku. Oczywiście,

Remingtonowi nie uda się zdobyć drewna i węgla o tej porze, ale to miło z jego strony, że chociaż próbował. A może myślał tylko o sobie, skoro zamierzał poczekać, licząc na to, że ojciec pojawi się tego wieczoru?

Rozejrzała się wokoło. Nie chciała się przebierać w swoim kąciku za kotarą, na wypadek gdyby wrócił za wcześnie. Zdjęła z gwoźdźca szlafrok i przeszła do drugiego pokoju. Ściągnęła z siebie mokre ubranie, szybko się wytarła i przebrała w suche rzeczy, i w tym momencie usłyszała trzask drzwi, a potem energiczne kroki. Wciąż było jej zimno, nie tak jak przedtem, ale jednak... Z rozkoszą ogrzałaby się przy ogniu, niestety, wygląda na to, że będzie musiała się zadowolić zimną rybą w galarecie. Szkoda, że dobre maniery nakazują poczęstować również gościa – nawet nieproszonego. Może to i lepiej, że nic nie załatwił, bo nie będzie musiała mu zapłacić za...

Otworzyła drzwi; wzrok jej padł na wiadro wypełnione po brzegi węglem i stos drewna przy kominku. Remington zginał starą gazetę. Westchnęła w duchu, żegnając się z pieniędzmi na czynsz.

- Skąd pan to ma?

- Od waszej gospodyni.

- Aha... dziękuję. Rano jej zapłacę. - To kłamstwo, bo nie ma aż tyle pieniędzy. - Ile to kosztowało? - zapytała, przygotowana na najgorsze.

- Nieważne.

- Pan jej zapłacił?

- Tak. Proszę podejść i usiąść - powiedział, układając

drewienka na pomiętych gazetach. Robił to z zaskakującą wprawą, nie tak jak jej stryj czy kuzyn, którzy nigdy w życiu nie rozpalili ognia. Przysunął jej również fotel, a na nim rozłożył kołdrę. Na myśl o tym, że dotykał jej pościeli, oblała się rumieńcem. Ty idiotko! – skarciła się w duchu. Pewnie robił to w rękawiczkach, z obawy by się czymś nie zarazić.

- Ile jestem panu winna? – zapytała ze spokojem, choć wiedziała, że papa będzie wściekły, jeśli potrąci mu się to z jego wygranej.

- Co? – burknął, sięgając po nieużywane od tygodni pudełko z podpałką. – Proszę się owinąć kołdrą.

- Potrafię zadbać o siebie. – Usiadła w fotelu i opatulila się wytartą kołdrą.

- Następnym razem lepiej niech pani nie przebywa na dworze tak długo, bo może się przeziębic.

W pierwszym odruchu chciała się usprawiedliwić, ale uprzytomniła sobie, że przecież nie powinna się przed nim tłumaczyć. Wystarczy się dowiedzieć, ile zapłacił pani Beattie za opał.

- Ile jestem panu winna? – zapytała po raz kolejny.

W tym momencie rozległ się trzask, gdyż zapłonęły gazety.

- Proszę się o to nie martwić. – Remington podniósł się i odsunął od ognia.

- Ależ, proszę pana...

- To nieistotne – przerwał jej. – Jak często grywa pani na ulicy?

To także nie jego sprawa, ale co jej szkodzi odpowiedzieć?

- Od czasu do czasu. – Ciepło zaczynało już do niej docierać,

rozgrzewając zziębnięte członki.

- Pewnie się pani wydaje, że męski strój to dobre przebranie.

Spojrzała na niego ze złością, wyciągając ręce ku płomieniom.

- Nikt inny tego nie zauważył!

- Tak pani sądzi?

Jego sarkastyczny ton dotknął ją do żywego, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Nie zauważyli tego nawet w gospodzie, gdzie...

- W gospodzie? - Przenikliwe spojrzenie szarych oczu przeszło ją na wskroś. - Co pani robiła w cholernej gospodzie, na dodatek przebrana za chłopaka?!

- Jadłam obiad - odparowała.

- Skąd pani wie, że nikt się nie zorientował?

- Bo nikt nie uszczypnął mnie w tyłek! - wyrwało jej się bezwiednie.

- W co?!

Była zła na siebie. Latami dziadkowie uczyli ją, jak okiełznać temperament i nie mówić nic bez zastanowienia. Tymczasem ten człowiek jakimś sposobem zdołał osłabić jej zdobytą w pocie czoła zdolność panowania nad sobą.

- W tyłek - powtórzyła. - Fitch mówił, że jeżeli...

- Jaki znów Fitch?

- Chłopiec, który był ze mną. Powiedział, że...

- To był Fitch?

- Tak. Poradził mi, że bezpieczniej będzie udawać chłopaka. Dlaczego pan się nim tak interesuje? - Pomyślała, że właściciel

drogiego zegarka na łańcuszku i sakiewki wypchanej złotymi monetami może mieć po temu wiele powodów.

- Ktoś mi kiedyś napomknął, że to pani przyjaciel.

Lucy wychwyciła karcące nuty w głosie Remingtona.

- Czy to coś złego? - zapytała.

- Najwyraźniej nie. Z pewnością pani ojciec pochwała tę znajomość.

Prychnęła pogardliwie.

- Ojciec nigdy nie widział Fitcha.

James poczuł, że narasta w nim gniew, jednak się opanował. W końcu dziewczyna nie jest niczemu winna. Nie wiedział, czy powinien odczuć ulgę, czy niepokój, że jej opiekun to jeszcze dziecko. Tyle że to nie jej wina i nie jego sprawa. A skoro tak, po co przyszedł i kupił jej opał u tej niechlujnej baby? Po kiego licha jeszcze tu siedzi? Ciało reagowało w sposób oczywisty, choć całkiem niepożądany, podsuwając mu odpowiedź na te pytania.

- Gdzie on mieszka?

Nagle na górze coś zatrzeszczało i Lucy podniosła wzrok, marszcząc brwi.

- Co się tam dzieje? - zapytał.

- Oby nie pękła kolejna rura - odparła. - Tym razem chyba koty biegają po dachu. Wychodzi pan?

- Już niedługo - oparł. - Gdzie mieszka ten chłopak?

- Gdzieś w okolicy - odparła po namyśle Lucy.

- To znaczy, gdzie?

- Nigdzie, tak naprawdę. To sierota. Zarabia, gdzie tylko się da, żeby przeżyć.

Jamesa ogarnął gniew. Nietrudno się domyślić, z czym się to wiązało. Poza tym kieszonkowcy nierzadko używali ulicznych grajków jako przykrywki.

- Niech to diabli, dziewczyno! Nie masz rozumu?! Jeżeli on kradnie, kiedy pani gra, to powieszą was oboje.

- On nie kradnie! - uniosła się Lucy, ale przynajmniej nie udawała, że nie rozumie, o co mu chodzi.

- Och, na miłość boską! Przecież to...

- Nie wtedy, kiedy gram - przerwała mu. - Obiecał mi to, a poza tym i tak oddaję mu połowę zarobku.

- Połowę? - zapytał. - Dlaczego?

- Ludzie udający, że chcą mi wrzucić datek, ukradliby mi więcej niż połowę - wyjaśniła.

- A Fitch im na to nie pozwala, tak?

- Tak. A poza tym kieszonkowcy trzymają się od nas z daleka, bo... - zawahała się - bo myślą, że to jego rejon.

- Jeżeli on jest złodziejem, to nie powinna pani mieć z nim nic wspólnego - stwierdził bez ogródek James.

- To mój przyjaciel, a przy mnie nie przeklina.

James odchrząknął.

- „Tyłek” to nie jest słowo używane w kulturalnym towarzystwie.

- On nie zrobił tego świadomie, a pan jednak gdzieś nauczył się tego słowa.

- Nie w cywilizowanych sferach - odparł James, rozbawiony, że posłużyła się jego własną bronią.

- To chyba bez znaczenia, skoro, jak widać, nie jestem tu w kulturalnym towarzystwie. Zapewniam pana, że nie

wyraziłabym się tak w salonie mojej babci.

- To pani babcia ma salon?

- Miała za życia.

Ta informacja nie zaskoczyła Jamesa. Zarówno maniere, jak i sposób wystawiania się Hensleigha znamionowały kogoś z lepszej sfery. Nie urodził się w ryzostoku, chociaż niewiele brakuje, aby w nim skończył, pociągając za sobą córkę. Po dwóch krótkich spotkaniach z Lucy nie był w stanie znieść myśli, że Hensleigh może ją pogrążyć. Nie powinna jadać w gospodzie w towarzystwie złodziejzka i mieszkać w tej obskurnej kwaterze, a nawet wiedzieć o istnieniu takich miejsc. Na dachu znów coś zatrzeszczało, więc spojrzał na sufit.

- Powinien pan już iść - powiedziała Lucy, nerwowo zerkając w stronę okna.

James groźnie zmarszczył brwi.

- Na miłość boską! Gdybym miał zakusy względem pani cnoty, już bym się z nią uporał! - rzucił i ponieważ ugryzł się w język, gdyż Lucy splonęła rumieńcem. Poza tym nie była to tak do końca prawda.

- Na pewno nie - powiedziała, podchodząc do okna. - Robi się ciemno, a w tej okolicy ulice nie są nocą bezpieczne.

Czyżby się o niego martwiła? Nie, chciała tylko, żeby sobie poszedł. Jednak jej ostrzeżenie sprawiło, że coś sobie przypomniał.

- Zna pani człowieka, który się nazywa Kilby?

- Kilby? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Nie - odparła bez przekonania, by po chwili dodać: - Chyba papa go zna.

Słyszałam, jak raz czy dwa wymienił to nazwisko przy kimś, kto przyszedł z nim do naszego mieszkania.

- Pani ojciec przyprowadził kogoś tutaj? - Niełatwo było zdobyć adres Hensleigha. Dlatego uznał za zastanawiające, że zaprosił kogoś do swojego mieszkania.

- Niezupełnie - odparła. - On nigdy nie przyprowadził nikogo do domu. Ten człowiek chyba śledził ojca i zdaje się, że dopadł go przy drzwiach. Zaczęli się kłócić i wtedy się obudziłam. Pamiętam, że tamten człowiek prosił o trochę czasu, ale ojciec powiedział mu, że skoro Kilby je ma, to już za późno. I że powinien zniknąć...

- Weksle - mruknął pod nosem James.

Z tego, co słyszał, Hensleigh miał zwyczaj odsprzedawać długi tajemniczemu Kilby'emu, który skupował je ze zniżką, a potem żądał za nie pełnej kwoty z procentami.

- Hazard? - zapytała.

Spojrzał na nią.

- A co innego? Prawdopodobnie pani ojciec sprzedał Kilby'emu długi tego człowieka. Czy on panią widział?

- Kto? - zdumiała się, ale się zaraz domyśliła. - Ach, mężczyzna, który przyszedł wtedy z ojcem? Nie. Poza tym to nie było tutaj, bo tu mieszkamy dopiero od paru miesięcy. To wydarzyło się tuż przed naszą przeprowadzką.

James odetchnął w duchu. Poznał już na tyle towarzyszy Hensleigha, że przeszedł go zimny dreszcz na myśl, iż któryś z nich mógłby wiedzieć o istnieniu dziewczyny. Najwyraźniej jednak Hensleigh miał na tyle rozumu, by dla zmylenia tropu często zmieniać adres.

- To dobrze - powiedział.

Lucy przyglądała się mu z dziwnym wyrazem twarzy.

- Jeżeli chce pan odjąć opłatę za węgiel od swojego długu, to uprzedzam, że ojcu to się nie spodoba.

- Co? - Przez moment James nie rozumiał, o co jej chodzi. - Od mojego długu? - Zbyt późno zorientował się, że wpadł we własne sidła. - Węgiel to nic takiego. To nie...

Lucy spojrzała na niego z namysłem. Wyczytał z jej oczu, że wszystko ułożyło się jej w logiczną całość.

- Jeżeli pan jest mu winien pieniądze - zaczęła - to nie miał pan powodu, aby tu dziś przyjść, a tym bardziej czekać. Przecież ojciec odezwałby się do pana, jak tylko by wrócił. Ale jeżeli to on jest panu coś winien, to ma pan konkretny powód do kolejnych wizyt, prawda?

- Tak - przyznał James. Nie było sensu zaprzeczać, nawet gdyby potrafił skłamać po raz drugi.

- Czyli pan mnie okłamał. Ile?

- Ile? Za co? - zapytał.

W głowie miał kompletną pustkę. Co z niego za idiota, że nie potrafi obstawać przy kłamstwie? Ta dziewczyna zamąciła mu w głowie do tego stopnia, że odebrało mu rozum.

- Ile ojciec jest panu dłużny?

Co powinien poczuć w tej sytuacji? Ulgę czy rozczarowanie, że nie zaproponowała mu siebie w zamian za anulowanie długu?

Zawahał się, patrząc na jej pobladłą twarz i zaciśnięte usta, jakby już się szykowała na cios, którego wcale nie chciał jej zadać. Koniec kłamstw... Prawie koniec...

- Sto funtów - odparł. Nie miał serca wyjawić Lucy prawdziwej kwoty.

Wstyd przyznać, ale Lucy nigdy w życiu nie była choćby bliska omdlenia. Pająków się nie lękała, a jeśli nawet natknęła się na węża, to on bał się jej bardziej niż ona jego. Natomiast kawalerowie do wzięcia nie zwracali na nią najmniejszej uwagi.

Teraz jednak u jej stóp rozwarła się mroczna otchłań, gotowa ją wessać. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Podłoga usunęła jej się spod nóg i już spadała w czeluść bez dna... i nagle przestała. To Remington złapał ją i podtrzymał.

- Proszę mnie puścić - wysapała, ale Remington trzymał ją mocno.

- Nie bądź głupia, Lucy. Omal nie zemdliałaś.

- Ja nie mdleję. - Jakimś sposobem znalazła się na wolnym krześle, ale on wciąż ścisnął ją za ramiona. - Poza tym nie pozwoliłam panu mówić do mnie Lucy!

- To jak mam się do ciebie zwracać? Przecież oboje wiemy, że Hensleigh nie jest twoim prawdziwym nazwiskiem.

Fakt, trafił w sedno.

- Proszę mnie puścić - powtórzyła. - Bo jak nie...

Remington odstąpił, a ona zaczęła rozcierać ramię.

- Przepraszam - rzucił sucho. - Nie chciałem sprawić ci bólu.

Nie sprawił jej bólu. Jak wytłumaczyć dreszcz, który ją przeniknął?

- Sto funtów - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Sto funtów to majątek, więc ojciec uciekł. Czemu nie zabrał

jej ze sobą? Nawet jej nie ostrzegł. Łzy zapiekły ją pod powiekami. Mając tyle pieniędzy, mogłaby...

- Przeraza cię ta kwota? - usłyszała głos Remingtona.

Pieniądze, które ojciec wygrał parę tygodni wcześniej już się rozeszły. W najlepszym razie wyjechał z Londynu, żeby grać gdzie indziej, dopóki nie będzie w stanie spłacić długu.

- Domyślam się, że Remington to nie jest pańskie prawdziwe nazwisko?

Wyglądał na poirytowanego, kiedy wyciągał elegancki srebrny wizytownik.

- Cambourne. - Wręczył jej wizytówkę. - Remington to rodowe nazwisko.

Rodowe nazwisko? Spojrzała na wizytówkę. Nie pan Cambourne, tylko lord Cambourne! Arystokrata.

- Nie wiem, gdzie on jest - powiedziała.

Co za głupota w kółko to powtarzać. Lord Cambourne albo jej uwierzył, albo nie. Uniosła głowę, próbując nie pokazywać po sobie, że dławi ją strach, i zaczęła się modlić w duchu, aby poszedł, a ona w spokoju mogła zebrać myśli.

- Powinien pan już iść - powtórzyła.

Udawanie, że pan Remington, lord Cambourne, czy jak tam się jeszcze nazywa, jest mile widzianym gościem, było ponad jej siły.

James zawahał się. Nie było powodu do odwlekania pożegnania, tak samo jak do wcześniejszego przyjscia tutaj, a mimo to odczuwał potrzebę pozostania w tym nędznym mieszkaniu. Martwił się o tę dziewczynę, Lucy Hensleigh czy jak jej tam... Szczerze mówiąc, nawet nie dlatego, że grała na

ulicy za garść miedziaków.

Zaklął w duchu. Jeżeli stufuntowy dług tak ją przeraził, to jak zareagowałaby, gdyby usłyszała prawdę?

- Czy poza człowiekiem, który przyszedł wtedy do mieszkania, odwiedzają was znajomi ojca?

- Nie.

James odetchnął z ulgą. Oby tak zostało.

- Naprawdę nie ma pani pojęcia, kiedy on wróci?

- Nie. Proszę mnie więcej nie pytać. Może mi pan wierzyć albo nie, jest mi to obojętne. Już wcześniej zniknął, ale nigdy na dłużej niż kilka dni.

Lucy się wzdrygnęła, bo dach po raz kolejny głośno zatrzeszczał.

- Panno Hensleigh, czy na pewno nie boi się pani być tu sama? - zapytał łagodnym tonem James.

Pomyślał, że trudno mieć jej za złe, iż się denerwuje. Co może jej zaproponować? Że z nią zostanie?

- Nie jestem tu sama - wytknęła mu. - Pan tu jest, a mnie wcale się to nie podoba!

James zacisnął dłonie w pięści, ale nie mógł żywić do niej pretensji. Ociągając się, podszedł do drzwi.

- Zatem życzę pani dobrej nocy.

- Rzeczywiście pan wychodzi?

- Tak. Proszę zaryglować za mną drzwi.

Wstała pełna gracji nawet w znoszonej sukni, opatulona wytartą kołdrą.

- Zawsze tak robię na noc.

- To dobrze. - Otworzył drzwi, odwrócił się i wyciągnął

rękę. - Dobranoc.

Zawahała się, a potem podała mu dłoń.

- Proszę mi obiecać, że posiedzi pani przy ogniu na tyle długo, aby się porządnie rozgrzać.

Gnębiło go, że będzie sama. Nie powinien jej teraz opuszczać, ale zostać także nie mógł, bo nie śmiał. Jej ojciec będzie się smażył w piekle za to, co jej zrobił!

- Myśli pan, że nie potrafię zadbać o siebie? - zapytała, unosząc dumnie głowę.

- Myślę, że nie powinna pani być do tego zmuszona - odparł w końcu.

Już samo to, że jej pragnął, było niewłaściwe. Natomiast przemożna potrzeba zaopiekowania się nią, chronienia jej nawet przed samym sobą i dbania o to, aby już nigdy nie była głodna i nie marzła, zakrawała na szaleństwo z jego strony. Puścił jej dłoń i się cofnął.

- Proszę zaryglować drzwi - powtórzył. Zdołał je otworzyć i zamknąć za sobą, zanim osłabło jego postanowienie. Poczekał chwilę, a gdy usłyszał zgrzyt i głuchy odgłos ryglowania drzwi, z przesadnym zapałem dodał: - Życzę pani dobrej nocy, panno Hensleigh.

Po dłuższej chwili padła odpowiedź wymówiona niechętnie:

- Dobranoc panu. - Zabrzmiało to tak, jakby wołała posłać go do diabła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lucy słuchała odgłosu pewnych kroków Cambourne'a i towarzyszącego im skrzypienia desek na podeście. Nareszcie sobie poszedł! Powinna być zadowolona, a tymczasem wciąż jest podekscytowana. Czemu to dla niej takie ważne, że trzymał jej dłoń w swoich rękach? Co gorsza, dlaczego żałuje, że już go nie ma?

Owszem, kupił węgiel i rozpałił w kominku. Zachował się przyzwoicie, okazał troskę. Niestety, tylko dlatego, że jej ojciec jest mu winny mnóstwo pieniędzy. Zorientowała się, że podejrzliwość i cynizm nie leżą w naturze Cambourne'a, ale też nie mogła sobie pozwolić na naiwność.

Właściwie powinna uznać go za wroga. Pamięta przecież, co zwykł powtarzać jej dziadek. „Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary”. To cytat z *Eneidy*. Chodziło o trojańskiego konia. Oczywiście, nie pozwolono jej czytać Wergiliusza, gdyż, zdaniem babci, młode panny powinny raczej studiować nabożne kazania.

Dach głośno zatrzeszczał, więc podeszła do okna i otworzyła je, po czym się cofnęła. Chwilę później przemoczony do suchej nitki Fitch wskoczył do pokoju jak kot.

- Czego chciał ten gość? - zapytał. - Jakiś nadziany dureń?

- Nie - odparła Lucy, a przynajmniej taką miała nadzieję, o ile dobrze zrozumiała Fitcha. - Chodzi mu o mojego ojca. Już

ci mówiłam.

Chłopak wzruszył ramionami i podszedł do kominka, znacząc mokry ślad na podłodze.

- Jasne, że tak. Co wcale nie znaczy, że nie chciałby uszczknąć czegoś na boku. - Wyciągnął ręce do ognia. - Och, jak przyjemnie. Kupiłeś opał za szylinga?

- To on kupił - przyznała się Lucy.

- Tak? - Fitch spojrział na nią przez zmrużone powieki. - A ty myślisz... - Urwał, bo w tym momencie schody zatrzeszczały pod ciężkimi krokami.

Lucy i Fitch zamarli.

- Pani Beattie - wyszeptała w panice Lucy.

Fitch ruszył do okna, ale z podwórza dobiegły ich głosy.

- Niech to cholera! - mruknął Fitch i się zawahał.

- Do sypialni! - rzuciła Lucy. - Tam nie będzie zaglądać.

Fitch przemknął na palcach do drugiego pokoju.

Lucy odblokowała drzwi, po czym usiadła przy stole, starając się opanować. Kroki przybliżały się, deski trzeszczały, aż w końcu usłyszała natarczywe pukanie.

- Proszę! - zawołała zachęcającym tonem.

Pani Beattie wkroczyła do środka i omiotła wzrokiem pokój.

- Poszedł sobie, tak?

- Tak. - Jakbyś, babo, o tym nie wiedziała, pomyślała Lucy. - Wolałabym, żeby pani nie pozwalała obcym czekać tu na mnie.

Pani Beattie wzruszyła ramionami.

- Był już wczoraj, prawda? Dziś po południu też cię szukał. O tym, że wieczorem wrócił i wślizgnął się ukradkiem, dowiedziałam się dopiero wtedy, kiedy przyszedł po węgiel -

dodała z wyrzutem.

- Ach, rozumiem.

Mało co uchodziło uwagi gospodyni obdarzonej sokolim wzrokiem, jednak jej irytacja stanowiła jawny dowód, że Cambourne'owi się to udało.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała grzecznie Lucy.

Pani Beattie zmarszczyła brwi.

- Jak już o tym mowa, musimy zamienić parę słów o pieniądzach, moja panienko.

Lucy zamarła.

- Przecież czynsz zawsze reguluję w piątek. Rozumiem też, że węgiel został zapłacony.

Gospodyni zacisnęła usta. Pewnie zastanawiała się, czy nie warto zażądać trochę więcej za opał, pomyślała Lucy.

- Owszem - przyznała niechętnie. - Musimy pomówić o podwyżce czynszu.

- O podwyżce czynszu? - powtórzyła przerażona Lucy.

- A tak. - Gospodyni wytarła brudne ręce w fartuch. - Możesz zaprosić sobie gacha, byleście nie robili hałasu. Natomiast za prowadzenie interesu w mieszkaniu i spraszanie klientów jest dodatkowa opłata.

James szedł Strandem w kierunku Whitehall. Jeżeli się nie pośpieszy, to przyjdzie spóźniony na proszoną kolację, a to nie wypada. Bacznie obserwował ulicę, w kieszeni płaszczka tkwił załadowany pistolet. Lucy ostrzegła go, że nocą w tej okolicy nie jest bezpiecznie.

- Na miły Bóg! Co cię sprowadza w te strony, Cambourne?

James spojrzał na wysiadającego z dorożki eleganta.

- Interesy, Montgomery! - odparł, witając go chłodnym skinieniem głowy.

Nawet nie zapytał, co przywiodło tu wicehrabię, bo wiedział, że gustuje on w tutejszych burdelach, gdzie patrzono przez palce na wiek czy zgodę dziewczyn. Szeptana plotka głosiła, iż również i na to, jak były one traktowane przez klientów.

- Interesy? Tutaj? - Montgomery spojrzał na Jamesa na poły rozbawiony, na poły zniesmaczony.

Dorożkarz kaszlnął półgłosem.

- Wybacz pan, milor...

- Tak, tak, mój dobry człowieku. - Montgomery odwrócił się ze złością. - Tyle hałasu o marnych parę szylingów.

- Ten człowiek zarabia na życie - zauważył James.

Montgomery westchnął, wyjął pieniądze z kieszeni i podał je dorożkarzowi.

- No wiesz, Cambourne! Może mi jeszcze powiesz, że płacisz krawcowi, jak tylko się upomni!

- Niezupełnie. Mój krawiec nie musi się upominać, bo w porę reguluję rachunek - odparł James.

- Przyzwoitość godna podziwu. - Montgomery spojrzał na niego z politowaniem. - Cóż, pójdę, aby się oddać cielesnym uciechom. Mam tu zamówioną całkiem świeżutką ptaszynkę. Może pójdziesz ze mną? Na pewno znajdzie się coś i dla ciebie.

- Nie, dziękuję. - James nawet nie próbował ukryć niesmaku. - Wracam na Mayfair. - Podwieziesz mnie?- zwrócił się do dorożkarza.

- Z przyjemnością, szanowny panie.

- Dziękuję. - James wsiadł do dorożki, dodając gwoli wyjaśnienia: - Nie będę cię potem zatrzymywał.

- No wiesz, Cambourne! Dorożkarzom się nie dziękuje! - ofuknął go Montgomery.

- Czyżby? Wyobraź sobie, że odkryłem, iż podziękowanie gwarantuje lepszą i bardziej ochoczą obsługę. Możesz to wypróbować na tej swojej ptaszynce.

- Ochoczą? - Montgomery zaśmiał się sarkastycznie. - Przecież nie staram się o względy dziedziczki. A ta tu została kupiona i zapłacona. Ochota nie ma tu nic...

Resztę wywodów rozpustnika zagłuszył stukot kopyt i turkot kół na bruku, kiedy dorożka ruszyła z miejsca. James opadł na poduszki. Niech to wszyscy diabli! Że też musiał spotkać akurat Montgomery'ego!

Lucy nie miała pojęcia, co znaczy słowo „klient” w tym kontekście, lecz oświeciła ją pod tym względem wzmianka o prowadzeniu interesu w mieszkaniu.

- Pani Beattie, jest pani w błędzie. Ten dżentelmen to znajomy mojego ojca. - Trochę to naciągane, ale ujdzie, pomyślała. - To jego szukał, nie mnie.

Gospodyni prychnęła gniewnie.

- Posłuchaj, kochaniutka, kiedy wprowadzałaś się tu z ojcem, chciałam wam policzyć jak za interes, ale zapewnił mnie, że jesteś jego córką i nie będzie sprowadzał klientów. Nie powiem, żebym mu tak od razu uwierzyła, jednak policzyłam wam mniej, na próbę, ale go ostrzegłam.

- Przed czym? - Lucy poczuła, że narasta w niej gniew.

Pani Beattie skrzyżowała ręce na biuście.

- Zapowiedziałam mu, że wystarczy cię podejrzenia, że ściąga tu klientów, a zapłaci więcej. Może ci nie powtórzył, tego nie wiem, a może sobie pomyślałaś, iż uda ci się przemyścić tu gacha, lecz...

- On nie jest moim gachem! - przerwała jej Lucy purpurowa na twarzy ze złości.

- Jasne. A ja jestem chińska cesarzowa. Zresztą, dopóki płacisz, nic mi do tego. - Gospodyni rozejrzała się wokół. - Jak dobrze pograsz z tym szykownym dżentelmenem, możesz mieć własny dom.

- Pani Beattie! - wykrzyknęła Lucy, wstając z krzesła. - Ja nie jestem... z takich, co się sprzedają!

- Trzeba mieć źle w głowie, żeby mu dawać za darmo. Widać przecież, że jest bogaty.

- Przyszedł tylko po to, by się przekonać, czy mój ojciec już wrócił.

- Na to nie trzeba aż pół godziny i wiadra węgla - stwierdziła gospodyni. - Trzy szylingi ekstra za tydzień, panienko.

- Czy jest w to wliczony węgiel do prowadzenia interesu? - zapytała Lucy.

Skoro musi zapłacić więcej za ten tydzień, dobrze byłoby mieć coś z tego dla siebie. Liczyła na to, że kiedy lord Cambourne przestanie przychodzić i pani Beattie zrozumie, że się pomyliła, obniży jej czynsz.

Gospodyni naburmuszyła się.

- Niech będzie, mogę dorzucić trochę węgla - odrzekła

opryskliwie i uznając sprawę za załatwioną, poczłapała do drzwi. W progu rzuciła przez ramię: - Trzy szylingi ekstra płatne w piątek! - Po czym wyszła, trzaskając drzwiami.

Lucy osunęła się na krzesło, osłabła ze strachu. Jest wtorkowa noc, a jej kończą się pieniądze. Czy zdoła zarobić do piątku trzy szylingi więcej na czynsz i cokolwiek do jedzenia?

- Trzeba będzie zapłacić tej wiedźmie. - Fitch wyłonił się z sypialni i spojrzał ze złością na drzwi. Podszedł do kominka i wyciągnął ręce do ognia. - Jesteś pewna, że jaśnie pan nie ma ochoty na szybki numerek?

- Szukał mojego ojca - odparła Lucy i pomyślała, że gdyby Cambourne chciał czegoś innego, wzięłby to sobie bez pytania i żadna siła by go nie powstrzymała.

- Może wyciągnąć od niego trochę forsy? - zaproponował Fitch. - Skoro jest winny pieniądze twojemu ojcu, to mógłby ci coś z tego dać.

- Nie! - Miałaby błagać o pieniądze? - Okazało się, że skłamał, bo to ojciec ma u niego dług. Poza tym nie nazywa się Remington. To lord Cambourne, a na dodatek, hrabia!

- Ach tak. - Fitch się zasępił. - Teraz rozumiem, dlaczego wrócił. Po swoje pieniądze. W tej sytuacji pozostają nam twoje skrzypce. Dzisiaj poszło całkiem nieźle. - Fitch się zawahał. - Lu, wiesz, że nigdy w życiu nie gwizdnałbym ani pensa, kiedy ty grasz, prawda?

- Oczywiście, że wiem. Przecież mi obiecałeś. A czemu pytasz?

- Ach, tak sobie - odparł, wzruszając ramionami. - Chcę

tylko, żebyś o tym wiedziała.

- Słyszałeś, co powiedział lord Cambourne?

- Słyszałem. Mówił wystarczająco głośno.

Lucy nakryła ręką jego dłoń.

- Przyrzekłam, że już nigdy tego nie zrobisz. Wszystko będzie dobrze, Fitch. Jeżeli uda mi się zarobić na ten tydzień, a ona się przekona, że lord Cambourne nie przychodzi, że nie jestem jego...

- Nie licz na to, że obniży ci czynsz - przerwał jej Fitch ze sceptyczną miną. - Mam sobie pójść? Jak ta skąpa jędra zobaczy, że tu nocuję, zażyczy sobie następne trzy szylingi.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Lucy była spokojniejsza, wiedząc, że nie zostanie sama, a jej przyjaciel nie będzie nocą krążył po ulicach i choć przez tych kilka godzin poczuje się bezpieczny.

- Na pewno? - zapytał.

- Tak. Może jesteś głodny? - spytała, zmieniając temat. - Mam chleb, rybę i trochę sera.

Fitch ukroił im po kawałku i przykucnął przy kominku.

- Dobrze choć to, że wydusiłaś z tej jędry trochę węgla - zauważył z pełnymi ustami. - Razem z tym, co ten gość ci kupił, przynajmniej będziesz głodować w cieple.

Lucy skrzywiła się i nagle coś sobie przypomniała.

- Fitch, znasz człowieka, który nazywa się Kilby?

Chłopak zamarł.

- Skąd o nim wiesz?

- Od lorda Cambourne'a. Myślę, że ojciec też go zna.

Zapadło milczenie.

- Nigdy więcej nie pytaj o Kilby'ego - przerwał je Fitch. -

Byłoby lepiej i bezpieczniej, gdybyś o nim nie wiedziała. – Przełknął chleb i dodał: – Jak cię ten hrabia znów zapyta, odpowiedz, że nie masz pojęcia, kto zacz. Tak będzie lepiej i bezpieczniej – powtórzył.

Kilby siedział przy biurku, podczas gdy Jig składał mu sprawozdanie. Na szczęście nie bębnił już palcami, tylko jadł.

– Masz coś dla mnie? – zapytał, obgryzając kurzą nogę.

– Nadal ani śladu Hensleigha, szefie. – Jig starał się nie patrzeć na talerz, bo z głodu burczało mu w brzuchu.

– Może kryje go ta dziewczyna? – zasugerował z pełnymi ustami Kilby.

– Chyba nie. Wygląda na to, że ona nie ma pieniędzy. Ten dżentelmen był u niej dziś wieczorem.

– Ach tak? – Kilby odłożył na wóół obgryzione udko. – Masz coś na niego?

Jimowi ślina napłynęła do ust. Kurczak pachniał smakowicie.

– Znam jego nazwisko – Remington.

– Remington? – powtórzył Kilby, sięgając po kufel.

– Tak. Ja też zwróciłem na to uwagę, lecz to nie był tamten.

– Jak mógłby nie rozpoznać gościa, którego pomagał bić? Nie jest przecież ani ślepy, ani głupi.

Kilby pociągnął łyk piwa.

– A możesz mi go opisać?

Jig pokiwał głową.

– Wysoki. Wyższy ode mnie. Dobrze zbudowany. Pewny siebie. Rusza się zwawo, jakby szedł po swoje. Dobrze się ubiera. Wszystko ma pierwszego gatunku.

– Pewnie obraca tę dziewczynę. – Kilby westchnął. – Szkoda.

- Właścicielka domu też tak mówi, miele ozorem jak najęta.
Nie byłbym taki pewny.

- Skąd ta zadowolona mina? - rzucił Kilby znad kufla.

- Kazał mi pan wybadać, dlaczego spadły dochody młodego Fitcha, prawda?

- Tak. I co?

- Widziałem, jak kręcił się koło chłopaka, który grał na skrzypcach. Wokół grajka zebrał się niezły tłumek.

- Czyli Fitch powinien mieć spory utarg. - Kilby znów zabębnił w biurko. - Ten mały szczurek coś przede mną ukrywa, prawda?

- Niezupełnie, szefie. - Jig pomyślał, że Fitch powinien na siebie uważać. - Z tego, co widziałem, nikogo wtedy nie oskubał.

- Co takiego?

- Sam nie kradł, tylko pilnował, żeby im nikt nie podebrał zarobku.

Kilby odchylił się w krzesło.

- Może dobrze byłoby pogadać sobie z tym grajkiem?

- Szefie, żeby było śmieszniej, nie mam pewności, że to chłopak.

- Jak to? Sam mówiłeś...

- Myślę, że to dziewczyna, a ściślej, córka Hensleigha. Gra za garść miedziaków...

- Po co miałyby to robić? - zainteresował się Kilby.

- Skoro daje temu milordowi, tak? - odparł Jig. - Faktycznie to się nie trzyma kupy.

- Właśnie. Powiedz Fitchowi, że musi zarabiać więcej.

Trzeba mu dorzucić jakieś nocne zajęcie

- A hrabia? Mogę się dowiedzieć jeszcze czegoś.

- Nie. Miej oko na dziewczynę. - Kilby świdrował wzrokiem Jiga. - Chyba nie trzeba ci mówić, że musi pozostać nietknięta.

Gdy James przybył do rezydencji Aldwicka, przyjęcie było w pełnym toku. Wszedł do pierwszego z otwartych pokoi i od razu wpadł na pana domu.

- Cambourne! - Wicehrabia Aldwick wyciągnął do niego rękę. - Nie widziałem cię, kiedy witałem się z gośćmi.

- Niestety, trochę się spóźniłem. Bardzo przepraszam, proszę też przekazać moje przeprosiny lady Aldwick.

- Nic się nie stało - odparł z uśmiechem wicehrabia. - Może zajrzemy do biblioteki. Wprawdzie tego wieczoru nie jest otwarta dla gości, ale ktoś tam na ciebie czeka. Chciałby zamienić z tobą parę słów.

Okazało się, że w bibliotece panuje półmrok. Światło biło jedynie od umieszczonych w lichtarzach świec i ognia palącego się w kominku.

- Cambourne? - Pozostająca w półcieniu postać podniosła się z fotela ustawionego przy kominku.

James dobrze znał ten spokojny, głęboki głos.

- Huntercombe? - Ruszył w stronę kominka. - Co...? Przepraszam, nie ma sensu pytać, co u ciebie. Widziałem w gazetach nekrolog twojego brata. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Z bliska dojrzał na twarzy Huntercombe'a głębokie bruzdy,

których nie było pół roku wcześniej, a także jego mroczne spojrzenie, niemające nic wspólnego z cieniami zalegającymi bibliotekę.

- Dziękuję, to miło z twojej strony - odparł Huntercombe. - Chciałbym zamienić z tobą parę słów. Wiedziałem, że będziesz gościł tu tego wieczoru, i dziś po południu wysłałem listeczek do Aldwicka, a on mi odpisał, bym czuł się w tej rezydencji jak u siebie w domu. Szczerze mówiąc, nie zostałem zaproszony na przyjęcie, co nie dziwi w tych okolicznościach.

James skinął głową. Człowiek w głębokiej żałobie po przedwczesnej śmierci przyrodniego brata raczej nie uczęszcza na bale. Markiz Huntercombe przyjechał do Londynu tylko z powodu posiedzenia Izby Lordów, w której zasiadał.

- Nie musiałeś się tu fatygować. Przyszedłbym do ciebie.

Huntercombe sięgnął po karafkę.

- Wiem, ale ostrożność nie zawadzi. Napijesz się brandy?

- Dziękuję. - James usiadł w fotelu po drugiej stronie kominka. - Ostrożność? - powtórzył. - Co masz na myśli?

- Podobno młody Remington miał ostatnio kłopoty z niejakim kapitanem Hensleighem.

James wychylił się ku markizowi.

- Skąd o tym wiesz?

- Nie martw się, ta informacja nie rozeszła się w towarzystwie. Tak się składa, że służący twojego kuzyna i mój lokaj to bracia. Czy z chłopcem wszystko w porządku?

- Tak, choć został solidnie poturbowany. Dostał niezłą nauczkę, ale wyciągnął z niej wnioski.

- To znaczy, że miał więcej szczęścia niż Gerald. - Huntercombe pociągnął łyk brandy. - Mój lokaj twierdzi, że szukasz tego Hensleigha czy Hammersleya - tak przedstawiał się Geraldowi. Jeżeli tak jest w istocie, to mam dla ciebie garść informacji.

Godzinę później James tkwił w bibliotece i ponuro wpatrywał się w migoczące płomienie. Wprawdzie Huntercombe wyszedł już przed półgodziną, ale on nie miał ochoty włączać się w szeleszczący jedwabiami, wyperfumowany tłum bawiący się w salonach. Ponownie napełnił kieliszek brandy i wciągnął w płuca haust odurzającego aromatu, zanim upił łyk.

Huntercombe powiedział mu, że Nickowi dopisało szczęście. Na myśl o tym mocniej ścisnął palcami ciężką kryształową szklankę. Po tym, co usłyszał od Huntercombe'a, samo zrujnowanie Hensleigha nie wchodziło w rachubę; stanowczo nie wystarczało, aby zadośćuczynić za krzywdę Geralda i Nicka. Użyje tego oszusta i złego ojca, aby dotrzeć do Kilby'ego, po czym bezwzględnie zniszczy ich obu.

I co wówczas z Lucy?

Lucy spróbowała się schronić pod markizą sklepiku, którego właściciel postanowił nie wystawiać towaru na zalany deszczem chodnik. Ledwie zdążyła zagrać pierwszą nutę, gdy sklepikarz wypadł na ulicę.

- Ty, wynoś się stąd! Nie chcę tu żebraków!

- Nie żebrzę, proszę pana - powiedziała ze spuszczoną głową Lucy. - Ja tylko gram. Jeżeli ktoś wrzuci mi pensa, to...

Tymczasem rozwścieczony sklepikarz zamachnął się grubą lagą. Lucy się odwróciła, przyjmując cios na prawe ramię, aby ochronić skrzypce. Krzyknęła z bólu, osuwając się na kolano, a po kolejnym ciosie omal nie rozciągnęła się jak długa na chodniku.

- Wynocha albo jeszcze dostaniesz! Podam cię do sądu! - zagroził jej właściciel sklepu.

- Dobrze już, dobrze.

Ramię pulsowało bólem. Niezgrabnie chwyciła futerał. Strach ścisnął ją za gardło. Jeżeli on uderzy jeszcze raz, trafiając w skrzypce lub smyczek... Drżącymi rękami próbowała schować instrument do futerału, lecz po kolejnym uderzeniu omal nie upuściła skrzypiec.

- Ejże! Zostaw go w spokoju, jełopie! - Fitch wyrósł nagle jak spod ziemi i skakał między Lucy a sklepikarzem. - Masz drewniane ucho? - Lawirował zręcznie, uchylając się przed ciosami lagi. - Nie podoba ci się ta melodia? Może przyciągnie parę osób do twojego brudnego sklepiku?

- Ty szcurze rodem z rynsztoka! - Sklepikarz zamachnął się na Fitcha, ale chłopak odskoczył.

Lucy zamknęła futerał i podniosła się z trudem.

- Chodź! - Fitch chwycił ją za wolną rękę. Jęknęła, kiedy ją odciągnął na bok.

- Nie chcę was tu więcej widzieć! - huknął sklepikarz. - Dobrze znam waszą złodziejską szajkę!

Fitch zaciągnął Lucy za róg.

- Wszystko w porządku?

Skinęła w milczeniu głową.

- Wygląda na to, że nieźle ci przyłożył - powiedział, marszcząc brwi. - Posłuchaj, nie mogę tu zostać. Muszę iść do roboty.

- Fitch!

- Pilnują mnie. Gość, któremu oddaję zarobek, uważa, że Kilby jest ze mnie niezadowolony. - Rozejrzył się wkoło. - Naprawdę muszę cię zostawić. Powiedziałem im, że idę kupić coś do jedzenia. - Dotknął ostrożnie jej ręki. - Na pewno nic ci się nie stało?

- Tym się nie przejmuj. Uważaj na siebie.

- Jasne. - Posłał jej łobuzerski uśmiech.

Lucy ze ściśniętym sercem patrzyła, jak przyjaciel pędzi ulicą i znika w zaułku między domami.

Na koniec dnia Lucy miała sześć pensów za swoje trudy i obolałe ramię, które rwało ją przy każdym ruchu smyczka. A jakby mało było nieszczęść, ulewa przerodziła się w deszcz ze śniegiem. Drżąc z zimna, przykucnęła w bramie, przy wejściu na podwórze. Wicher zawodził w ciemnym tunelu; czuła na plecach jego lodowate szpony. Zmęczona, zmarznięta i przemoczona, skierowała się do mieszkania, kupując po drodze bochenek za pensa.

Salony Parburych pękały od nadmiaru wystrojonych ludzi, plotek, wina oraz dusznej woni perfum. Kryształowe kandelabry rzucały migoczące światło na gości, a cieplarniane kwiaty wychylały się z wazonów.

James przecinał zatłoczoną salę balową, przystając tu i ówdzie, aby powitać przyjaciela lub skłonić się znajomemu.

W pewnym momencie dał nura za palmę tkwiącą w ogromnej donicy, gdyż jedna z jego ciotek, lady Callington, pojawiła się w polu widzenia. Gdy zniknęła, wyłonił się z za palmy i znów podjął wędrówkę. Ostatnie, czego potrzebował, to dyskusja o minusach jego kawalerskiego stanu w pokoju pełnym panien na wydaniu oraz ich zdeterminowanych mamus.

Gdy płynął wśród morza znajomych twarzy, dochodziły go strzępki konwersacji.

- Co też naszej drogiej Jane strzeliło do głowy? W żółtej sukni wygląda jak wymoczek.

- Widziałyście te wystrzępione zasłony w salonie pani Repton? Ja spaliłabym się ze wstydu.

- Obiad? Był naprawdę ohydny. Za dużo oliwy i niezbyt świeże szparagi.

James wziął z tacy kieliszek szampana i poszedł dalej. Starał się przy tym nie myśleć o dziewczynie przebranej za chłopaka, zbierającej z podłogi kawałki nader skromnej kolacji.

Tego dnia padało, zapewne nie wyszła na ulicę, żeby grać na tych cholernych skrzypcach, ale czy coś jadła? Postanowił zajrzeć do niej nazajutrz wieczorem i sprawdzić, czy wszystko w porządku, a przede wszystkim naocznie się przekonać, czy pojawił się jej ojciec. Nie bardzo mu się to podobało, że Lucy stała się dla niego środkiem do...

- James!

Odwrócił się i stanął oko w oko z uśmiechniętym Nickiem, już bez śladu sińców na twarzy. Przez moment wpatrywał się w niego bez słowa. W uszach zadźwięczał mu drżący głos Huntercombe'a. „Pobili go na śmierć, Cambourne. To moja

wina. Powiedziałem mu, że nie będę więcej spłacał jego karcianych długów”. James otrząsnął się z mrocznych myśli i wyciągnął rękę do kuzyna, lustrując go krytycznym wzrokiem.

- Wyglądasz o wiele lepiej, niż wtedy, kiedy cię widziałem. Jak było w Chiswick? Czy moi ludzie zadbali o ciebie?

- Jeszcze jak - odparł ze śmiechem Nick. - Tak mnie rozpieszczali, że mało mnie nie zagłaskali na śmierć i... - Urwał speszony. - Och, dobry wieczór, papo. Jak się papa miewa? Czy mama też tu jest?

James odwrócił się i uśmiechnął do ojca Nicka.

- Wiedziałem, że cię tu spotkam.

William Remington skinął głową.

- Witaj, James - powiedział, po czym zwrócił się do syna: - Słyszałem, mój chłopcze, że wyjeżdżałeś z Londynu.

Nick oblał się rumieńcem.

- Tylko do posiadłości Jamesa w Chiswick, papo. Wypocząć na łonie natury.

William odchrząknął.

- Nie wątpię, że było to nieuniknione. Nie ma jednak potrzeby mówić o tym mamie. - Wierzył głęboko, że jego żona Susan pozostaje w błogiej nieświadomości, jeśli chodzi o te sprawy. - Przekonałem ją, że nie musi pędzić do ciebie tuż po przyjeździe do Londynu. Chłopcy zawsze pozostaną chłopcami, prawda, James? - zwrócił się do kuzyna, szturchając go łokciem w żebra.

- O tak, istotnie. - James z trudem powstrzymał się od śmiechu na widok szkarłatnych policzków Nicka. Chłopak nie

mógłby być bardziej zażenowany, nawet gdyby wyjechał z miasta w towarzystwie haremu.

- Młodość musi się wyszumieć - stwierdził dobrodusznie William. - To rzecz naturalna u młodego mężczyzny. Nick, twoja mama jest w sąsiednim salonie. Pewnie chciałyby się z tobą zobaczyć. - Odwrócił się do Jamesa. - Wstąpiłem do ciebie dziś po południu, ale lokaj powiedział, że nie ma cię w domu. Susan i ja bylibyśmy uszczęśliwieni, gdybyś wpadł do nas jutro na obiad.

James już otwierał usta, aby zaproponować inny termin, ale William uśmiechnął się dobrotliwie.

- Penfold wpuścił mnie, więc pozwoliłem sobie rzucić okiem na twój terminarz. Wybierasz się jutro na bal do Manninghama, ale dopiero późnym wieczorem. Pozostaje więc masę czasu na obiad.

Poklepał syna po ramieniu i odszedł.

- Niech to diabli! - mruknął Nick nad kieliszkiem szampana. - Ciekawe, co naprawdę myśli mama. Wybierzesz się do moich rodziców?

- Chyba tak.

James przeklinał w duchu zarówno Penfolda, jak i kuzyna o władczych zapędach. Przez dwa kolejne dni nie będzie mógł odwiedzić Lucy. Nazajutrz miał także spotkanie komisji w parlamencie.

- Prawdopodobnie twoja matka myśli, że wyjechałeś z kochanką - zwrócił się do Nicka. - Nie sądzę, aby William zdołał ją oszukać. Potraktuj to jako karę za grzech i ciesz się, że nie będzie cię o nic pytała.

Pomyślał, że Susan nie omieszka i jego wypytać. Będzie musiał kłamać w żywe oczy po to, aby się nie domyśliła, że najstarszy syn omal nie został zamordowany.

Nick zakrztusił się nagle szampanem, więc James klepnął go w plecy.

- O, Cambourne! Tutaj jesteś na swoim miejscu.

Na dźwięk wypowiedzianych rozbawionym tonem słów James powoli się odwrócił.

- Dobry wieczór, Montgomery.

- Witaj, Monty! - Nick był lekko zażenowany.

- Jak się masz, Remington? - Montgomery się uśmiechnął. - Wiesz, że któregoś wieczoru nakryłem twojego kuzyna Jamesa w bardzo dziwnym miejscu?

- Naprawdę? - Nick spojrzał pytająco na Jamesa.

- Tak - odparł ze złośliwym uśmiechem Montgomery. - I to gdzie? Na Strandzie! Ciekawe, co też mogło go tam skusić. - Zaszczycił ich obu skinieniem głowy i ruszył dalej.

James spojrzał na Nicka.

- Mówisz do niego Monty?

- Mniejsza o to. - Nick poczerwieniał. - Byłeś na Strandzie? Co tam robiłeś?! Wystarczy, że ja dostałem nauczkę. Nie musisz...

- To nie ma nic wspólnego z tobą - przerwał mu James. - A jeśli, to bardzo niewiele. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o Hensleighu.

- Ale po co?

- Ponieważ odsprzedał twoje weksle, wiedząc, że nabywca to człowiek bardzo niebezpieczny. Okazało się, że nie byłeś

pierwszy. Dyskretne śledztwo ujawniło nazwiska kilku innych młodych durniów, którzy nie byli w stanie zapłacić. – Zawahał się, po czym jednak dodał: – Wczoraj wieczorem dowiedziałem się o jednym, który miał zdecydowanie mniej szczęścia niż ty.

– Jak to? – zdumiał się Nick.

– Gerald Moresby, młodszy brat Huntercombe’a, zapłacił życiem. Stało się to kilka miesięcy temu.

– Umarł? – Nick zbladł jak kreda. – To bez sensu. Przecież umarły nie mógł im oddać pieniędzy!

– Został dwukrotnie pobity. Za pierwszym razem było to pewnie ostrzeżenie, nie był jednak w stanie zapłacić. Drugiego razu nie przeżył.

Nick zacisnął pięści.

– Skoro wiesz, jakie to niebezpieczne, po co wciąż ścigasz Hensleigha?

James nie od razu odpowiedział. Z początku chciał po prostu ukarać oszusta za to, że naraził życie Nicka, teraz jednak chodziło o coś więcej. Przed oczyma znów stanęła mu zboląła twarz Huntercombe’a.

– Na początku nie byłem świadom rozmiaru zagrożenia, a teraz, gdy je znam, nie chcę, aby przytrafiło się to komuś innemu – powiedział w końcu. – Na przykład któremuś z twoich młodszych braci.

– O tym nie pomyślałem. – Nick spochmurniał. Kit i Jasper byli jeszcze w szkolnym wieku. – Przeklęty Montgomery! Niech go diabli wezmą!

– Co takiego? – James zamarł.

Nick się spieszył.

- To on pokazał mi tę norę Pod Kogutem... Och, dobry wieczór panu.

James odwrócił się i stanął oko w oko z postawnym dżentelmenem w średnim wieku; ciemne oczy uśmiechały się do nich spod gęstych czarnych brwi.

- Mój chłopcze, słyszałem, że musiałeś uciekać na wieś - rzucił jakby mimochodem, a gdy Nick poczerwieniał, poklepał go dobrotliwie po plecach. - No, no. Ciekawe, co na to mama. A co słyhać u ciebie, James?

- Witaj, Fox! - James uścisnął dłoń ojca chrzestnego. - U mnie wszystko w porządku. Jak się miewasz?

- O, całkiem nieźle, mój drogi.

- To ja już pójdę. - Nick ukłonił się. - Sługa uniżony.

- Miło było cię zobaczyć, Nick. Przekaż swojemu papie moje wyrazy szacunku, dobrze?

- William dostanie apopleksji - odezwał się James, gdy młodzieniec roztopił się w tłumie.

Charles James Fox, dawny uwodziciel i hulaka, członek Izby Gmin i zadeklarowany wielbiciel Napoleona, parsknął ironicznie.

- Przecież to nie ja użyczyłem swojej rezydencji jego najdroższemu synkowi, aby mógł się zabawić z całą zgrają rajfurek.

James zakrztusił się szampanem.

- Kto ci to powiedział, u licha?

- Nieważne. - Fox uśmiechnął się, niezrażony. - Czasem coś mi wpadnie w ucho. Choć to dziwne - zażył niuch tabaki - ale nie mówi się nic o tym, kim jest szczęśliwa wybranka lub

wybranki, jak chce bardziej pikantna plotka.

James pokiwał głową.

- Coś podobnego! Jednak pewne rzeczy są święte, mimo wszystko.

- Bardzo niewiele - stwierdził Fox, chowając tabakierkę do kieszeni. - Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

James zamyślił się. Fox miał rozmaite dziwne znajomości i kontakty. Może byłby w stanie mu pomóc?

- Mógłbym cię odwiedzić?

- Byłby to dla nas afront, gdybyś tego nie zrobił - odparł z wyrzutem Fox.

- Przepraszam, nie chciałem, aby to tak zabrzmiało. - James się uśmiechnął. - Po prostu wolałbym nie rozmawiać o tym akurat tutaj. Jeżeli to możliwe, to chciałbym poprosić o radę. - Nagle dotarło do niego, że Fox użył liczby mnogiej. - Czy Elizabeth też przyjechała do Londynu?

Fox pokiwał głową.

- Owszem. Planujemy wybrać się latem do Paryża, więc namówiłem ją na kilkudniowy pobyt w Londynie. Na pewno się ucieszy, kiedy cię zobaczy - powiedział, a widząc wahanie Jamesa, dorzucił: - Tylko mi nie mów, że zaczynasz się stawać takim samym nadętym nudziarzem jak William i wizyta u mojej Liz jest poniżej twojej godności.

- Skądże znowu! - zapewnił go James.

Elizabeth Armistead była kochanką Foksa od niemal dwudziestu lat. Zrezygnowała z pozycji jednej z najbardziej znanych londyńskich kurtyzan, aby zamieszkać z Foksem w Chertsey. Nie dla pieniędzy, gdyż Fox przegrał całkiem

spory majątek na długo przed tym, nim poznał Liz. Jakkolwiek śmiesznie by to zabrzmiało, Elizabeth popełniła największe głupstwo, jakie może uczynić kurtyzana - zakochała się, a co gorsza, w splukanym do szczytu hazardziście. Poszła jednak za głosem serca. James uważał ją za jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek, chociaż była od niego starsza o dwadzieścia lat. Jeśli Fox wyrazi zgodę...

- Potrzebuję jej pomocy - oznajmił. - Mam kilka pytań, na które może będzie w stanie odpowiedzieć. Oczywiście, o ile nie masz nic przeciwko temu, chrzestny ojciec.

Foksowi oczy się zaświeciły.

- Jakaś tajemnica? - rzucił, zacierając dłonie. - Wobec tego chodź ze mną, opowiesz mi wszystko przy kartach.

- Przy kartach? - James uniósł brwi.

Fox uśmiechnął się.

- Nie będziemy grać na pieniądze. Liz miałyby mi bardzo za złe, gdybym cię oskubał.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka Lucy z wielkim trudem zdołała się ubrać, bo prawa ręka, naznaczona sińcami, które przybrały fioletową barwę, odmawiała jej posłuszeństwa. Złana potem po ogromnym wysiłku, jakim było włożenie koszuli i spodni, spojrzała w okno. Niestety, znowu z nieba lały się strugi wody. W nocy przestało padać, żywiła więc nadzieję, że się roz pogodzi. Tymczasem dzień okazał się równie ponury i deszczowy jak poprzedni.

Zrezygnowana, otuliła się kapotą, kołdrą i kapą z łóżka i skuliła się na drewnianej ławie z oparciem.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Bicie dzwonów pobliskiego kościoła oznaczało, że minęło południe.

- Kto tam? - zapytała.

- Cambourne.

Zamknęła oczy. Pani Beattie nie uwierzy, że to niewinne wizyty.

- Proszę odejść. Ojca tu nie ma - powiedziała, ale drzwi i tak się otworzyły.

James wpatrywał się w Lucy, owiniętą w kapę i skuloną na piekielnie niewygodnej ławie. Nic dziwnego, że nakryła się, czym mogła, bo w mieszkaniu było zimno jak w psiarni. Klnąc pod nosem, przeszedł przez pokój.

- Dlaczego nie napaliła pani w kominku?

Rzut oka na wiadro z opałem wystarczył za odpowiedź. Została w nim mniej niż połowa węgla. Postawił na stole paczkę i zamykany koszyk, po czym ponownie zwrócił się do Lucy:

- Przecież pani zamarznie.

- Co za bzdury! Jest mi bardzo dobrze pod kołdrą i kapą. Później rozpalę ogień. Po co znów pan przyszedł?

- Zostało odwołane zebranie mojej komisji parlamentarnej - odparł James. Nie wierzył, że Lucy nie jest zimno. Była biała i wymizerowana.

- I dlatego nie ma pan nic lepszego do roboty, jak mnie denerwować? Ojca, jak widać, ani widu, ani słyhu.

James usiadł na krześle.

- Dobrze, że nie wyszła pani w taki deszcz. - Odpowiedziało mu milczenie, więc wskazał na paczkę. - Są w niej książki i trochę nut.

Kiedy to usłyszała, oczy jej się zaświeciły, a usta rozchyliły w uśmiechu. Ależ jest piękna! - pomyślał James. Nagle światło w jej oczach zgasło, a wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

- Dlaczego pan to robi?

- Sądziłem, że się pani ucieszy. Nuty kupiłem, a książki wzięłem z mojej biblioteki. Pożyczam je pani. Przyniosłem też małe szachy. Gra pani w szachy?

- Trochę.

Usiadła prosto. Kapa i kołdra się zsunęły. James spostrzegł, że miała jeszcze na sobie kapotę. Niech to diabli! Nie stać jej na opał i na co jeszcze? Postanowił nie zastanawiać się nad tym w tej chwili.

- Ma pani ochotę zagrać w szachy?

- Czy z tego powodu przemierzył pan kawał drogi?
A gdybym nie umiała grać w szachy?

- Musiałbym panią nauczyć. - Wyjął kasetę z koszyka i dodał: - Oczywiście, gdyby pani sobie tego życzyła.

Zielone oczy zwęziły się w szparki.

- Prosiłam, żeby pan nie przychodził. Pan się w ogóle nie liczy z moimi życzeniami.

James rozłożył szachownicę na stole.

- Tego życzenia nie spełnię. W każdym razie jeszcze nie teraz. Czy gospodyni jest w domu?- zapytał. Nie mógł znieść myśli, że Lucy marznie.

- Nie mam pojęcia. Czemu pan pyta?

- Dokupię więcej węgla. - Nie było sensu pytać Lucy po raz drugi, czy jest jej zimno. Skłamałaby w żywe oczy, nawet gdyby jej zęby szczękały.

- Nie ma potrzeby - zaprotestowała. - Wystarczy mi na później.

- Ale nie na teraz.

Na moment zamilkli.

- Nie chcę, żeby mi pan kupował węgiel!

- Wobec tego, skoro już wprosiłem się na partyjkę szachów, kupię go dla siebie. Może pani jest ciepło pod tymi wszystkimi warstwami, ale ja marznę - powiedział, choć w ciepłym palcie i rękawiczkach, owinięty grubym szalem, nie mógł się uskarzać na chłód.

Niech ona sobie pomyśli, że jest arogantem. Skoro już musi się nią posłużyć, aby dotrzeć do Hensleigha, przynajmniej

zadba o nią, zanim zrealizuje swój cel. Przykucnął przed wystygłym kominkiem i rozpałił ogień. A potem oderwał wzrok od płomieni i uśmiechnął się do Lucy.

- W koszyku jest placek ze śliwkami. Może ukroi nam pani po kawałku, a ja tymczasem pójdę po węgiel. Proszę też zaparzyć herbatę. - Na półce nad kominkiem dostrzegł obtłuczony czajnik.

W oczach Lucy pojawił się ożywczy błysk, ale szybko znikł.

- Dziękuję, nie jestem głodna. Poza tym... skończyła mi się herbata.

James wstał i spojrzał na nią z góry.

- Nie znam pani, nie wiem, jaka pani jest, panno Hensleigh, ale na pewno jest pani okropną kłamczuchą.

Lucy zdążyła pokroić ciasto i rozłożyć szachy, zanim nieproszony gość wrócił.

- Rozmawiał pan z panią Beattie? - zapytała na widok wiadra z węglem.

- Tak. - Nachylił się, żeby dołożyć do ognia. - Bez problemu sprzedała mi węgiel. Chciałem też kupić od niej trochę herbaty, ale się rozmyśliłem.

James wziął do ręki pojemnik z herbatą, powąchał i aż się otrząsnął. Nie wiadomo, co to było, ale z pewnością nie herbata. Przynajmniej taka, do jakiej przywykł.

- Nic dziwnego - stwierdziła Lucy.

James zmarszczył brwi. W jej głosie zabrzmiała nuta, której nie potrafił do końca zinterpretować. Rezygnacja? Przyjrzał jej się uważnie, ale nie mógł niczego wyczytać z jej twarzy. Szachy były bardzo małe, a światło marne, usiadł więc na

ławie obok Lucy i przekręcił lekko szachownicę.

- Woli pani czarne czy białe?

Po kilku ruchach James zorientował się, że Lucy zgrzeszyła nadmierną skromnością. Powiedziała, że słabo gra, tymczasem znalazł w niej godną przeciwniczkę.

- Kto panią nauczył grać w szachy? - zapytał, patrząc, jak rezygnuje ze skoczka, którego jej wystawił na przynętę, unikając w ten sposób zastawionej przez niego pułapki.

- Dziadek - odparła, nie odrywając wzroku od szachownicy.

Wychyliła się, aby przestawić pionek, i luźny kosmyk opadł jej na policzek. W blasku płomieni zaśnił jak czysta miedź. James poczuł, że świerzbią go palce, zapragnął przeczesać nimi jej lśniące włosy.

- Zapomnieliśmy uzgodnić, o co gramy - powiedział. - Proszę podać swoją stawkę.

Podniosła głowę; oczy jej zabłyśły.

- Dług mojego ojca.

James zaklął w duchu, a przecież mógł się tego spodziewać. Oto nagle plan zniszczenia Hensleigha zależy od pojedynczej partii szachów! Nie miał wcale pewności, że zwycięży, a poza tym Lucy wiedziała, iż chodzi o sto funtów, które dla niej były ogromną kwotą. Dobrowolnie zaproponował zakład i zapytał, o co chce grać, więc jako człowiek honoru nie mógł odmówić ani się wymigać, tłumacząc, że po prostu machnie ręką na te sto funtów.

- A jeżeli ja wygram? - zapytał.

Lucy spochmurniała.

- Postąpiłam głupio. Nie mam niczego, co mogłabym

postawić przeciwko stu funtom. Nie możemy zagrać... dla przyjemności?

Minionego wieczoru Fox odmówił gry na pieniądze, pomyślał James, czyli to możliwe.

- Owszem, ale poproszę o cokolwiek, jakiś drobiazg.

- Czy sto funtów to drobiazg? Niska stawka?

- Może być wyższa. - Wykonał ruch, przesuwając skoczką, którym Lucy wzgardziła. - Pani pocałunek. - Marzyło mu się znacznie więcej, będzie jednak musiał się zadowolić pocałunkiem.

Pocałunek przeciwko długowi wysokości stu funtów? Lucy spróbowała nie okazywać zdumienia. Cambourne nawet na nią nie spojrzał, tylko wpatrywał się w szachownicę, rozważając kolejny ruch. Widocznie pocałunek nic dla niego nie znaczy, ale skoro zaproponował zakład, honor nie pozwalał mu się wycofać. Wiedział, że ona nie ma pieniędzy, zgodził się więc, aby wybrała coś innego.

Czy mogła mu zaufać, że poprzestanie na jednym pocałunku? - zastanawiała się. Nie! A gdyby zapragnął czegoś więcej? Są sami, nikt i nic go nie powstrzyma. W końcu uznała, że kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Jeśli Cambourne okaże się zwycięzcą, będzie ją to raptem kosztowało jeden pocałunek. A jeżeli ona wygra, a on dotrzyma słowa, będzie się czuła bezpieczniej. W każdym razie dopóki papa znowu nie przegra.

Była w pełni świadoma, że nie uda jej się wyrwać ojca ze szponów nałogu. Robiła to już tylko dla siebie, bo dla niego nie zaryzykowałyby nawet guzika, a co dopiero pocałunku. Może wygrana pomogłaby jej znaleźć wyjście z tej beznadziejnej

sytuacji?

Odważyła się na niego spojrzeć.

- A co z pańską żoną?

- Z kim?

- Z pana żoną. Czy ona...

- Skąd myśl, że jestem żonaty? Czemu to dla pani takie ważne?

- Mężczyźni mają swój kodeks honorowy. Najpierw spłaca się długi z hazardu, a dopiero potem płaci pracownikom lub reguluje czynsz. Mój kodeks honorowy nie pozwala mi wziąć czegoś, co nie jest moją własnością.

- Nawet jeśli nie przywiązuję wagi do tego pocałunku, podobnie jak moja żona, zakładając, że ją mam?

- Tak, nawet wtedy, bo to mój pocałunek.

Musiało to zabrzmieć głupio, pomyślała ponieważ Lucy. A swoją drogą, czemu zrobiło jej się przykro, kiedy usłyszała, że to dla niego bez znaczenia?

- W porządku. Nie jestem żonaty - powiedział James.

Uznała, że pewnie łże w żywe oczy.

- Wobec tego pocałunek za dług mojego ojca.

- Mogłem skłamać - rzucił z przekorą.

Czyżby ten wredny typ czytał w jej myślach?

- Owszem, ale na swoją odpowiedzialność. Tak czy inaczej współczułabym pańskiej małżonce.

- Mojej nieistniejącej małżonce. - Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy - To jak, umowa stoi?

Życzliwy uśmiech Cambourne'a przerażał ją bardziej niż pocałunek.

- Tak. Jeżeli ja wygram, anuluję pan dług mojego ojca.
A jeżeli pan zwycięży, to pana pocałuję.

Cambourne skinął głową.

- Zgoda.

Niestety, przegrała. Wiedziała, że tak będzie, jak tylko wykonała ruch, popełniając błąd, który kosztował ją utratę króla.

- Wygrałem - oznajmił Cambourne.

- Tak - przyznała, zbierając się w sobie.

Tymczasem on wstał, podszedł do kominka i dorzucił trochę węgla.

Patrzyła na jego plecy, szerokie ramiona, na wąskie biodra i... pośladki. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że na widok męskich pośladków może się jej zrobić gorąco. Młode damy nie powinny nawet myśleć o takich sprawach.

- Chce pan tego pocałunku czy nie? - zapytała. Może jednak jest żonaty i zmienił zdanie.

Cambourne się odwrócił.

- Ależ tak - odparł miękkiem głosem, który podrażnił zmysły Lucy. - Oczywiście, że chcę.

Na moment serce jej zamarło, po czym głucho załomotało. Cóż, uznała, lepiej mieć to za sobą. Wstała, odrzucając kapek i kołdrę.

- Nosi pani chłopięce ubranie? - zdumiał się Cambourne.

Popatrzyła na znoszone spodnie i kubrak. Zapomniała, że ma je na sobie.

- A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Chyba nie. - Uśmiechnął się. - Nic tak nie pobudza apetytu

jak urok nowości.

- Urok nowości?

- Nigdy dotąd nie całowałem się z kimś w stroju chłopięcym.

- Zmarszczył brwi. - Wybierała się pani na dwór, żeby grać?

- Tak, ale za mocno padało - odparła.

Nie zamierzała mówić mu o bolącym poturbowanym ramieniu.

Zaczerpnęła tchu i pomału zaczęła się zbliżać do Cambourne'a.

- Co pani robi? - zapytał.

- Idę pana pocałować - odparła zmieszana. - A może woli pan, żebym z daleka przesłała całusa?

- Nie - odrzekł z uśmiechem. - Nie taka była umowa. Czekał - dodał i zamknął oczy.

Lucy podeszła do niego, wspięła się na palce, położyła mu lewą rękę na ramieniu i musnęła wargami jego podbródek. Był szorstki, pachniał drewnem sandałowym i jeszcze czymś... pewnie męskim zapachem. Okazało się, że łatwo byłoby pocałować go ponownie, tym razem w usta. Co też ją naszło? Szybko cofnęła się o krok.

Cambourne uniósł powieki.

- Co to miało być?

- Pocałunek - odparła, marszcząc brwi. - Tak jak się umówiliśmy.

- O nie! - zaprotestował energicznie. - To było cmoknięcie w brodę. Nie założyłbym się o długi pani ojca w zamian za coś takiego.

- Ale to był pocałunek - upierała się w przyływie paniki.

- Gdyby była pani moją siostrą albo niezamężną ciotką, może i tak - przyznał. - Chyba będę musiał pani pokazać, jak się to robi.

Cambourne powoli przyciągnął ją do siebie, otaczając silnymi ramionami. Ciepły oddech muskał jej skroń. Instynktownym gestem położyła mu dłonie na piersi i poczuła, jak porusza się w kolejnych oddechach. Gorące wargi dotknęły jej skroni w przelotnej pieśczoście, a ją oblał żar. Gdy nieco wzmocnił uścisk, zaczęła mieć wątpliwości. Co będzie, jeżeli on zapragnie czegoś więcej, nie tylko pocałunku?

W tym momencie rozluźnił ramiona.

- Spójrz na mnie, kochanie - powiedział, gładząc delikatnie jej szyję. - Tylko pocałunek. Obiecuję.

Uśmiechnięte usta przesunęły się wzdłuż jej ucha i linii podbródka, drażniąc i łaskocząc skórę. Na moment zatrzymały się na pulsującej żyłce na szyi, by na koniec odnaleźć kącik jej ust.

Nie wypuszczając Lucy z ramion, James nakrył ustami jej wargi. Niewinność tej dziewczyny poruszyła go do głębi. Mobilizując całą siłę woli, starał się całować ją delikatnie i czule, trzymając żądze na wodzy. Obwiodł językiem miękkie wargi, a ona lekko je rozchyliła, więc nienachalnie wsunął język i poczuł jej pełen słodczy smak. Zanim zdążyła się odsunąć, przerwał pieśczoć i wyszeptał:

- Teraz. Proszę o mój pocałunek.

Lucy odsunęła się trochę, oszołomiona i zdezorientowana. Jak to? A co to było?

- Przecież... właśnie pana pocałowałam - powiedziała.

Roześmiał się w ten swój przekorny sposób, wobec którego traciła resztki zdrowego rozsądku, po czym dodał:

- Nic podobnego. Pokazałem tylko, jak się to robi. A teraz pani kolej.

To była lekcja?

- A jeżeli tego nie zrobię?

- Byłbym głęboko zawiedziony - odparł, nie przestając się uśmiechać.

Z tym mogłaby żyć. Czemu jednak nie wziął tego, czego chciał?

Odpowiedź była prosta: oczekiwał, że to ona go pocałuje.

Przypatrywał się jej, przekonany że każe mu iść do diabła, a tymczasem usłyszał:

- Dobrze.

Lucy wyglądała jak męczennica wrzucona do jaskini lwa, mimo to zdecydowała się. On zaś obiecał jej, że na tym się skończy. Nie złamie danego słowa, choć potrzeba do tego nadludzkiej siły.

Drobna ręka spoczęła na jego ramieniu, a druga objęła go w pasie. Pochylił głowę i gdy ich usta się spotkały, Lucy zamknęła oczy. James czekał cierpliwie i nagle jej wargi poruszyły się w najbardziej niezdarnym, najśłodszym pocałunku, jakim go kiedykolwiek obdarzono. Odwzajemnił pieśczętę. Ich języki zaczęły zmysłowy taniec, z początku trochę niewprawy, potem śmielszy. Słyszał tłumione jęki wydawane przez Lucy, czuł, że cała drży.

Żaden pocałunek nie wstrząsnął nim aż do tego stopnia - a przecież nie był niedoświadczonym młodzieniaszkiem,

bezbronny wobec mocy kobiecych wdzięków. Cofnął się, zdecydowany zapanować nad sobą, mimo że pragnął wziąć wszystko. Zamierzał jednak przestrzegać reguł zakazujących uwodzenia niewinnych dziewcząt; nie złamie ich, chociaż z trudem panuje nad pożądaniem.

- Czy... to jest pocałunek? - zapytała, unosząc głowę.

- Tak - odparł.

Miał wielką ochotę na więcej, ale zawarli honorowy układ i go nie złamie. Musnął wargami miedziany kosmyk i z ciężkim westchnieniem wypuścił Lucy z objęć, po czym odszedł kilka kroków. Odezwał się, zwrócony do niej plecami:

- Panno Hensleigh, jeżeli pani sobie by tego życzyła, mógłbym panią stąd wyciągnąć. Ze mną byłaby pani syta i bezpieczna.

- Proponuje mi pan, żebym została pańską kochanką? - Lucy oblała się purpurowym rumieńcem.

- Tak.

- Miał być tylko pocałunek, przecież pan mi to obiecał - wykrztusiła drżącym głosem. Pomyślała, iż wziął co najmniej dwa, i to jakie! - Chciał mnie pan uwieść!

Odwrócił się gwałtownie.

- W żadnym razie! Nie miałem takich intencji.

- Dopiero co poprosił mnie pan, aby została pańską kochanką!

- Owszem - przyznał - ale nie zamierzam pani uwieść tu i teraz. Pragnę czegoś więcej niż szybkiej satysfakcji. Gdyby było inaczej, a pani nie była niewinna, już leżelibyśmy w łóżku.

- Czemu ma to dla pana aż takie znaczenie?

- Proszę mnie nie obrażać! - rzucił z furją. - Mam zasady, nie uwodzę dziewczyc! - James zaczerpnął tchu i dodał łagodniejszym tonem: - Jeżeli zdecydowanie nie chce pani zostać moją kochanką, proszę mi to powiedzieć i na tym zakończymy sprawę. A jeśli nie jest pani pewna, dam pani czas do namysłu. Nie będę pani uwodził ani opowiadał kłamstw o miłości.

Lucy westchnęła. Uczciwość i szczerść - oto, co proponował. A także przynajmniej na pewien czas poczucie życiowego bezpieczeństwa. Wystarczyło powiedzieć „tak”.

Tymczasem James zastanawiał się, czy można jeszcze bardziej skomplikować najprostszą ofertę. Chyba czas postawić kropkę nad i.

- Moja propozycja nie obejmuje tylko jednego - powiedział.

- Małżeństwa? - rzuciła. - Niech się pan nie martwi. Nie jestem aż tak niewinna.

Małżeństwa? Co ona opowiada?

- Miałem na myśli dług pani ojca. Ten punkt nie podlega negocjacji, bez względu na to, czy zostanie pani moją kochanką, czy nie.

- Wobec tego po co chciał się pan zakładać? A może był pan pewny wygranej?

- Nie, wcale nie. Po prostu zapytałem, a pani się zgodziła i podała swoją stawkę.

Uznał w duchu, że gdyby anulowanie długów ojca miało być jedynym powodem, dla którego zostałaby jego kochanką, nie poszedłby na taki układ. Byłby to przecież pewien rodzaj gwałtu. Nawet gdyby zaniechał pościgu za ojcem Lucy, nie

chciałby, aby ta sprawa wpłynęła na jej decyzję. Jeżeli miałyby przyjąć jego propozycję, to tylko z własnej i nieprzymuszonej woli. I jedynie dla swojego dobra.

Podszedł do okna, chcąc uniknąć pokusy wzięcia jej w ramiona i wymuszenia zgody za pomocą pocałunków.

- Poprosiłem, by została pani moją kochanką. A nie o to, abym mógł z panią sypiać w zamian za skreślenie długów pani ojca - zaczął jej tłumaczyć. - Chodzi mi tylko o panią. Byłaby to umowa między panią a mną. Nigdy bym pani nie szantażował.

Tym sposobem, prędzej czy później dostałby Hensleigha w swoje ręce, a Lucy byłaby bezpieczna pod jego opieką. Kobieta, która kłopotczy się podczas zakładu o pocałunek, że mógłby być żonaty, zasługuje na lepszy los niż ten, jaki jej przypadł z powodu ojca szulera.

- Miałaby pani niewielki dom, służbę, stroje, biżuterię i pieniądze na drobne wydatki. A także stałą pensję.

Dawna Lucy Armitage, tak starannie wychowywana przez babcię, zemdlałaby, słysząc tak obraźliwą propozycję. Natomiast Lucy Hensleigh lub Hammersley czy nazywająca się jeszcze inaczej przez ostatnie cztery lata uznała ją za niebywale kuszącą przede wszystkim ze względu na uczciwość i szczerść Cambourne'a, jego delikatność oraz poczucie honoru. Te właśnie cechy za nim przemawiały, mimo że według jej babci przyjęcie jego propozycji oznaczałoby los gorszy od śmierci. Z drugiej strony, babcia pewnie nigdy w życiu nie była głodna, nie wisiało też nad nią widmo życia na ulicy.

- Pewnie się pani zastanawia, czy może mi zaufać? - Szorstki głos wdarł się w jej rozmyślenia. - Za pani zgodą możemy spisać kontrakt, który będzie panią chronił i zabezpieczy ewentualne dziecko.

Znowu czytał w jej myślach i nazwał po imieniu największą z jej obaw. Okazało się, że Cambourne zadbałby o dziecko.

Co czynić? Powinna mu odmówić. Dawno już należało to zrobić, a nie dyskutować o zaufaniu. Czy można ufać komuś, kto oferuje dziewczynie status kochanki? Nie! Z tym że nie próbował wciągnąć jej w to za pomocą nieuczciwych sztuczek. Mówił wprost, nie obiecywał dozgonnego uczucia, nie mówiąc już o małżeństwie, by się później z tych przyrzeczeń wycofać. Zacisnęła dłonie w pięści, jakby chciała zdusić wewnętrzny głos, przypominający jej rozliczne zalety oferty. W końcu zdecydowanie oznajmiła:

- Nie! Dziękuję, ale nie.

- To wszystko? - James nie krył zdumienia. - Nie, dziękuję?

- A co mam powiedzieć? - spytała poirytowanym tonem. - Mam się tłumaczyć?

Cień uśmiechu przemknął przez jego twarz.

- Spodziewałem się raczej, że wskaże mi pani drzwi. Tymczasem usłyszałem uprzejmą odmowę.

Kpił z niej. To było do przewidzenia.

- Najmocniej przepraszam, jeżeli poczuł się pan źle potraktowany, milordzie. Nie co dzień trafiają mi się oferty, bez względu na to, czy haniebne, czy inne.

- A mogłyby, i to bez trudu - zauważył.

- Czy to groźba?

- Ostrzeżenie. Niech pani na siebie uważa, Lucy. Nie będę dłużej pani dręczył. Życzę miłego popołudnia.

Ogarnęło ją uczucie, które powinno być ulgą, że już więcej nie nalegał. Czyżby? Chyba to jednak nie koniec?

- Czy to znaczy, że będzie się pan teraz trzymał ode mnie z daleka? - spytała. Jeżeli tak, pomyślała z nadzieją, to może pani Beattie zrozumie swój błąd i obniży czynsz.

- Nie. Zajrzę tu jutro, ale nie będę naciskał w tej sprawie.

- Dlatego, że odmówiłam?

- Tak - potwierdził, po czym dorzucił: - Gdyby zmieniła pani zdanie, wystarczy powiedzieć. Moja propozycja pozostaje otwarta.

Podszedł bliżej i koniuszkami palców delikatnie obwiodł owal jej twarzy. Ten lekki jak piórko dotyk sprawił, że oblała ją fala gorąca, i jednocześnie wzbudził w niej nieokreśloną tęsknotę... Jakaż musiała być głupia! O mały włos byłaby uległa. Cofnęła się, próbowała stanąć mocno na nogach i zaczerpnęła tchu.

- Do widzenia, milordzie.

- *Au revoir*. - Cambourne skłonił się i wyszedł.

Roztrzęsiona, wciąż pod wrażeniem jego dotyku, Lucy słuchała odgłosu kroków na schodach, a gdy na dole trzasnęły drzwi, oparła się pokusie, by podbiec do okna i wyrzeć na dwór. Bo i po co? Doskonale wiedziała, jak wygląda ten wysoki, szczupły mężczyzna o szerokich ramionach i wąskich biodrach. Wiedziała także, iż jego zwodniczo lekkie ruchy maskują ogromną siłę. Tę samą, której mógłby użyć przeciwko niej, czego nie zrobił. Uwodził ją łagodnością

i wyrozumiałością, znacznie bardziej niebezpieczną niż groźby szantażu. Czy był świadom, że gdyby zaproponował jej umorzenie ojcowskich długów w zamian za jej zgodę, posłałaby go do diabła?

Tak czy inaczej, jednak powinna była tam go odesłać. Dopóki nie zmieni zdania, będzie bezpieczna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Ile? Funta?

- Funta - odburknął pan Jessup. - I tak przepłacam. To jak, bierzesz czy nie?

Lucy ścisnęła w drżących palcach złoty medalion.

- Jest wart o wiele więcej! - Udało jej się go uratować przed ojcem, bo po tym, jak sprzedał resztę biżuterii, ukrywała go w wewnętrznej kieszonce sukni.

- Może dla ciebie, panienko, ale nie dla mnie.

- Przecież sam łańcuszek więcej kosztuje! - odparła z oburzeniem.

- Łańcuszek nie jest dla mnie więcej wart niż pięć szylingów - stwierdził właściciel lombardu, wzruszając ramionami.

- Pięć szylingów?

- I owszem.

Lucy ogarnął gniew, ale wybrała kompromis, idąc za głosem rozsądku.

- Zgoda. - Rozpięła zamek, zdjęła wiszący na szyi medalion i podsunęła łańcuszek Jessupowi. - Pięć szylingów za łańcuszek - podkreśliła, chowając medalion.

- Chwileczkę! Nie stwierdziłem, że tyle zapłacę!

- Mówił pan, że jest wart pięć szylingów!

- Musiałbym mieć dużo szczęścia, by tyle za niego dostać - odparł niezadowolony pan Jessup.

- Powiedział pan, że wycenia go na pięć szylingów. Nie mówił pan, jaką wartość może przedstawiać dla klienta - zauważyła, ściskając w palcach łańcuszek. - Zrozumiałam to jako ofertę. Pięć szylingów.

- Och, dobrze już, dobrze - niechętnie zgodził się pan Jessup, grzebiąc w metalowym pudełku za ladą. - Niech będzie. Moja strata.

Lucy odetchnęła z ulgą. Tego ranka wzięła do ręki skrzypce i spróbowała grać, ale udało jej się to zaledwie przez pięć minut. To za krótko, aby zarobić jakiegokolwiek pieniądze, ale i tak lepiej niż przed dwoma dniami.

Jessup wręczył jej pieniądze. Przeliczyła je i powiedziała:

- Brakuje sześciu pensów, panie Jessup.

Zmierzył ją złym wzrokiem, ale dołożył resztę.

- Muszę zarabiać na życie - biadolił. - Tak samo jak każdy.

Sądząc po liczbie monet w kasie, posiadał znacznie więcej, niż potrzeba na obiad, pomyślała Lucy.

- Dziękuję panu. - Obdarzyła go uprzejmym uśmiechem. - Życzę miłego dnia.

- Piękne słówka to żadna rekompensata za to, że oszwabiłaś biednego staruszka.

Już miała na końcu języka ciętą ripostę, ale się pohamowała. Po co go irytować? Kto wie, może jednak będzie musiała sprzedać medalion? Jeżeli ojciec szybko nie wróci do domu, to niewykluczone, iż tak się stanie.

- Nie - zaoponowała. - Jestem po prostu wdzięczna, że pan mi pomógł, dając uczciwą cenę. - Omal nie udławiła się tymi słowami.

Pan Jessup wyraźnie się zmieszał i zaczął szperać w kasie.

- Idź już stąd, panienko. - Ściszył głos i dodał: - Jak zobaczysz swojego ojca, powiedz mu, że Kilby go szuka.

- Kilby?

Pan Jessup rozejrzał się ukradkiem.

- Świat nie musi poznać jego nazwiska! Powtórz to ojcu. A jakby co, nie ode mnie to usłyszałaś.

Fitch kręcił się w pobliżu, w zacienionej alejce. Jig, człowiek Kilby'ego, dał mu jasno do zrozumienia, że szef nie jest z niego zadowolony i że jak nie weźmie się do roboty, będzie miał kłopoty. Parokrotnie, jakby mimochodem, zapytał o Lu. Dlatego Fitch postanowił się trzymać od Lu z daleka, aby nie narazić jej na niebezpieczeństwo. Chyba zyskał w oczach szefa, bo bez trudu zarobił za wczoraj i za dzisiaj. Dlatego też po tym, jak wręczył Jigowi to, co udało mu się ukraść, od razu się ulotnił. Wprawdzie miał puste kieszenie, ale to, co od tej chwili zgarnie, będzie tylko do niego należało, a kieszki grają mu marsza z głodu.

Kilku dżentelmenów, których sobie upatrzył, przeszło obok, paplając w jakimś obcym języku, chyba po francusku. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co działo się wokół. Mógłby podwędzić któremuś z nich portfel i zniknąć, zanim gość się zorientuje, że został okradziony.

Nie ruszył się jednak, gdyż na samą myśl o tym poczuł się nieswojo. Oczywiście, nie chodziło mu o okradzionych, bo tych miał za nic. Rzecz w tym, że nie potrafił zapomnieć ulgi malującej się na twarzy Lu, kiedy tamtej nocy wparował przez okno do jej mieszkania. A skoro tak, to musiała się o niego

troszczyć.

Kiedyś może śmiałyby się z tego, ale nie teraz. Choć nie należał do strachliwych, to, co podsłuchał, siedząc na dachu, kiedy u Lu bawił ten elegant, dało mu do myślenia. Gdyby okradał ludzi przysłuchujących się jej grze na skrzypcach, zatrzymaliby ją razem z nim. Oczywiście, nie zrobiłby tego, ale komuś mogłoby się tak wydawać. I co wtedy? Zostałaby uznana za jego współniczkę i skończyła na szubienicy razem z nim. Poczuł ukłucie w sercu jak wtedy, gdy zaatakował ją ten potwór, sklepikarz. Nie wiedział, co byłoby gorsze - patrzeć, jak zakładają jej pętlę na szyję, czy wiedzieć, że będzie po nim następna.

Nagle otworzył szerzej oczy, bo oto w jego kierunku zmierzał ów elegant we własnej osobie. Lord Cambourne, bezmyślny drań, przez którego Lu miała same kłopoty. Wyszedł ze sklepu z herbatami, robiąc przy tym minę, jakby był panem tego świata.

Fitch zamyslił się na moment, a potem cofnął w cień, poruszając palcami. Musi zachować szczególną ostrożność, ponieważ ten, którego by obrobił, zna go z widzenia. Może dobrać się do eleganta, kiedy będzie przechodził przez ulicę? Tylko trzeba uważać, by nie zostać zmiażdżonym przez wóz albo inny pojazd. Oczywiście, gdyby milord wpadł pod koła, ułatwiłoby mu to zadanie.

Lord Cambourne właśnie przeszedł obok Fitcha, ale on wciąż zwlekał. Gość pewnie wiedział wszystko o kieszonkowcach albo myślał, że wie. Nie ma jednak pojęcia, na co stać Fitcha. Wyłonił się z cienia, gdy Cambourne był już

o jakieś dziesięć kroków z przodu.

Lucy poczuła przyspieszone bicie serca na widok lorda Cambourne'a wychodzącego ze sklepu z herbatami po drugiej stronie ulicy. Tej wysokiej wyprostowanej sylwetki nie sposób przeoczyć. Co on tu robi? Przecież ktoś taki jak on nie musi sam kupować herbaty, ma do tego służbę. Owszem, zapewne osobiście bywał u jubilera lub krawca, ale zwykłe zakupy? A jednak właśnie wpychał do kieszeni sporą paczkę herbaty, rujnując fason płaszcza. Pomyślała, że kupił ją dla niej – raczej nie była to któraś z tańszych mieszanek.

Skręcił w prawo, w stronę kamienicy, w której mieszkała. Patrzyła, jak przepuszcza przed sobą nędznie ubraną kobietę. „To maniery czynią człowieka” – zwykła mawiać jej babcia, jednak w przypadku lorda Cambourne'a w grę wchodziło coś więcej. Ojciec popisywał się dobrymi manierami tylko wtedy, kiedy potrzebował się nimi posłużyć w wiadomym sobie celu. Między towarzyską ogładą a dobrocią i współczuciem dla innych jest jednak zasadnicza różnica, uznała Lucy. Niepotrzebnie się roztkliwia. Pora zadać sobie pytanie, czy zamierza zostać kochanką Cambourne'a, czy nie.

Tymczasem hrabia wyraźnie wybierał się do niej, i to w porze, kiedy pani Beattie z pewnością go zauważy. A nawet jeśli nie, to znajdą się usłudźni, którzy jej o tym doniosą. Może jednak wytłumaczyć mu, o co chodzi z podwyżką czynszu? Przecież stwierdził, że nie zamierza jej szantażować. Przyspieszyła kroku, chcąc dotrzeć do skrzyżowania przed Cambourne'em. Powie mu tylko tyle, ile będzie absolutnie konieczne. Wyteńczyła wzrok. Tak, przecież to Fitch!

Wymknął się z bocznej uliczki i z rękami w kieszeniach ruszył chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Z każdym krokiem coraz bardziej przybliżał się do lorda Cambourne'a. Za plecami Lucy dwa psy walczyły o ten sam kawałek rynsztoka, ujadając wściekle, ale prawie ich nie słyszała, skupiona na tym, co widzi. Nie, pomyślała, Fitch tego nie zrobi. Nie może być aż tak głupi! W najgorszym przypadku każe mu oddać to, co ukradł, albo sama to zwróci.

Uwagę Jamesa przykuł psi jazgot dobiegający z przeciwnej strony ulicy. Obejrzał się i zobaczył Lucy w dziewczęcym stroju. Napięcie, którego nie był do końca świadomy, zelzało, gdy się upewnił, że nie dostała zapalenia płuc, grając w deszczu. Jednak zbladła i schudła, co go zmartwiło. Patrzyła na niego z takim przerażeniem, jakby ujrzała ducha, więc znów się zdenerwował. Kątem oka dostrzegł ruch, który kazał mu pozostać czujnym.

Dla Lucy czas stanął w miejscu, gdy Fitch wsunął palce do kieszeni lorda Cambourne'a, a ten błyskawicznie odwrócił się i chwycił go za rękę. Nie zdążyła nawet pomyśleć, co mogłaby uczynić. Sparaliżował ją strach w obliczu druzgocącej prawdy – Fitch zawiśnie!

Po chwili puściła się biegiem, omijając konną platformę z browaru. Pędziła jak szalona, skupiona tylko na jednym – dotrzeć do Fitcha.

James trzymał wierzgającego złodziejaszka. Wokół słyszał krzyki i złorzeczenia. Serce zamarło mu na widok Lucy, która o mały włos nie została potrącona przez konia. Nawet chłopak przestał się wyrywać i zaklął szpetnie, choć zabrzmiało to jak

modlitwa. Tymczasem Lucy przedostała się na ich stronę ulicy. Zdyszana i potargana, z obłędem w oczach, kurczowo chwyciła Jamesa za rękę.

- Puść go! To pomyłka. Popełniasz błąd

- Nie ja, ale ten gnojek! - stwierdził stanowczo James. - Chciał mnie okraść!

- To nie gnojek, tylko jeszcze dziecko! - zawołała Lucy.

- Jest na tyle duży, żeby go powiesić! - rzucił James i przeraził się na widok nagle skamieniałej twarzy Lucy.

- Nie, błagam. Zrobię wszystko, co zechcesz, tylko puść go wolno.

Głos Lucy zabrzmiał bardzo cicho. Aż tak bardzo zależy jej na tym złodziejaszku? - zastanawiał się James.

- Święta racja, jest na tyle dorosły, że można go powiesić - odezwał się mężczyzna, który się obok nich zatrzymał.

- Pewnie - poparł go inny. - Złodziejskie nasienie! - Naprężył muskuły. - Pomogę panu doprowadzić tego łobuza pod sąd! - Chciał złapać Fitcha, ale natknął się na Lucy, która sobą osłoniła przyjaciela. - Jazda stąd, dziewucho! - Chwycił ją za ramię i odepchnął z całej siły.

Krzyknęła, osuwając się na kolana.

- Lucy! - zawołał James, skupiając na niej uwagę.

Tymczasem złodziejaszek zdołał wyswobodzić się z jego uścisku. Nie uciekł jednak, korzystając z okazji, lecz z pochyloną głową ruszył na mężczyznę, który popchnął Lucy, i z całych sił uderzył go poniżej krzyża, przewracając na chodnik. Następnie przykucnął obok Lucy.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

W tym momencie jeden z gapiów złapał go za rękę i pociągnął do góry; inny pospieszył mu na pomoc.

- Mamy go, szanowny panie!

Fitch nie usiłował się wyrwać. Może uznał, że to nie ma sensu, skoro trzyma go dwóch osiłków, a kilku innych się przygląda. Wzrok wbił w Lucy, która ruszyła mu na pomoc, ryzykując własne życie.

James zaklął cicho. Miał obowiązek przekazać chłopaka w ręce władz, ale...

- Milordzie, proszę! - usłyszał błagalny głos Lucy.

Klnąc w duchu, pomógł jej wstać i otoczywszy ją ramieniem, odwrócił się do mężczyzny, który trzymał Fitcha. Chłopak hardo spojrział mu w twarz, lecz wydawał się pogodzony z losem, jakby przyjął do wiadomości, że to koniec.

- Puście go! - rzucił szorstko James. - To był wypadek, pomyłka. Chłopak wpadł na mnie niechcący, to wszystko. - Nie mógł uwierzyć, że mu to przeszło przez usta.

- Co takiego?! - wybuchnął mężczyzna. - Przecież to złodziej! - Walnął mnie w ty... w tył pleców - poprawił się, bo James zgromił go wzrokiem. - Robią z pana durnia! Przecież to jasne jak słońce, że ta dziewczucha jest z nim w zмовie! - Splunął do rynsztoka. - Wystarczy, że zatrzepotała rzęsami, a pan puścił im to płazem, ot tak! - Wściekły, pchnął Fitcha tak mocno, że chłopak potykając się, poleciał do przodu, burcząc coś pod nosem.

Drugi z mężczyzn był tego samego zdania.

- Szanowny pan będzie tego żałował - powiedział. - Pomogę panu doprowadzić tę parkę do magistratu. Nie ma innego

wyjścia. Przynajmniej chłopak powinien zadyndać, a co do tej dziewczuchy...

- To pomyłka - powtórzył James, czując, jak Lucy drży w jego uścisku.

- Dziękuję panu za pomoc; dam sobie radę.

Najwyraźniej Fitch odzyskał rezon, bo otrzepał się z kurzu i spojrzał na osiłka tak zuchwale, że ten zaklął i oddalił się, wzburzony.

- Lu... - Fitch zwrócił się do Lucy. - Co się dzieje? - przeraził się, widząc, że ona się śłania.

James zaklął i chwycił ją na rękę.

- Puść ją, do cholery! - krzyknął Fitch. - Co jej robisz?

- Zemdląła! - rzucił James, wstrząśnięty, bo była lekka jak piórko.

- Lu nigdy nie mdleje!

- Ale teraz tak się stało. Pewnie na myśl o tym, że miałyby patrzeć, jak cię wieszają.

- Ona... Okropnie boli ją prawe ramię.

- Z jakiego powodu?

- Sklepikarz nie chciał, żeby grała przed jego sklepem i z całej siły uderzył ją lagą.

James zaklął. Niech to diabli! Wiedział przecież, że w tym chłopięcym stroju Lucy nie będzie bezpieczna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gospodyni dopadła ich w holu.

- Ejże! Co to ma znaczyć?

- Panna Hensleigh źle się poczuła - wyjaśnił James.

- To widać - prychnęła - ale... - Ujęła się pod boki na widok Fitcha. - Ej, ty! Wynocha! Nie ma tu miejsca dla ciebie i twoich kompanów. Jeszcze coś ukradniesz.

- On jest ze mną - poinformował ją James.

Pani Beattie otworzyła szeroko oczy, ale nie zaprotestowała, gdy Fitch popędził na górę. Zanim James wspiał się na piętro, chłopak zdążył otworzyć drzwi i przysunąć ławę do kominka.

James położył Lucy na ławie. Nie poruszyła się, kiedy zaczął rozpinać jej suknię. To śmieszne, ale palce mu drżały, choć przecież nieraz rozbierał kobiety, tyle że obecnie nie robił tego w grzesznych zamiarach. Wstrzymał oddech, gdy niechcący musnął palcami jej jedwabistą skórę. Lucy cicho westchnęła.

- Co pan wyprawia? - obruszył się Fitch.

- Chcę obejrzeć jej ramię.

James ostrożnie odciągnął materiał, starając się nie patrzeć na odsłaniane, ponętne kształty kobiecej sylwetki. Gdy ściągał suknię z ramienia, znów musnął jedwabistą skórę i nagle zamarł.

- Cholera! - rzucił. - Sklepikarz pobił ją laską? Wygląda,

jakby użył pałki! – Sińce miały odcień ciemnofioletowy. Sądząc po ich żółknących brzegach, do incydentu musiało dojść parę dni wcześniej.

– Uderzył ją kilka razy, zanim przybiegłem – wyjaśnił Fitch. – Myślę, że bardziej niż o siebie martwiła się o skrzypce. Ośłaniała je, żeby ich nie roztrzaskał.

James ostrożnie zbadał potłuczone ramię. Miała szczęście, że kość nie została złamana.

– Jest tu gdzieś woda? – zapytał, wyjmując z kieszeni chustkę do nosa.

– Pewnie tak.

– Zamocz ją i przynieś mi z powrotem.

– Nie będzie mi pan rozkazywał! – rzucił ze złością Fitch, ale zapytał: – Czy to dla Lu?

– Tak.

– Aha, w porządku. Bo jak dla pana, to mógłby ją pan sobie wsadzić tam, gdzie słońce nie dociera. – Fitch zamoczył chustkę w dzbanku na stole. – Mam ją wycisnąć?

– Tak, proszę. – James wziął od niego chusteczkę. – Dziękuję. – Delikatnie otarł twarz Lucy i odetchnął z ulgą, gdy otworzyła oczy. – Niech pani nie próbuje usiąść. Proszę leżeć spokojnie i...

– To dla niej – przerwał mu Fitch, przynosząc z drugiego pokoju wytartą kołdrę i wygniecioną poduszkę.

– Miałeś dobry pomysł – pochwalił James.

Ostrożnie opatulił Lucy, żałując, że kołdra nie jest grubsza i miększa. U mnie miałyby wygodny materac z końskiego włosia i puchową kołdrę, pomyślał. Podsunął jej poduszkę

i pomógł ułożyć się wygodniej.

- Trzeba poleżeć tak przez chwilę.

Wydawała się krucha i nadal była blada. Podszedł do okna i skinął na Fitcha, który tym razem nie zaprotestował.

- Posłuchaj - zaczął mówić cichym poważnym tonem. - Poza prośbą Lucy, która błagała mnie, abym uratował ci życie, nie widziałem żadnych powodów, dla których nie miałbym cię zaciągnąć do najbliższego magistratu. - Pominąwszy fakt, że mając szansę ucieczki, chłopak został, aby bronić Lucy.

- To wszystko twoja wina, frajerze! - rzucił obcesowo Fitch.
- Nachodzisz Lucy, a przez to ta stara wiedźma chce od Lucy więcej za czynsz.

- Fitch! Nie!

James odwrócił się i spostrzegł, że Lucy zdołała usiąść i rozgląda się, oszołomiona. Podszedł więc do niej, a Fitch ciągnął:

- Kiedy zobaczyłem, jak wychodzi od starego Jessupa, od razu się zorientowałem, że sprzedała medalion. Zresztą pan też tam był. Z paczką drogiej herbaty wychodził pan od Twiningsa, podczas gdy Lucy nie ma na czynsz. A wszystko przez pana!

James nie mógł się w tym doszukać sensu.

- Proszę się nie ruszać - zwrócił się do Lucy, która próbowała wstać.

- Nie wstawaj, Lu. - Fitch stanął po jej drugiej stronie. - Mało nie umarłem ze strachu, kiedy zasłabłaś.

Lucy opadła z powrotem na ławę i James znów owinął ją kołdrą.

- O co chodzi z tym czynszem? - zapytał.

Nie pojmował, dlaczego miałyby to być jego wina. Chociaż, jak się zastanović, to tak wystraszył jej ojca, że drań uciekł z Londynu. A niech to! Przecież ona mogła wylądować na bruku! Co gorsza, już została pobita przez jakiegoś durnego sklepikarza.

Fitch podjął opowieść:

- Lu nie może zapłacić za czynsz, bo ta stara ku...

- Co to za język! - James trzepnął go w głowę.

- Krowa - burknął Fitch. - Ta stara krowa podniosła jej czynsz, bo...

- Fitch! Cicho bądź! - rozległ się słaby głos Lucy

James udał, że jej nie słyszy.

- Mów dalej, Fitch.

- Powiedziała, że Lu musi więcej płacić za mieszkanie, bo przyjmuje klientów.

- Co takiego? - James dobrze wiedział, co to znaczy. Czyżby Lucy była w tak rozpaczliwej sytuacji? Przecież proponował jej, a nawet ją prosił, aby została jego kochanką. Czy aż tak bardzo się nim brzydziła? Odwrócił się do niej, wstrząśnięty.

- Pani Beattie jest w błędzie - odezwała się czerwona jak burak.

- Skąd tej kobiecie przyszło to do głowy?

- Jak to skąd? Pan często przychodził do Lu. Podobno tylko po to, żeby się przekonać, czy jej ojciec nie wrócił. Ta stara nie chciała w to uwierzyć.

James popatrzył na Lucy, zastanawiając się nad taktownym doborem słów.

- Gospodyni podniosła czynsz z powodu moich wizyt?

Chłopak parsknął śmiechem.

- Ładnie powiedziane, szefie. Lu musiała sprzedać pamiątkę po swojej mamie temu staremu capowi Jessupowi.

- Fitch, nie sprzedalam medalionu, tylko łańcuszek. - Lucy wyjęła złoty medalion. - Mogę nosić go na wstążce - dodała, wsuwając medalion do ukrytej kieszonki w sukni.

- Założę się, że ten krwiopijca Jessup nie dał ci dobrej ceny - zauważył Fitch. - Przynajmniej nie sprzedałaś swojej mamy.

- Przestań. Przecież to nie obchodzi lorda Cambourne'a.

- Nieprawda! - uniósł się James. - Niech mi pani powie, czy grała na ulicy, żeby zarobić na czynsz?

Lucy spłonęła rumieńcem.

- Nie wówczas, gdy mnie pan widział. Wtedy chciałam kupić coś do jedzenia. Po pana wyjściu gospodyni przyszła na górę i...

- Myślała, że została pani moja kochanką - dokończył James.

- Tak.

- Poszła pani grać, żeby...

- Nie poszła - przerwał mu Fitch - bo ten głupi sklepikarz uderzył ją tak mocno, że nie mogła unieść smyczka!

Lucy spojrzała na Cambourne'a, po czym zamknęła oczy i potrząsnęła głową, aby odpędzić błogie uczucie, wypełzające z zakamarków pamięci. Co zaszło pomiędzy momentem, gdy zrozumiała, że hrabia nie zamierza zaciągnąć Fitcha przed oblicze sędziego, a chwilą, w której ocknęła się na ławie w swoim mieszkaniu? Niewiele z tego zapamiętała. Cambourne okazał się troskliwy, ponieważ zemdląca jak

skończona niedołęga. To wszystko.

Uniosła powieki i popatrzyła na hrabiego. Czy niósł ją na rękach przez całą drogę? I na górę, po schodach? Pewnie tak, bo jak inaczej mogłaby się znaleźć w mieszkaniu?

- Już czuję się doskonale, a z ramieniem jest znacznie lepiej. Dziś rano mogłam nawet trochę pograć. Dziękuję, że pomógł mi pan wrócić do domu, i za... za... - Jak wyrazić wdzięczność komuś, kto nie posłał jej najlepszego druha na szubienicę? - Dziękuję, że był pan dobry dla Fitcha.

Cambourne wydawał się bardziej rozgniewany niż kiedykolwiek. Usiadła prosto, choć z trudem. Kołdra zsunęła jej się do pasa. Poczowała chłodny powiew na piersi i obolałym ramieniu. Zaczerwieniła się i niezdarnie zaczęła zapinać stanik sukni.

- Proszę już iść. - Miało to zabrzmieć jak komenda, tymczasem z jej ust wyrwał się drżący szept.

- Wszystko w porządku, Lu - odezwał się Fitch. - On chciał tylko sprawdzić, co z twoim ramieniem. - Zlustrował je fachowym okiem. - Nie wygląda najgorzej.

- Co ty wygadujesz! - zirytował się Cambourne. - Trzeba przyłożyć okład z arniki i...

- Zrobię sobie okład po pana wyjściu - skłamała.

Parsknął śmiechem.

- Nie potrafi się pani wyżywić i opłacić czynszu, a chce, bym uwierzył, że chowa tu pani zapas arniki. - Wyjął z kieszeni portmonetkę i zwrócił się do Fitcha. - Weź ją! Udawaj, że twój zamiar się powiodł, i masz moje pieniądze. Kup w aptece trochę arniki i coś na obiad dla was obojga.

Fitch założył ręce do tyłu.

- Pan oszalał? Jak wyjdę wieczorem z takimi pieniędzmi, zgarną mnie, zanim się obejrzę. Gotowi pomyśleć, że pana załatwiłem. - Potrząsnął głową. - Co to, to nie! - Spojrzał na Lucy. - Przepraszam, Lu.

James zaklął. Fitch miał rację. Wysyłanie go tego wieczoru na ulicę mija się z celem, jeżeli nie chce, by trafił do więzienia. Jednak chłopiec wie najlepiej, gdzie szukać apteki i gdzie można dostać przyzwoity posiłek.

- Dobrze, pójdziemy obaj - powiedział.

Fitch się skrzywił.

- Może być. O ile nie chodzi panu tylko o to, żeby mnie przymknęli, kiedy Lu nie będzie mogła tego widzieć.

- Masz na to moje słowo - powiedział James. - Oczywiście, dopóki będziesz kontrolował swoje złodziejskie instynkty - dorzucił.

- Co?

- Nie będziesz kradł, kiedy wychodzisz ze mną, zrozumiano? A teraz powiedz mi, umiesz rozpalić ogień?

- Ma mnie pan za półgłówka? Pewnie, że potrafię.

- To dobrze. Rozpal w kominku i...

- Sama sobie rozpalę! - wtrąciła się Lucy.

- ...spotykamy się za dziesięć minut na dole - dokończył James.

- Gdzie pan idzie? - zaniepokoił się Fitch.

- Do pani Beattie. Zamienić z nią parę słów.

- Nie! - przeraziła się Lucy. - Podwoi mi czynsz, kiedy pana zobaczy.

- Będzie musiała go z powrotem obniżyć - zapewnił ją James. - Poza tym nie pozwalam pani rozpalać ognia.

- On ma rację, Lu. - Fitch nieoczekiwanie poparł Jamesa. - To męska robota. Posiedź sobie. - Zaczął zgniatać papier.

James zerknął na Lucy. Przyglądała mu się z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - zapytał.

- Dlaczego pan to robi? - spytała cicho. - Mój ojciec jest panu winien majątek, a...

- To nie ma nic wspólnego z panią - odparł. Jeżeli sto funtów to dla niej majątek, to jak nazwałaby rzeczywistą sumę? - To nie pani wina.

- Ale pańska też nie - zauważyła. - Powinien pan już iść.

- Wcale tak nie uważam.

Był świadom, że swoimi poczynaniami mimowolnie przysporzył jej wiele kłopotów. Naszła go cyniczna myśl, że choć jego zachowanie mogło powszechnie uchodzić za rycerskie, tylko głupiec określiłby je jako bezinteresowne.

- Wychodzi pan? - zapytał Fitch, układając na papierach podpałkę. - Wygląda na to, że prędzej skończę, nim pan zdąży zejść do kuchni.

James zastukał mocno do drzwi znajdujących się na końcu korytarza.

- Kto tam?

- Cambourne.

Na moment zapadła cisza, zyskał więc trochę czasu, aby się opanować.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich pani Beattie, czerwona

od żaru bijącego z pieca, a może i od dżinu, którym przesycony był jej oddech.

- Chce więcej węgla? - Wytarła ręce w fartuch. - Najpierw muszę zobaczyć należność za czynsz.

James wszedł do kuchni, zastanawiając się, jak długo można przeżyć na wstrzymywanym z gniewu oddechu. Jakiś staruszek siedział przy stole nad miską czegoś, co mogło być zupą.

- Podejmuje pani teraz gacha? - zapytał, spoglądając na Jamesa.

Pani Beattie prychnęła.

- Nie ja, tylko córka kapitana.

Staruszek otaksował Jamesa wzrokiem od stóp do głów, niczym czempiona na aukcji byków.

- Dobrze się urządziła, jak widać. - Zaniósł się astmatycznym chichotem, ale ucichł, gdy James spiorunował go wzrokiem, i znów zaczął siorbać zupę.

James odwrócił się do gospodyni.

- Najwyraźniej ma pani błędne wyobrażenie.

- Że co? - Pani Beattie zamrugwała.

- Pani się myli - powiedział z naciskiem.

- Ja? - Spojrzała na niego podejrzliwie. - A w jakiej sprawie?

Szkoda czasu, by owijać w bawełnę, pomyślał.

- Panna Hensleigh nie jest moją kochanką - oznajmił, dodając w myślach „jeszcze nie”.

Pani Beattie skrzyżowała ręce na piersi.

- Szanowny panie, nic mi do tego. Jak o mnie chodzi, możecie to sobie robić nawet na podwórzu. Ale jeśli ona

prowadzi w mieszkaniu interes, to czynsz wzrasta o trzy szylingi. I niech się cieszy, że nie więcej.

James spojrział na nią z góry.

- Madame - odezwał się lodowatym tonem - gdybym zamierzał nawiązać intymne koneksje z panną Hensleigh, byłbym gotów zapłacić znacznie więcej niż trzy szylingi ekstra za jej komfort. Wybrałbym też znacznie przyjemniejsze otoczenie.

- He? - Pani Beattie przestąpiła z nogi na nogę.

Jegomość przy stole mrugnął do niej znacząco.

- On mówi, że wolałby chędożyć tę dziewczynę na puchowym łożu. - Czknął głośno. - Wcale mu się nie dziwię, chociaż to tak czy owak, smakowity kąsek.

- Trzeba było od razu tak mówić. - Pani Beattie spojrzała ze złością na Jamesa. - Mam rozumieć, że nie tknął pan panny Lucy?

- Właśnie tak - wycedził.

Najchętniej dałby w zęby temu obleśnemu staruchowi. Powstrzymał się tylko z uwagi na jego sędziwe lata. Zresztą chyba niewiele mu ich pozostało.

- Myślę, że on nie chce jej obracać tu, na górze, droga pani - powiedział staruszek. - Mieszkam pod nią i nie słyszałem, żeby to robili. Pan pozwoli, Albert Wynn, do usług - zwrócił się do Jamesa.

Pani Beattie było to wyraźnie nie w smak.

- Dobrze usłyszałam, że jak zachce się panu dokazywać z panną Lucy, to tylko na puchowych piernatach? - zwróciła się do Jamesa, marszcząc brwi.

Miał ochotę powiedzieć jej, żeby pilnowała swoich spraw, ale ugryzł się w język.

- Do kiedy trzeba zapłacić ten normalny czynsz? - zapytał.

- Do jutra. Płatne miesiąc z góry, jak dla kapitana. Dobrze znam takich jak on. Jak niezapłacone, to zmywają się po cichu.

Niech to diabli! Co będzie, jak Hensleigh nie wróci? Znał odpowiedź: Lucy będzie wystawać na ulicy bez względu na pogodę, próbując coś zarobić, głodna, może znowu pobita przez jakiegoś sklepikarza. Co gorsza, po tym, jak ten nieznośny Fitch próbował go okraść, doszło jeszcze jedno zagrożenie: może zostać uznana za współniczkę złodzieja.

- Ile za miesiąc? - wyrwało mu się, zanim zdążył pomyśleć. - Tylko bez przesady - dodał, zauważając chytry błysk w oczach gospodyni. - Nie chodzi o to, żeby panna Hensleigh została moją kochanką.

- Korona.

Skinął głową.

- Dobrze. - Wyjął portfel i ku zdumieniu pani Beattie i pana Wynna położył na stole dwie lśniące korony.

Przez chwilę oboje wpatrywali się w nie, jakby nigdy czegoś takiego nie widzieli, a potem pan Wynn błyskawicznie zgarnął monety.

- Ty stary chytrusie! - Pani Beattie chwyciła ciężką patelnię i ruszyła w jego stronę.

Pan Wynn tylko ugryzł każdy pieniądz i z uznaniem pokiwał głową.

- Myślę, że są prawdziwe - skostatował.

James zadał sobie w duchu pytanie, jak starzec mógł to

ocenić, mając takie uzębienie.

- To za dwa miesiące - powiedziała pani Beattie, odstawiając patelnię. Monety pospiesznie zniknęły pod jej fartuchem.

- Węgiel - przypomniał jej James. - Za takie pieniądze ma pani dostarczać go pannie Hensleigh.

Pani Beattie zlustrowała go podejrzliwym wzrokiem.

- Ona pewnie o tym nie wie, ale to coś na dłuższą metę, prawda? Niech pan sobie nie myśli, że nie znam się na takich sztuczkach. Kup dziewczynie węgiel, odwiedzaj ją, obsypuj słodkimi słówkami i może nawet świecidełkami, a sama wpadnie ci w ręce jak dojrzały owoc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lucy zapatrzyła się w ogień. Przecież to czyste szaleństwo! Powinna była wyrzucić za drzwi lorda Cambourne'a. Mężczyźni zawsze spodziewają się czegoś w zamian. Nawet jej dziadek oczekiwał od niej, że za użytkowanie pokoju w ich domu będzie miłą i posłuszną towarzyszką babci. Dano jej jasno do zrozumienia, że niczego więcej od rodziny nie dostanie. Przyjmując wnuczkę wraz z jej matką pod swój dach po tym, jak ojciec je zostawił, i utrzymując ją po śmierci matki, spełnili swój obowiązek.

Gdy zmarła babcia, stryj Bertram poinformował Lucy, że nie będzie już potrzebna jego żonie Caroline. Stryjenka napisała list polecający, aby mogła objąć posadę nauczycielki na pensji w Bath, ale niespodziewanie na pogrzeb babci przyjechał ojciec. Dzień po odczytaniu testamentu Lucy siedziała już z nim w dylizansie do Londynu, gdyż stryj Bertram zmusił marnotrawnego brata do przejęcia odpowiedzialności za swoją latorośl, i to z natychmiastowym skutkiem.

Zadrzała, chociaż ogień złagodził dotkliwy chłód. To już cztery lata, podczas których nie wiedziała, czy nie wyląduje na ulicy, a ojciec w więzieniu dla dłużników. Na szczęście, jak dotąd, udawało mu się być o krok do przodu. Choć z początku był zły, że został obarczony córką, szybko zrozumiał, że znacznie przyjemniej mieszka się w czystości niż w brudzie,

zwłaszcza że nie musi się dopłacać za to gospodyni. Krótko mówiąc, znowu okazała się przydatna.

Nagle schody zatrzeszczały i ciężkie kroki przemierzyły podest. Ostre pukanie do drzwi obwieściło przybycie gospodyni.

- Dobry wieczór, pani Beattie. - Lucy zdziwiła się na widok węgla. - Hm, jeszcze nie zapłaciłam czynszu. - Co gorsza, nie miała pojęcia, skąd weźmie pieniądze.

Pani Beattie postawiła wiadro przy kominku.

- Ten twój gość już to zrobił.

- Co? - Lucy się przeraziła. Kobieca intuicja wysyłała jej alarmujące sygnały.

- Za węgiel też zapłacił i pomyślałam sobie, że przyniosę trochę na górę, kiedy go nie ma. - Pani Beattie ujęła się pod boki, surowo spoglądając na Lucy. - Chociaż to nie moja sprawa, chcę coś ci powiedzieć, ale on nie musi tego słyszeć.

Wiedząc, że łatwiej powstrzymać rozpędzony dyliżans niż potok wymowy gospodyni, Lucy skinęła głową.

- Pan Wynn od razu się zorientował - zaczęła pani Beattie. - Wystarczył mu rzut oka na twojego amanta i już wiedział, że dobrze się urządziłaś. - Rozejrzała się wokoło. - Nie można mieć pretensji, że taki elegancki pan nie chce robić tego tutaj. Śmiem twierdzić, że przywykł do czegoś innego. Pewnie jada na złotych talerzach, i tak dalej.

Lucy nie mogła zrozumieć, o co chodzi gospodyni.

- Rzecz w tym, że nie wiesz, co i jak - mówiła dalej gospodyni. - Może mu wierzysz, że szuka tylko twojego ojca, a może nie...

- Pani Beattie...

- Zaraz! - Gospodyni uciszyła ją gestem. - Wydaje się mu, że ma uczciwe zamiary. Nie wiem, kogo próbuje oszukać. Mnie, ciebie czy siebie. Możesz mi wierzyć, że mężczyzna nie płaci dziewczynie czynszu, chyba że czegoś od niej chce. A ty - wycelowała w nią palcem - powinnaś się dowiedzieć, co i jak, bo inaczej się na tym przejedziesz.

Lucy westchnęła. Lord Cambourne zapłacił jej czynsz i nie wyląduje nazajutrz na ulicy, ale wie, czego będzie się spodziewał w zamian.

- Mężczyźni nie martwią się o te sprawy - ciągnęła pani Beattie. - Gość jest słodki jak miód, kiedy zabiega o dziewczynę, ale jak dostanie to, czego pragnie, ona zostaje z jego bachorem w brzuchu i niech ją Bóg ma w swojej opiece. Dlatego trzeba pomyśleć o sobie.

Lucy oblała się rumieńcem. Nikt z nią nigdy nie rozmawiał na takie tematy.

- Pewnie tego nie wiesz, ale są sposoby, żeby nie zająć w ciążę. - Pani Beattie wyjęła mały słoik z kieszeni fartucha i go otworzyła. - To są nasiona dzikiej marchwi. Trzeba przeżuć pełną łyżkę z wodą zaraz po albo tak szybko po, jak tylko się da.

- Zaraz po...? Aha... - wyszeptała Lucy.

Najpierw ją olśniło, a potem zrobiło jej się wstyd. Dotąd uważała panią Beattie za swojego wroga i bardzo jej nie lubiła. Tymczasem przyszła do niej z praktyczną poradą, żeby jej pomóc. Pomyślała, że może jednak dobra wróżka pojawiła się nad jej kołyską. Popatrzyła na nasiona.

- To miło z pani strony, ale...

Pani Beattie zgromiła ją wzrokiem.

- Lepiej mieć je pod ręką, kiedy ich nie potrzebujesz, niż ich nie mieć, kiedy trzeba ich użyć. - Zakręciła słoik i postawiła go na stole. - Nikt inny nie musi wiedzieć, co to jest. Chłopu wystarczy powiedzieć, że bierzesz to, jak się źle czujesz. Oni nie lubią, kiedy dziewczyna się zabezpiecza! - obruszyła się. - Jakby to oni musieli urodzić bachora, chować go, znosić krzywe spojrzenia sąsiadów i mieć wrażenie, jakby się było śmieciem.

Stała przed Lucy, z rękami skrzyżowanymi na piersi i płonąącym wzrokiem, jakby chciała ją sprowokować do dyskusji na temat ludzkiej hipokryzji.

- Czy to rzeczywiście działa? - zapytała Lucy.

- Jak amulet. Mało nie umarłam przy porodzie. Sąsiadka powiedziała mi o tych nasionach. - Ściszyła głos. - Myślałam, że to tylko takie babskie bajanie, ale spróbowałam i więcej nie zaszłam. Mężowi nigdy o nich nie powiedziałam.

Lucy wzięła głęboki oddech.

- Dziękuję. - Podeszła do pani Beattie i ją uściskała.

Zaskoczona gospodyni lekko odwzajemniła uścisk i poklepała ją po ręce.

- Zapamiętaj: pełna łyżka jak najprędzej po. - Ruszyła do wyjścia i dorzuciła przez ramię: - Trzeba je dobrze przeżuć. - Drzwi z hukiem zamknęły się za nią.

Lucy stała, wpatrzona w słoik z nasionami. Pani Beattie ich używała, i to z dobrym skutkiem. A tak właściwie, jakie to ma znaczenie? Nie zostanie kochanką lorda Cambourne'a. Chyba

że...?

Rozejrzała się po nędznym ciemnym pokoju, oświetlonym jedynie blaskiem ognia rozpalonego w kominku. Fitch i Cambourne wrócą lada chwila. Powinna nakryć do stołu. Przynajmniej tyle może dla nich zrobić. A skoro jego lordowska mość poszedł kupić coś na kolację dla niej i dla Fitcha, będzie musiała i jego zaprosić.

Dziesięć minut później z gorzkim uśmiechem patrzyła na efekt swoich starań. Trzy fajansowe talerze, każdy z innego kompletu, pomieszane sztucce oraz trzy kubki. Przypomniała sobie, jak lord Cambourne siedział z nią przy tym stole, grając w szachy, a potem ją pocałował. Na to wspomnienie zrobiło jej się gorąco. Pani Beattie nie musiała jej uświadamiać, że będzie chciał od niej coś w zamian. Doskonale o tym wiedziała.

Fitch zatrzymał się przed bramą prowadzącą na podwórze.

- Niech pan powie Lu, że później się zobaczymy.

James, z rękami pełnymi zakupów, spojrzał na niego z góry. Wszystko przecież było załatwione. Ściągnęli aptekarza z jego mieszkania nad sklepem i poczekali chwilę, aż przygotuje słoiczek maści, a potem wstąpili do gospody, by kupić jedzenie na kolację.

- Dokąd się wybierasz, do diaska? Przecież ona pomyśli, że kazałem cię aresztować!

Chłopak spojrzał na niego spode łba.

- Muszę pójść w jedno miejsce. Odprowadziłem pana tylko dlatego, żeby pana nie obrobili.

- Chcesz powiedzieć, okradli, tak? Niech ich diabli wezmą!

Fitch wzruszył ramionami.

- Nie wszyscy są w czepku urodzeni. Tak czy inaczej, mam robotę. Pan jej powie, żeby zostawiła otwarte okno, dobrze?

- Przecież to drugie piętro! - zachnął się James.

- Można łatwo wejść przez dach, a stara nie musi o tym wiedzieć.

- Nocujesz u Lucy?

Fitch spieszył się.

- Czasami. Lu chyba nie lubi być sama. Nie jest do tego przyzwyczajona.

- A ty?

- Bardziej niż ona. Mógłby pan zostać trochę dłużej i dotrzymać jej towarzystwa - rzucił i odszedł. Drobnym cieniem oddalającym się ku ciemności, która miała go wchłonąć.

James zaklął. Po co puścił wolno tego ulicznika, skoro chciał prysnąć, by dalej igrać ze śmiercią?

Zapukał, usłyszał ciche „proszę” i otworzył drzwi. Nędzny pokój wydał mu się odmieniony. Wprawdzie nie stał się ani trochę mniej ubogi, ale stół został przesunięty bliżej ognia, przystawiono też do niego ławę i krzesło. Na stole rozłożono talerze, sztuce i cynowe kufle. Był też lichtarz z niezapaloną łożową świeczką. Tylko blask migoczących płomieni rozpraszał mrok.

Na jego widok podniosła się z ławy; kołdra zsunęła jej się z ramion. W blasku ognia jej włosy lśniły jeszcze bardziej niż zwykle.

- Gdzie jest Fitch? - zapytała z przestrawieniem.

- Nie chciał wejść na górę. Powiedział, że musi iść gdzie

indziej. Przysięgam...

- O Boże! - wyszeptała, osuwając się na ławę. Nawet w przyćmionym świetle widać było, że zbladła.

James odstawił zakupy na stół i usiadł obok niej na ławie.

- Lucy - zaczął, biorąc ją za rękę - ja nie...

- Dostał zlecenie - wyszeptała.

A więc wiedziała! Tulił jej drżące dłonie i serce mu się krajało.

- Czemu pan go nie powstrzymał?

- Ale jak? - Przecież uczyniłby to, gdyby był w stanie.

- Nie wiem - odparła z westchnieniem. - Przepraszam, to nie pańska wina.

Gdy mocniej ścisnął jej palce, wstrzymała oddech, a potem nieufnie i niepewnie spojrzała mu w oczy.

- Milordzie?

Nie próbowała się odsunąć, wbrew sobie puścił jednak Lucy i wstał, wciąż czując jej bliskość.

- Fitch wcale nie był zadowolony z tego wieczornego zlecenia - powiedział.

- Próbowałam ściągnąć go z ulicy, ale mają na niego jakiś haczyk. Któregoś dnia wyjawiał, że nie są zadowoleni z jego zarobków.

Cynik pomyślałby może, że chłopak próbował się usprawiedliwić. James nie potrafił jednak zapomnieć, iż choć miał okazję uciec, został przy Lucy.

- Cóż, tu jest jego kolacja, jak wróci. Mam też poprosić panią, żeby zostawiła otwarte okno. - W tym momencie coś sobie przypomniał. - Czy to on był tym kotem na dachu?

- Tak. Pani Beattie dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, że czasem u mnie nocuje. Nie mogłam jednak pogodzić się z tym, że krążył nocami po ulicach.

James mógł stwierdzić, że niemądrze postąpiła, był jednak w stanie zrozumieć jej słabość do tego chłopaka. Jako kobieta miała miękkie serce. Ale jaka jest szansa, że w ulicznym złodziejasku obudzi się nagle instynkt rycerski?

- Ma pan ochotę zostać na kolację?

Zawahał się.

- Zaprasza mnie pani, bo czuje się zobowiązana?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Przecież zapłacił pan czynsz, kupił mi węgiel i coś na kolację, więc jak pan sądzi?

- Myślę, że maniery ma pani bez zarzutu - odparł cicho - ale to wszystko nie ma znaczenia, jeżeli wolisz, żebym sobie poszedł.

Czuje zielone oczy lustrowały go przez chwilę.

- Czy moje preferencje mają dla pana jakiegokolwiek znaczenie?

- Tak - odparł szczerze. Nie sądził, by życzenia Lucy obchodziły wiele osób na tym świecie.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- W takim razie proszę zostać.

Miał coś odpowiedzieć, lecz rozmyślił się w ostatniej chwili. Zawierzyła mu, więc po co ją ostrzegać, że jednak nie powinna mu zaufać. Miałby wtedy uczucie, że coś jej odebrał. Rozpakował zakupy i wyłożył je na stół. Zapiekanie w cieście cynaderki z wołowiną, bochenek chleba, kawałek sera

i flaszkę piwa. Na dnie koszyka znalazł mały słoiczek maści. Wręczył go Lucy.

- To do smarowania ramienia.

- Dziękuję. - Ujęła słoiczek drżącymi palcami. - Z ramieniem jest już znacznie lepiej. Za kilka dni będę znów mogła grać i...

- Ale nie na ulicy. - Ścisnął jej dłoń. - Musi mi pani to obiecać.

- Milordzie...

Spróbowała się odsunąć, ale wzmocnił uścisk.

- Niech mi pani przyrzeknie! - Nie mógł znieść myśli, że jakiś cholerny sklepikarz mógłby ją znowu pobić.

- Wolałby pan, abym z godnością zagłodziła się na śmierć? - rzuciła Lucy i poniewczasie ugryzła się w język.

Było to równoznaczne z przyznaniem się, że jest w biedzie, a przecież on o tym wiedział. Mógł sobie pomyśleć, że błaga go o dalszą pomoc.

- Przepraszam - powiedziała. - Proszę o tym zapomnieć.

- Wykluczone! Mam zapalić świecę? - zapytał, zmieniając temat.

- Tak, proszę, milordzie.

Przypuszczała, że po raz pierwszy widzi łożową świecę, nie mówiąc już o jej używaniu. W jego sferach palono świece z pszczelego wosku o słodkim miodowym zapachu.

- Lucy, proszę mówić do mnie po prostu Cambourne, a ja będę zwracał się do pani po imieniu. Darujmy sobie „milorda”.

Zachnęła się.

- Nie pamiętam, abym panu pozwoliła zwracać się do siebie

po imieniu.

Nie odpowiedział, tylko wziął świeczkę i przytknął ją do ognia, a gdy knot się zapalił, ponownie umieścił ją w lichtarzu i usiadł.

- Zapach baraniego łoju przypomina mi moje dzieciństwo. Mielśmy takie świece w pokoju dziecinnym i w salach lekcyjnych.

- Ach tak? - zdziwiła się Lucy. - Moja babcia używała woskowych świec tylko w salonie i jadalni, ale dziadek i tak narzekał na wysokie rachunki.

- Podobnie jak mój ojciec - przyznał z uśmiechem James. - Wciąż pytał mamę, czy używa ich także w korytarzach dla służby. Czy długo mieszkałaś z dziadkami?

- Dziesięć lat. Do szesnastego roku życia.

- A twoja matka?

- Umarła, kiedy miałam siedem lat. Niedługo po tym, jak zamieszkałyśmy u dziadków.

- Zostałaś u nich, jak rozumiem?

- Tak, ponieważ nie wiedzieli, gdzie podział się mój ojciec.

Pojechała z rodzicami odwiedzić dziadków, bo mama była już wtedy chora. Nigdy nie zapomni tego strasznego dnia, kiedy odkryły, że ojciec je opuścił. Wyruszył konno o świcie, więc z początku myślały, że wybrał się na poranną przejażdżkę. Zresztą tak powiedział stajennemu, który mu siodłał konia. A potem mama znalazła list.

- Lucy?

Ocknęła się i uświadomiła sobie, że wbija mu paznokcie w dłoń.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.
- Kim jest twój dziadek?
- Umarł, kiedy miałam dziesięć lat.
- Rozumiem, ale kto to był?
- Czy to ważne? - Nie zamierzał chyba żądać pieniędzy od stryja Bertrama?
- Nie masz żadnych krewnych, którzy mogliby ci pomóc?
- Nie. Stryj chciał mnie odesłać tuż po śmierci dziadka, ale babcia uznała, że mogę się jej przydać.
- Przydać? - zapytał ostrym tonem Cambourne, wbijając nóż w zapiekankę.
- Tak. Mogłam trzymać wełnę, kiedy ją zwijała, porządkować jedwabne nici do haftów, chodzić na posyłki i czytać jej na głos.
- Przecież miałaś tylko dziesięć lat!
- Ale bardzo dobrze czytałam - powiedziała Lucy, udając, że nie rozumiała, co miał na myśli.
- Ówczesne słowa stryja Bertrama wciąż sprawiały jej ból. Stwierdził, że skoro może być przydatna, niech zostanie. Oszczędzi im to wydatków na pannę do towarzystwa. Co prawda, bycie przydatną to nic złego, ale czy nie można być przy tym również mile widzianą?
- A twoja babcia? Też już nie żyje?
- Tak. Zmarła, kiedy miałam szesnaście lat.
- Wówczas przestałaś być potrzebna? - Gruby plaster zapiekanki wylądował na talerzu.
- Tak. Stałam się ciężarem.
- Co za kochająca rodzinka - zauważył z przekąsem James,

dokładając kromkę chleba na talerz, który jej wręczył. – Proszę, oto twoja kolacja, Lucy.

Spłonęła rumieńcem i sięgnęła po dzbanek z wodą.

– Dziękuję. Stryjenka chciała mi załatwić posadę w szkole dla dziewcząt, ale nieoczekiwanie ojciec przyjechał i zabrał mnie z domu stryja.

Prawda wyglądała tak, że stryj zwabił jej ojca a swojego brata, mówiąc, że babcia uwzględniła go w testamencie. Rzeczywiście coś mu zapisała, ale niezbyt dużo.

Lucy czekała, aż Cambourne napełni swój talerz. Potem nalał piwa i uniósł kufel.

– Twoje zdrowie!

James miał mało pochlebne mniemanie o krewnych Lucy. Nie udało mu się też dowiedzieć od niej, jak się nazywają. Zresztą, jeżeli wyrzucili szesnastoletnią dziewczynę wraz z jej ojcem, szulerem i rozrzutnikiem, obecnie nie ruszą palcem w bucie, aby odmienić jej los.

Przyglądał się Lucy. Musiała pochodzić z dobrej rodziny. Znała dobre maniery, jadła elegancko i niespiesznie, choć pewnie umierała z głodu. Miała też w sobie godność; nie skarżyła się na stryja, który bezdusznie ją potraktował. Dała jedynie do zrozumienia, że nie może liczyć na jego wsparcie.

– Czy propozycja jest nadal aktualna?

Gdy padło to pytanie, omal nie zakrztusił się piwem.

– Co takiego?

– Kilka dni temu poprosiłeś mnie, Cambourne, bym została twoją kochanką – odparła Lucy cała w pąsach. – Czy to aktualne?

„Pomyśl dwa razy, zanim coś powiesz”. Ileż racji tkwi w tym stwierdzeniu! Gdy zaproponował Lucy Hensleigh, aby została jego kochanką, sumienie milczało przez dwa dni. Dlaczego musiało się odezwać właśnie teraz? Przypomnieć mu wszystkie powody, dla których dżentelmeni godni tego miana nie składają niewinnym dziewczętom uwłaczających ofert?

Powinien powiedzieć, że się rozmyślił, jednak rzucił:

- Czemu pytasz?

Upiła łyk wody.

- Ponieważ zmieniłam zdanie.

Tyle zrozumiał. Ale z jakiego powodu to zrobiła?

- Chodzi o to, że zapłaciłem za ciebie czynsz?

- Nie - odparła, wyraźnie urażona.

- Jesteś tego pewna? - Przecież nie dlatego zapłacił ten cholerny czynsz!

Gdy pokręciła głową, znów silniej zalsniły rude włosy.

- Nie, to znaczy, tak. - Potarła z westchnieniem czoło. - Jestem pewna.

- A może dlatego, że zrobiłem zakupy? Lucy, nie chciałbym, abyś się czuła zobligowana.

- Zawsze jesteś taki marudny? To takie ważne, czemu zmieniłam zdanie?

Owszem, ważne, gdyż w jego sumieniu górę wzięły purytańskie geny, podsuwając mu słowa takie jak: „przymus”, „szantaż”, „zniewolenie”. Spojrzał jej w oczy.

- Jeżeli ze mną zamieszkas, będę oczekiwał czegoś więcej niż kilku pocałunków. - Musiał mieć pewność, że go dobrze rozumiała. - Chcę dzielić z tobą łożę, posiść twoje nagie

i chętnie ciało.

Bez słowa skinęła głową, oblewając się silnym rumieńcem.

- Jesteś dziewicą?

- Tak. Czy to istotne?

- Nie. - W każdym razie nie powinno, a jednak było. -

Wiesz, co się wtedy dzieje?

- Wiem, skąd się biorą dzieci! - rzuciła zirytowana.

James głęboko odetchnął i oznajmił:

- Zrobię co w mojej mocy, aby cię przed tym uchronić.

Oczywiście, nie mógł mieć pewności, wiedział jednak, jak zmniejszyć ryzyko. Kobiety także stosowały swoje sposoby, ale będąc dziewicą, Lucy przypuszczalnie nie miała o nich pojęcia.

- Weźmiesz mnie do siebie?

Bóg mu świadkiem, jak bardzo tego pragnął! Sumienie podjęło ostatnią wątplą próbę sprzeciwu.

- Daję ci tydzień - powiedział.

Mina jej się wydłużyła.

- Chcesz mnie na tydzień?

Parsknął śmiechem.

- Nie. Masz tydzień do namysłu. - To najlepsze, co mógł uczynić. - Kilka dni bez konieczności podjęcia decyzji, podczas których będę mógł się do ciebie zalecać.

- Będiesz się do mnie zalecał? - zapytała zdumiona.

- Będę się z tobą pokazywał; zabierał cię w różne miejsca. - Przecież na to zasługiwała. - Może ci się nie spodobam.

- A co to ma do rzeczy?

- Byłoby lepiej, gdybyśmy się polubili. Powiesz mi teraz, czemu zmieniłaś zdanie?

Wyprostowała się. Dumne spojrzenie Lucy ugodziło go w serce.

- A co innego mi pozostało, jeśli nie chcę cnotliwie głodować lub skończyć na ulicy? Przyjmując propozycję, zyskam możliwość wyboru, będę miała pewien wpływ na swoje życie.

- Twój ojciec...

Pełen goryczy uśmiezek zamknął mu usta.

- Zaryzykuję z tobą, Cambourne.

Wcześniejsze kochanki Jamesa, przy czym nie było ich znów tak wiele, wywodziły się z najlepszych kręgów towarzyskich. Były to bogate wdowy, żony usłużnych mężów oraz kilka doświadczonych wytrawnych kurtyzan. Wszystkie dobrze wiedziały, na czym polega ta gra. Wcześniej żadna kobieta nie powiedziała mu, że woli z nim zaryzykować, niż zaufać własnemu ojcu. Żadna z nich nie była także od niego zależna i nie była dziewicą.

- Tydzień - powiedział.

ROZDZIAŁ ÓSMY

James wpatrywał się w list, który doręczono mu, kiedy tylko wrócił do domu po dniu spędzonym z Lucy. Zaoferowany jej tydzień na zastanowienie się nad wiadomą decyzją dobiegał końca. Nazajutrz chciał zapytać Lucy, co ostatecznie postanowiła.

Nie mógł sobie przypomnieć tygodnia, w którym bawiłby się lepiej. Odwiedzili Kensington Gardens, wybrali się na piknik w Richmond Park, obejrzelili menażerię w Tower, a nawet wstąpili do pasażu Pantheon Bazaar, gdzie namówił ją, by przyjęła od niego prosty słomkowy kapelusik. Zabierał przyszłą metresę wszędzie tam, gdzie mogli uniknąć spotkania jego znajomych.

Był nią szczerze zachwycony i z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że pragnie jej jak żadnej innej kobiety. Nie starała się go na siłę zabawiać, a mimo to nigdy wcześniej nie spędził czasu tak zajmująco i przyjemnie. Im bliżej poznawał Lucy, tym dobitniej zdawał sobie sprawę, że nie będzie to krótkotrwały związek.

Ponownie przeczytał list. Nazajutrz chciał znów zabrać Lucy do parku, lecz pod wpływem wiadomości od Foksa zmienił zdanie. Pisał, że Elizabeth ma dla niego pewne informacje i czy w związku z tym mogliby się spotkać. Jego najdroższa Liz, dodał, stęskniła się za St. Anne's Hill, więc czy James

miałby coś przeciwko temu, aby się wprosilili do jego rezydencji w Chiswick? Może być jutro? Przechadzka po parku i lekki posiłek z pewnością podniosłyby Liz na duchu.

Poszukiwania Jamesa nie przyniosły już nic nowego na temat ojca Lucy lub jego powiązań z Kilbym, o którym nadal nic konkretnego nie wypłynęło. Postanowił, że skoro obiecał Huntercombe'owi czegoś się dowiedzieć, spotka się z Elizabeth. Nie będzie to żadne poświęcenie, gdyż Elizabeth i Fox zaliczali się do jego najlepszych przyjaciół.

Lucy wysiadła z kariolki, spojrzała na dom i oniemiała. Podczas spędzonego z Cambourne'em tygodnia udało jej się zapomnieć o dzielącej ich przepaści społecznej. Elegancka rezydencja w stylu palladiańskim uzmysłowiła jej to w sposób dosyć brutalny.

Weszła za nim do środka, uśmiechając się do zarządcy, którego Cambourne jej przedstawił:

- To Field, Lucy. Field, to panna Hensleigh. Czy pan Fox już przyjechał?

- Tak, milordzie. Chyba spaceruje po ogrodzie za domem.

- Dziękuję. Za godzinę proszę podać poczęstunek na tarasie.

- Oczywiście, milordzie.

Przecięli okazały marmurowy hol i poszli korytarzem kończącym się drzwiami do ogrodu. Otwierając je, James odwrócił się do Lucy z uśmiechem.

- Fox to mój ojciec chrzestny. Wchodzi w skład Izby Gmin i cieszy się na spotkanie z tobą. O, tam jest! - Pociągnął ją na taras, z którego po kilku schodkach zeszli na doskonale

utrzymany szmaragdowy trawnik.

Lucy słyszała o panu Foksie^[11]. Jej dziadek także był członkiem Izby Gmin, choć, oczywiście, nie liberałem, lecz torysem, konserwatystą. Charlesa Jamesa Foksa wręcz nienawidził, a w dodatku uważał za głupca. Często po powrocie z posiedzeń parlamentu opowiadał ze złością babci o „tym łajdaku”. Nie zamierzała jednak o tym wspominać.

- Witam panią, panno Hensleigh - Fox skłonił się nad jej dłonią.

- Dzień dobry, sir.

Fox puścił dłoń Lucy i zwrócił się do Jamesa:

- Przedstawiasz mi pannę Hensleigh, aby zyskać moją aprobatę, mój drogi? Nie licz na to. Jest zbyt ładna i czarująca jak dla ciebie, ty łobuzie.

Lucy spłonęła rumieńcem.

- Dziękuję panu. Już sobie to uświadomiłam.

Cambourne wziął ją pod rękę.

- Czy Elizabeth, koniec końców, nie przyjechała?

- Ależ przyjechała. - Fox rozejrzał się. - Weszła na chwilę do domu, zaraz wróci. O, jest! - Ruszył w jej stronę, wyciągając rękę.

Na tarasie stała wysoka elegancko ubrana pani. Słomkowy kapelusz rzucał cień na jej twarz. Fox ujął ją czule pod rękę i podprowadził do chrześniaka.

- Elizabeth! - James powitał ją z nieukrywaną radością. - Dziękuję, że przyjechałaś - dodał, całując ją w policzek. - Mam nadzieję, że nie oderwałem cię od jakichś ciekawszych zajęć w Londynie.

- Och, co za nonsens - odparła z ujmującym uśmiechem. - Stęskniłam się za świeżym powietrzem i bardzo się ucieszyłam, kiedy Fox powiedział mi, że jedziemy do Chiswick.

- Liz, kochanie - Fox dotknął jej ramienia - James pragnie ci przedstawić pannę Hensleigh.

James wziął Lucy za rękę.

- Elizabeth, pozwól, że ci przedstawię pannę Hensleigh. Lucy, to pani Armistead, moja droga przyjaciółka.

Lucy nagle olśniło. Elizabeth Armistead^[2]! Dziadek często o niej mówił, podobnie jak o Foksie, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecną przy tym wnuczkę i nie licząc się ze słowami. Nazywał ją harpią trzymającą Foksa w swoich szponach i obwinał o podsycanie jego coraz bardziej radykalnych poglądów. Uważał, że mężczyzna może utrzymywać kochankę, ale nie powinien się z nią afiszować, a tym bardziej mieszkać. Był też zdania, że nie wolno powierzać spraw państwowych człowiekowi nierozważnemu, pozbawionemu własnych poglądów.

Świat Lucy zatrzęsł się w posiadach; ciemna mgła przesłoniła poranne słońce. Po raz pierwszy w pełni uświadomiła sobie społeczne konsekwencje kroku, jaki zamierzała poczynić. Zostając kochanką Cambourne'a, odetnie się raz na zawsze od środowiska, jakie знаła, oraz od rodziny. Gdy wkroczy w świat Elizabeth Armistead, gdzie kobietę kupuje się i jej płaci, zamknie sobie drogę odwrotu.

Spojrzała na Cambourne'a. Z jego szarych oczu wyczytała, że postąpił tak celowo. Chciał, aby przyszła do niego dobrowolnie, w pełni świadoma, na co się decyduje.

- James, mój drogi - usłyszała cichy głos pani Armistead. - Może panna Hensleigh będzie się czuła swobodniej, jeżeli poczekam w...

- Pani Armistead, miło mi panią poznać - powiedziała szybko Lucy, dygając przed nią, jak wypada młodej dziewczynie.

Pani Armistead spojrzała na nią mile zaskoczona i uśmiechnęła się ciepło.

- Witam, panno Hensleigh.

Lucy odpowiedziała bladym uśmiechem.

- James, co ty wyczyniasz! - powiedziała półgłosem Elizabeth, gdy szli ogrodową ścieżką. - Czy ta mała jest twoją kochanką?

Zawahał się, zanim odparł:

- Niezupełnie. A czemu pytasz?

Zmierzyła go karcącym spojrzeniem.

- To dziewczyna w rodzaju tych, dla których mężczyzna prędzej da sobie obciąć prawą rękę, niż będzie próbował ją uwieść. Nie widzisz, że to dama, James? Nawet ja to dostrzegam.

- Nawet ty? - odparował. - A kim jesteś, jeśli nie damą, Elizabeth?

- Ladacznicą - odrzekła ze spokojem. - Zanim poznałam Foksa, miałam więcej kochanków, niż ty będziesz miał kobiet, choćbyś dożył setki. - Niezrażona, że prychnął ze złością, ciągnęła: - Nie zapominam o tym, podobnie jak wszyscy. Udawanie, że było inaczej, niczego nie zmieni. - Na moment przez jej wytworny ton przebił się uliczny akcent.

- A Fox? - zapytał James. - Chyba on też ma coś do

powiedzenia w tym względzie?

- Może - przyznała. - Kocha mnie, nie mając złudzeń. Poza tym bez względu na to, kim ja jestem, ta dziewczyna to dama. Dlaczego powiedziałaś, że niezupełnie jest twoją kochanką?

James westchnął i odszukał wzrokiem Lucy wspartą na ramieniu Foksa. Wolno zmierzali w kierunku rezydencji.

- Ponieważ jeszcze nie przyjęła mojej propozycji, że się nią zaopiekuję - wyjaśnił, ale pomyślał, że skoro zgodziła się zostać przedstawiona Elizabeth, najpewniej to uczyni.

Powinien być w siódmym niebie, tymczasem poczuł się nieswojo. Gdyby Fox był typowym ojcem chrzestnym, zapewne by mu wyjawiał, że ruszyło go sumienie.

- Mam nadzieję, że mój chrześniak dobrze się tobą zajmuje, moja miła.

- Yyy... nie... - Mocno zakłopotana Lucy zauważyła, że Fox uniósł krzaczaste brwi, więc się poprawiła: - To znaczy tak, tylko... ja nie... my nie... To nie jest tak, jak pan myśli.

Ciemne oczy spojrzały na nią życzliwie.

- A co ja myślę?

- Że jestem jego kochanką.

- Wciąż trwają negocjacje? - Fox pokiwał głową. - Z kim byłaś przedtem?

- Jak to? - spytała zdezorientowana Lucy. - Och nie! Ja nie... nigdy... - Umilkła, czując, że papele bez ładu i składu.

- Nigdy? - Fox przyjrzał jej się uważnie. - Hm... Co sobie ten chłopak wyobraża? Z jakiej pochodzisz rodziny?

Zachnęła się i chciała cofnąć rękę, ale ścisnął ją mocniej.

- Moja rodzina nie ma z tym nic wspólnego.

- Nonsens. Nie wmówisz mi, że nie jesteś z dobrego domu, a James zdaje sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

- Mój ojciec jest hazardzistą. Rodzina wyrzekła się go, podobnie jak mnie - wyjaśniła Lucy. Była to prawda, choć częściowa.

Fox pokiwał głową, nie spuszczać z niej wzroku.

- Hazardzistą, powiadasz. Oczywiście, nie nazywasz się Hensleigh, ale dowiem się, jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko. W przeszłości spędziłem немало czasu w salonach gier. - Odchrząknął. - No cóż, to nie moja sprawa, ale wtrącam się, bo dotyczy mojego chrześniaka.

- James?

Łagodny głos Elizabeth przywołał Jamesa do rzeczywistości. Spojrzał na przyjaciółkę.

- Jej ojciec ma powiązania z branżą, którą próbuję wybadać - powiedział. - Muszę Lucy z tego wyciągnąć.

- Chodzi o Kilby'ego, tak? - zapytała.

- Tak.

Elizabeth milczała przez chwilę, zapatrzona w dal, jakby powróciły dawno pogrzebane wspomnienia. Cień przemknął przez jej twarz.

- Fox powiedział mi, czemu chcesz dopaść Kilby'ego - odezwała się w końcu. - Pamiętam też Huntercombe'a - dodała. - Było to, zanim odziedziczył tytuł. Miły i dobry chłopak.

- Znałaś go? - zapytał zdziwiony James.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Był wtedy przystojnym bogatym spadkobiercą

arystokratycznego rodu. Miał skłonność do atrakcyjnych kobiet. Poza tym działało się to jeszcze przed Foksem. Oczywiście, że go znałam. Gdybyś go spotkał, bądź łaskaw przekazać mu ode mnie wyrazy współczucia po stracie brata.

- Dyskretnie otarła oczy. - Wracając do sprawy, rozumiem, że najpierw wykupiłeś weksle kuzyna, tak?

- Tak. Wydawało mi się to ze wszech miar słuszne. - Zerknął na Elizabeth i zobaczył, że się lekko uśmiecha. - Ktoś kiedyś wyciągnął mnie z tarapatów, jakie sam sobie zgotowałem, o ile dobrze pamiętam.

Roześmiała się.

- Przeceniasz mnie. Ja tylko wspomniałam Harriet, że byłbyś okropnym mężem, i rozpuściłam plotkę, że przehulałeś cały majątek.

Ach tak. To dlatego ówczesna kochanka mając na piśmie propozycję małżeńską, złożoną przez niego w przypiływie pijackiej fantazji, oddała mu czek na marne tysiąc funtów i brylantowe kolczyki, po czym natychmiast znalazła sobie lepszego protektora.

- Byłbym okropnym mężem?

- O tak - zapewniła go. - Gburem i nieznośnym despotą.

- Nadal mam u ciebie dług w związku z tym, co wtedy dla mnie uczyniłaś - stwierdził ze śmiechem.

- Nonsens. - Machnęła ręką. - Ona nie zamierzała się za ciebie wydać, ale ty zapłaciłbyś słono za ten przywilej. Wytłumaczyłam jej tylko, że powinna się rozejrzeć za kimś innym, i to szybko, zanim zlecą się wierzyciele.

Szli wolno w blasku wiosennego słońca, żwir skrzypiał im

pod butami. Nad barwnymi klombami krążyły pszczoły. W małym stawie kaczka przewodziła flotylli kaczątek. Spostrzegli, że Fox i Lucy przystanęli, aby na nie popatrzeć.

- Fox ją polubił - stwierdziła Elizabeth.

James także to widział. Ojciec chrzestny wciąż trzymał Lucy pod rękę, nachylając ku niej głowę. Gdy nad wodą rozległ się jego głęboki śmiech, dyskomfort Jamesa jeszcze bardziej się pogłębił. Zaczął się zastanawiać, czy Fox także zamierza go maglować w kwestii Lucy.

Pomyślał, że ona wciąż może mu odmówić. Przecież dał jej możliwość wyboru. Tylko czy tak naprawdę Lucy ma alternatywę?

Fox poszedł jeszcze kawałek dalej z Lucy, która miała nadzieję, że to już koniec kazania.

- Pragniesz go? - zapytał nagle.

Tym obcesowym pytaniem zbił ją z tropu. Przypomniała sobie gorąco trawiące ciało, ilekroć James jej dotykał. Kiedy pomagał jej wysiadać z bryczki, ugiwały się pod nią kolana. Z kolei gdy brał ją w ramiona, miała dojmujące poczucie, że tam jest jej miejsce.

- Tak, pragnę go - powiedziała, unosząc hardo głowę.

Fox roześmiał się i poklepał ją po ręce.

- Zuch dziewczyna! Wątpię, czy jedna na sto by się do tego przyznała. Cóż, nie przejmuj się - pocieszył ją. - Prędzej czy później chłopak pójdzie po rozum do głowy.

- Kilby to człowiek bardzo niebezpieczny - oświadczyła Elizabeth. - Burdele, salony gry, kradzieże. Nie pogardzi

niczym.

- Nie miał żadnych spraw w sądzie - zauważył James. - Przynajmniej nic na ten temat nie znalazłem.

- Nie bądź naiwny. Dobrze wiesz, że sądy przymykają oko, kiedy jest im to na rękę. Powszechnie wiadomo, ilu dżentelmenów lubi odwiedzać burdele i jaskinie hazardu.

- A mają świadomość, że można zostać pobitym na śmierć, kiedy nie jest się w stanie zapłacić?

Elizabeth zmarszczyła brwi.

- O tym się raczej nie mówi. Co najwyżej szeptem, na ucho. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Oni się go boją, James, więc jeżeli chcesz go dopaść, musisz nawiązać kontakt z jednym z jego ludzi i nakłonić go, aby został świadkiem.

Immunitet dla jednego ze zbirów, którzy pobili Nicka i zamordowali brata Huntercombe'a? James był rozgoryczony. Tymczasem Elizabeth patrzyła na niego uważnie i kontynuowała:

- Zapamiętaj sobie, że on nie toleruje zdrady. Dlatego tak długo się utrzymał. Ci, którzy wchodzą mu w paradę, znikają bez śladu. Przepraszam, ale czy ty wykorzystujesz pannę Hensleigh, aby do niego dotrzeć? - zapytała. W jej głosie zabrzmiały gniewne nuty.

- Pójdzie po rozum do głowy? - powtórzyła Lucy i spojrzała ze zdumieniem na Foksa.

Przecież to bez sensu. Mogłaby zrozumieć tę uwagę, gdyby Cambourne poprosił ją o rękę, a Fox nie byłby tym zachwycony. Jednak nic takiego nie miało miejsca, ponieważ dla Jamesa była tylko jedną z „tych kobiet”, a nie kandydatką

na żonę.

- Tak. - Fox roześmiał się melancholijnie. - Niestety, niektórym z nas zajmuje to więcej czasu niż innym. - Spojrzał przez ramię na pogrążonych w rozmowie Cambourne'a i Elizabeth Armistead.

Lucy także popatrzyła w tamtą stronę. Pomyślała, że chyba pani Armistead beszta Cambourne'a, skoro on pochyła głowę.

- Moja Liz to kobieta, jakiej ze świecą szukać - powiedział cicho Fox. - Ja też na nią nie zasługuję, ale przynajmniej zdaję sobie z tego sprawę.

- Jesteście państwo razem od dawna, prawda? - zapytała.

Tkliwy uśmiech, który zagościł na twarzy Foksa, poruszył Lucy do głębi. Czy Cambourne także będzie się kiedyś tak uśmiechał na wzmiankę o niej?

- Od dwudziestu lat. Okazała się tą jedną, jedyłą, nie chciałem żadnej innej.

Lucy nagle olśniło.

- Pan ją kocha!

- Ależ tak, oczywiście.

Przecież łącząca ich miłość wręcz rzucała się w oczy. Jak mogła tego nie zauważyć? Opowieść dziadka o harpii trzymającej w swoich szponach Foksa okazała się wyssana z palca.

- Cambourne nie obiecuje mi miłości - powiedziała cicho, gdy ruszyli dalej.

Dał jej to jasno i wyraźnie do zrozumienia. Nie ponosił winy za to, że brutalną szczerością osiągnął wręcz przeciwny skutek. Fox pokiwał głową.

- Może i nie. Miłość dojrzewa z czasem, a potem się pogłębia.

- Pod warunkiem, że od niej się wszystko zaczyna - zauważyła Lucy.

Przystanęli przed kępą fioletowo-żółtych bratków.

- Jeszcze kilka tygodni temu nic tu nie było - powiedział Fox.

- A jednak z ukrytych głęboko w ziemi nasion wyrosły kwiaty. - Uśmiechnął się do Lucy. - Kto może wiedzieć, czyja ręka zasiała pierwsze ziarno?

Słowa Elizabeth ubodły Jamesa do żywego.

- Do diaska! To nie tak! - oburzył się, lecz na widok Lucy spacerującej z Foksem musiał uznać swoją winę.

Przecież od tego się wszystko zaczęło. Posłużył się nią, choć nie zamierzał jej skrzywdzić. Tak nisko jeszcze nie upadł. Mimo to przez swoją nieostrożność naraził ją na niebezpieczeństwo. Jednak sytuacja się zmieniła, bo Lucy stała się dla niego kimś ważnym. Ba, nawet ten chłopak Fitch go obchodził. Przeszedł go zimny dreszcz na myśl, że Kilby mógłby wykorzystać Lucy, aby dopaść Hensleigha. Z tego, co słyszał, ten złoczyńca dążył do celu po trupach, i to dosłownie. Zacisnął pięści.

- Chcę, aby była bezpieczna i jak najdalej od ojca.

- Lucy, moja panno, powiedz mi, czy twoim życzeniem jest zostać kochanką jakiegoś mężczyzny? - zapytał łagodnie Fox.

Kochanką jakiegoś mężczyzny? Zawahała się. Czy w ogóle jest na to odpowiedź?

- Nie - odparła. - Jakiegoś mężczyzny nie, tylko

Cambourne'a.

Fox spojrział na nią z ukosa.

- Aha. Zatem dostrzegasz różnicę. Doskonale. Skoro tak, to myślę, że najwyższa pora się dowiedzieć, co James zaordynował na lunch. - James! - zawołał. - Chyba jesteś na tyle dobrze wychowany, że nie będziesz zmuszał gości do spacerów, kiedy im z głodu burczy w brzuchu!

James zarządził poczęstunek na tarasie, w zacisznym słonecznym kącie. Czas mijał mu przyjemnie, gdyż bardzo lubił towarzystwo Foksa i Elizabeth, lecz szczególne znaczenie dla atmosfery spotkania miała obecność Lucy. Żadna przyzwoita dama nie pokazałaby się z osławioną panią Armistead, z obawy o swoją reputację. Nie dotyczyło to mężczyzn, którzy mogli zadawać się z całym tłumem kobiet jej pokroju, zyskując jeszcze większą popularność w kręgach towarzyskich. Jamesa irytowała ta hipokryzja.

- Liz, moja droga. - Fox otarł usta. - Masz ochotę wybrać się do Vauxhall Gardens^[3] dziś wieczorem? Moglibyśmy zaprosić tę młodą parę.

Cień uśmiechu przemknął przez twarz Elizabeth.

- Do Vauxhall? Wspaniały pomysł. - Spojrzała na Jamesa. - Czy dołączysz do nas z panną Hensleigh?

Widelec Lucy zazgrzytał o talerz.

- Nie sądzę... nie mam... - Urwała, czerwieniąc się pod spojrzeniem Jamesa i mnąc fałdę sukni.

W tym momencie go olśniło. Wypłowiwała staromodna suknia musiała być najlepsza spośród tych, którymi dysponowała. Wprawdzie nie nosiła śladów łatania jak ta, którą Lucy nosiła

na co dzień, ale była znoszona i źle na niej leżała. Żadna kobieta nie chciałaby wystąpić publicznie w takim stroju, a już na pewno nie w tak modnym miejscu jak Vauxhall Gardens.

- Lucy, mogę...

- Nie, dziękuję. Już i tak dużo pan dla mnie zrobił - powiedziała, unosząc głowę.

Patrząc na jej zacięte usta i ciemny rumieniec, James poczuł przyływ gniewu. Kapelusik, nuty, kilka książek i notes - to bardzo mało. Czy ona sobie wyobraża, że pozwoli jej wyglądać jak strach na wróble, skoro do niego należy?

Tyle że jeszcze nie należy. Biorąc od niego suknię, poczuje się bardziej zobowiązana. Ostatnie, czego chciał, to by przyjęła jego propozycję pod presją.

- Może ja mogłabym pomóc. - Elizabeth przerwała krępujące milczenie, które zapadło po słowach Lucy. - Mam suknię, która z pewnością będzie odpowiednia.

James chciał coś powiedzieć, ale poczuł, jak ktoś kopie go w kostkę pod stołem.

Tymczasem Elizabeth ciągnęła:

- Moja pokojówka ma mniej więcej ten sam wzrost i figurę. Można by z tego skorzystać i dopasować suknię przeznaczoną dla Lucy.

James jednego nie mógł zrozumieć, po co Elizabeth, która przekroczyła pięćdziesiątkę, trzyma w szafie suknię odpowiednią dla dwudziestoletniej panny.

- To za duży kłopot - zaproponowała zmieszana Lucy. - Przecież pani mnie prawie nie zna.

- Żaden kłopot, moja droga - orzekła Elizabeth. - James

odbierze ją jutro i ci przywiezie.

James odchylił się w krześle. Ach, więc to taka koncepcja. To on kupi suknię, a Lucy będzie myślała...

- To miło z pani strony, ale... - podjęła Lucy.

- Moja droga - przerwała jej Elizabeth - nie pozwolisz mi na tę drobną przyjemność? Nigdy nie będzie mi dane ubierać swojej córki. - Cień smutku przemknął jej przez twarz. Wymieniła z Foksem spojrzenia i czułe uśmiechy z nutą żalu.

Czy przed laty pragnęli dzieci? A może nie mogli ich mieć? - zastanawiał się James.

- Liz, moja najdroższa. - Fox wyciągnął rękę.

- Taką podjęliśmy decyzję, Charles. - Elizabeth podała mu dłoń, którą mocno uścisnął, i zwróciła się do Lucy: - Będzie to dla mnie ogromna przyjemność ujrzeć cię w tej sukni.

- Dla mnie też - pospieszył z zapewnieniem Fox. - Jestem starym sentymentalnym głupcem.

James spojrzał znacząco na Elizabeth.

- O której mam odebrać suknię?

- Przyślę ci wiadomość - odparła z uśmiechem.

- Elizabeth...

- Wszystko ustalone - ucięła dyskusję. - Jutro możesz wybrać kilka ładnych drobiazgów dla panny Hensleigh. Wachlarz albo coś w tym rodzaju.

- Nie potrzebuję... - Zakłopotana Lucy spojrzała na Jamesa.

- Oczywiście, że potrzebujesz, moja droga - wpadła jej w słowo Elizabeth. - Wachlarze są bardzo przydatne. Można nimi wyrazić wszystko to, czego nie wolno wypowiedzieć. Znudzenie, zachwyt, niechęć. - Spojrzała na Jamesa i dodała: -

A w przypadku szczególnej irytacji można trzepnąć nudziarza po ręce. To prawdziwa przyjemność, zwłaszcza gdy to on ci go kupił.

Po lunchu Fox i Elizabeth pożegnali się z panem domu, który odprowadził ich na podjazd.

- Naprawdę chcesz podarować tę suknię? - zapytał cicho James, pomagając Elizabeth wsiąść do powozu.

- Powiedzmy, że zamierzam dostarczyć suknię - skorygowała z uśmiechem. - A także wszystko, co będzie jej potrzebne - halkę, gorset, pończochy, buciki i pelerynkę.

- Ale...

- Nie, James. - Delikatnie dotknęła jego ręki. - Myślę, że jeżeli miała możliwość wyboru...

- Wciąż ją ma. - Omal nie podniósł głosu. - Chyba nie myślisz, że...

- ...mógłbyś ją zmusić? - dokończyła Elizabeth. - Wiem, że nie. Wyczułam, że wolałaby się oddać z miłości.

- Przysięgam, że nie zwodzę jej miłosnymi obietnicami.

- To też wiem - rzuciła ostro. - Mogę cię zapewnić, że dla dziewczyny w jej sytuacji pozwolenie sobie na coś takiego jak uczucie byłoby szczytem głupoty.

- Szczytem głupoty? - powtórzył James. Dlaczego tak go to zabolowało?

- Tak, głupoty. Zakochana kobieta jest bezbronna i nazbyt wrażliwa. Podejmuje decyzje, kierując się emocjami, a nie rozsądkiem. A mężczyźni... z miejsca to wykorzystują.

Siedzący obok Fox poklepał ukochaną po dłoni.

- Liz, kochanie, możemy chyba zaufać Jamesowi, że wie, jak

powinien postąpić.

Czyżby? Obecnie James nie był tego pewien.

Elizabeth cicho westchnęła.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Przepraszam, James. Proszę cię, pozwól temu dziecku zachować dumę. Zgódź się, abym mogła ją ubrać na jutrzejszy wieczór.

- Dobrze. Mam tylko kupić wachlarz, tak?

- Tak. Z kości słoniowej. Będzie pasował do wszystkiego.

Gdy po pożegnaniu gości Cambourne wszedł do holu, Lucy aż zaparło dech w piersi i szybciej zaczęło bić serce. Czy już zawsze będzie tak reagować na widok jego wysokiej zgrabnej sylwetki? Przez miniony tydzień James często się śmiał; chyba był zadowolony, że spędzili go razem w miłej atmosferze. Zupełnie jakby byli przyjaciółmi, a nawet kochankami - a nie przyszłymi metresą i jej protektorem. Zadrzała; powiało chłodem. Dzień się kończył i słońce chyliło się ku zachodowi.

- Czas wracać?

- Tak. - Skinął głową.

Wcześniej spostrzegła, że odkąd zasiedli do stołu, coś wyraźnie go gnębiło. Z podobnym wyrazem twarzy przyjrzał się jej teraz, po czym odwrócił się i powiedział coś cicho do stojącego przy drzwiach lokaja.

- Dobrze, milordzie.

- Dziękuję.

Cambourne był uprzejmy dla służby, a jednocześnie budził ich szacunek i posłuch. To także jej się w nim podobało. Skoro dba o służbę, to może będzie dobrze traktował kochankę?

- Przejdziesz się ze mną? - zapytał z uśmiechem. -

Chciałbym ci coś pokazać.

Podał jej ramię, skierowali się na taras i zeszli po schodach, a gdy znaleźli się za węgłem, w ogrodzie, oczom Lucy nagle ukazał się paw z rozłożonym ogonem, paradyjący dumnie po trawniku.

- Och, jaki piękny! - wykrzyknęła zachwycona.

- Przypominasz mi moją matkę. Na ogół z jej ust padały mało istotne uwagi - powiedział z przekąsem.

Lucy zaczerpnęła tchu i oznajmiła:

- Milordzie, to znaczy, Cambourne, przyjmuję ofertę.

Nie zatrzymał się, a mimo to odniosła wrażenie, jakby się odprężył. Podeszli do muru otaczającego ogród, na wpół zasłoniętego gąszczem krzewów. James milczał i gdyby nie to, że ujął i uściśnął jej dłoń, nie miałaby pewności, czy usłyszał jej słowa.

W murze były osadzone drewniane drzwi. Cambourne wyjął z kieszeni klucz i je otworzył. Ruszyła przodem i ku swemu zaskoczeniu znalazła się w innym świecie. Znikły uporządkowane klomby, przystrzyżone krzewy, wyprofilowane drzewa oraz idealnie utrzymane trawniki. W tym ogrodzie rośliny rosły tam, gdzie było im najlepiej, w tym również niczym nieskrępowane drzewa. Nieopodal królował olbrzymi dąb, a na jednym z niższych konarów kołysała się na wietrze huśtawka. Nieco dalej czereśnie wyciągały ku słońcu gałęzie z zawiązkami owoców. Za nimi, w pobliżu niewielkiego domu, róże w pełnym rozkwicie mieniły się paletą barw od bieli po ciemny karmin.

- Czy właściciel nie będzie miał nam za złe, że chodzimy po

jego ogrodzie?

- Nie, ani trochę. - W głosie Jamesa zabrzmiała nuta rozbawienia. Oczy mu się śmiały.

- Ty jest właścicielem, prawda? - Jakżeby inaczej? - pomyślała. Przecież miał klucz do bramy.

- Tak. Powóz będzie czekał po drugiej stronie.

- Czy ktoś tu mieszka? - spytała Lucy, zauważając, że dom nie wyglądał na opuszczony.

- Obecnie dozorca. Ostatni lokator, malarz, przyjaciel mego ojca, zmarł przed paroma miesiącami. Dom wymagał pewnych napraw, więc nie został wynajęty.

Lucy rozejrzała się wokół. Dom był dokładnie taki, jaki sobie niegdyś wymarzyła. Na tyle duży, aby mieszkało się w nim wygodnie, ale nie ogromny; z ogrodem, gdzie pies nie byłby utrapieniem, a może nawet znalazłoby się miejsce dla kota. Znowu się rozmarzyła.

- Bardzo tu ładnie. Czy przyjacielowi ojca się tu podobało?

- Bardzo. Mieszkał przez trzydzieści lat. Ojciec lubił jego malarstwo, więc wyznaczył mu bardzo niski czynsz. Kupił też wiele jego obrazów. Układ był korzystny dla obu stron.

Podeszli bliżej. Na klombach jarzyły się pomarańczowe nasturcje, barwny groszek piał się nad starą furtką; wszędzie było mnóstwo róż - ich słodki zapach unosił się w powietrzu.

Lucy poczuła lekki niepokój, bo Cambourne wciąż ani słowem nie nawiązał do jej decyzji. Dał jej tydzień, w trakcie którego mógł się jednak rozmyślić. Jeśli chce poznać prawdę, to nie może milczeć.

- Cambourne, jeżeli zmieniłeś zdanie...

- W jakiej sprawie?

- O naszej umowie. - Tak, to chyba dobre słowo, uznała Lucy. Brzmi poważnie.

W jednej chwili zatrzymał się, przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta zachłannym pocałunkiem. Początkowo była zszokowana, ale gdy musiała zaczerpnąć tchu, napór ust Jamesa złagodniał, stał się niespieszny i tkliwy. Oddawała mu pocałunek, czując, jak delikatnie pieści ją dłońmi i tuli. Płoneła, owładnięta bolesnym pragnieniem.

Oszołomiony James wreszcie przerwał pocałunek i wtulił twarz we włosy Lucy. Serce waliło mu jak młotem.

- Nie zmieniłem zdania - powiedział, łapiąc oddech.

Jeżeli natychmiast nie każe jej wsiadać do kariolki i nie odwiezie do domu, skonsumuje ich związek tu i teraz. Założył, że będzie kontrolował rozwój ich znajomości, tymczasem bliskość Lucy wytrąciła go z równowagi.

Podniósł do ust jej dłoń.

- Poczynię stosowne przygotowania i jutro cię o nich poinformuję.

Całując jej drżące palce, poprzysiągł sobie w duchu, że zrobi wszystko, aby nigdy nie żałowała, iż obdarzyła go zaufaniem.

- Zabrał ją na cały dzień, szefie.

- Znowu? - Kilby sposepniał. - A dokąd?

- Nie mam skrzydeł, żeby za nimi polecieć, prawda? - Jig wzruszył ramionami. - Pojechali jego powozem.

- Nadal odwozi ją do jej mieszkania?

- Tak. - Jig pokiwał głową. - Nigdy nie zostaje długo. Moglibyśmy ją capnąć, szefie. To łatwe jak bułka z masłem.

Nikt nie będzie...

- Nie! - przerwał mu ostro Kilby. - Za duże ryzyko. To człowiek wysoko postawiony. Gdyby coś zwęszył, mielibyśmy piekło. Skoro ją odwozi do domu, i tylko zabiera gdzieś w ciągu dnia, to znaczy, że przyjeżdża w konkury.

- W konkury? - Jig nie mógł w to uwierzyć. - Po co mu kula u nogi?

Kilby się roześmiał.

- Kto mówi o żonie? Chce z niej zrobić swoją kochankę, co wcale nie znaczy, że nie zareagowałyby ostro, gdybyśmy sprzątnęli mu ją sprzed nosa. Poczekamy. Kiedy jej ojciec wróci, sama świadomość, że ją śledzimy, może sprawić, że zabuli, o ile coś przede mną ukrywa. A jeżeli to nie wystarczy - Kilby się skrzywił - jego córeczka gorzko tego pożałuje. Nie będę ryzykował, póki Hensleigh nie wróci.

Jig podrapał się w ucho.

- Jakie to ma znaczenie?

- Duże! - Kilby uśmiechnął się drapieżnie. - Jego lordowska mość pomyśli, że zniknięcie dziewczyny to robota Hensleigha, i jego będzie ścigał, a nie mnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jedwabna suknia wraz z dodatkami oraz bielizną została rozłożona na schludnie pościelonym łóżku. Seledynowy jedwab mienił się w blasku świec. Lucy przyglądała jej się z zapartym tchem. Nawet kuzynka Henrietta nie miała takiego stroju, gdy wychodziła za pana Bentincka. Pończoszki z najcieńszego jedwabiu leżały obok, na wysłużonej kapie. Przy łóżku stały pantofelki do tańca, w kolorze sukni. Z dołączonych saszetek rozchodził się delikatny zapach lawendy.

Łzy napłynęły Lucy do oczu, gdy przeczytała załączony liścik:

Moja kochana!

Przyznaję się, że skłamałam, mówiąc, iż mam suknię, którą można przerobić na Ciebie. Ufam jednak, że wybaczysz mi to małe oszustwo, gdyż sprawiło mi ono ogromną radość.

Możesz mi wierzyć, że Cambourne pełnił jedynie rolę posłańca. Mam też nadzieję, iż wybierając wachlarz, wykaże się dobrym gustem.

Twoja oddana przyjaciółka

Elizabeth Armistead

Pogładziła suknię w zadumie; jedwab zdawał się pieścić jej palce. Skrywał w sobie jej marzenia i obietnice na przyszłość. A może symbolizował pokusę? Kłamstwa, którymi można

omotać głupca?

Drzwi otworzyły się i James stanął w progu, zupełnie nieprzygotowany na to, że na jej widok w jednej sekundzie fala żaru pozbawi go tchu, a serce zacznie mu walić jak młotem.

- Lucy... - zdołał w końcu wykrztusić nieswoim głosem.

Oto stała przed nim, obiema rękami przytrzymując gorset. Cieniutka, na wpół przezroczysta halka spływała po jej smukłych nogach do pół łydki. Miała już na sobie pończochy i zielone pantofelki. Częściowo wyeksponowane przez gorset krągłe dziewczęce piersi o kremowej skórze zdawały się zapraszać, by je pieścił, aby ich posmakował. W jego oczach Lucy wyglądała bardziej podniecająco, niż gdyby była boso i z gołymi nogami. Częściowe ubranie pozostawiało pole dla jego wyobraźni. Wątpił, by kiedykolwiek się nią nasycił.

- Nie mogę... zasznurować gorsetu.

Był do tego stopnia oczarowany i podminowany, że z trudem zrozumiał wypowiedziane cicho słowa.

- Aha, zasznurować - powtórzył zdławionym głosem i gdy rozum z wolna przewyciężył szalejące zmysły, pojął, o co jej chodzi. Ma dociągnąć sznurówki gorsetu, nie rozluźnić. Pomóc jej się ubrać, nie rozebrać...

- Cambourne?

Niepewność w jej głosie przywołała go do rzeczywistości.

- Już, już, kochanie. - Podszedł bliżej, ciesząc się, że z powodu panującego w tym pomieszczeniu zimna nie zdjął peleryny, która zasłaniała reakcję jego ciała. - Odwróć się - dodał schrypniętym głosem.

W półmroku rozświetlonym jedynie blaskiem świecy włosy

Lucy lśniły jak miedź. Zostały splecione w warkocz i upięte do góry, tak że kilka luźnych loczków okalało jej twarz. Patrząc na nie, zapragnął uwolnić włosy, by spływały jej na ramiona, a on mógł zanurzyć w nich palce. Z najwyższym trudem skupił się na sznurowaniu gorsetu, starając się nie patrzeć na smukłe plecy, nie dotknąć wciętej talii i ponętnych pośladków.

- Nie za ciasno? - zapytał.

Tytułem próby Lucy wykonała kilka ruchów, a James z wielkim trudem zapanował nad pożądaniem.

- Nie. W porządku. Dziękuję.

- Nie ma za co. - To wpojone mu w dzieciństwie maniery podziały niczym hamulce, pomagając mu właściwie się zachować.

- Będę też potrzebowała pomocy przy sukni. Ma zapięcie z tyłu.

- Dobrze, jak będziesz gotowa.

Gdy zniknęła w głębi pokoju, zamknął oczy i skupił się na tym, by nie stracić panowania nad szalejącymi zmysłami. Lucy w pełni zasługiwała na coś lepszego niż pospieszny seks w tej norze. Należało poświęcić jej czas i uwagę, zadbać o odpowiednie otoczenie i atmosferę, okazać czułość. Zmarszczył brwi. Skąd mu przyszło do głowy to słowo? Troska, dobroć, z całą pewnością. Ale czułość?

- Cambourne?

Odwrócił się i zaniemówił.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała, przygryzając wargę ze zdenerwowania. - Ta suknia...?

- Leży doskonale - wykrztusił jak oczarowany uczeń. -

A ty wyglądasz w niej bardzo ładnie.

Ładnie? Wprost zjawiskowo! Zielony jedwab miękko opływał kształtną figurę, odsłaniając kremowy dekolt i część krągłych piersi. Palce aż go świerzbiły, żeby dotknąć granicy między jedwabiem a nagim ciałem, wyłuskać Lucy z sukni, po czym wziąć ją do łóżka.

- Nie mogę dosięgnąć zapięcia.

Nie mógł zebrać myśli, nie mówiąc już o słowach. Jak to możliwe, że w sukni wydawała mu się bardziej podniecająca niż w bieliźnie?

- Odwróć się plecami - mruknął i zaczął niechętnie zapinać haftki.

- Są też kwiatki z jedwabiu - powiedziała, kiedy skończył. - Nie wiedziałam, czy trzeba je przypiąć do sukni.

- Pokaż mi. - Poszedł za nią do sypialni, starając się omijać wzrokiem łóżko.

Lucy wskazała małe pączki róż z kremowego jedwabiu, umocowane na drucikach owiniętych tym samym jedwabiem.

- To, to... - Co się dzieje z jego głosem? Odchrząknął i spróbował ponownie. - Wpina się je we włosy. - Wziął je kolejno do ręki i ozdobił nimi koronę jej lśniących warkoczy.

Gdy skończył, odwrócił ją twarzą ku sobie.

- Gotowe!

- No i jak? Ujdzie?

- Jakaś ty piękna!

Wyglądała niczym leśna bogini przywodząca śmiertelników do zguby. Powiódł dłońmi po aksamitnych ramionach Lucy i ujął jej dłonie. Gdy podniósł je i musnął wargami, otworzyła

szeroko oczy.

- Milordzie? - odezwała się drżącym szeptem.

- Nie! - zaprotestował. - Nie tak, kochanie.

- Cambourne...

Właśnie tak zwracały się do niego kochanki; kobiety, które lubił, a czasem nawet bardziej, niż lubił, ale...

- Też nie tak, po prostu James - poprosił i pocałował Lucy.

Najpierw przelotnie, potem niespiesznie badał smak jej ust, aż wreszcie rozchyliła wargi i spotkały się ich języki. Odpowiadała mu na pocałunek z początku niepewnie, potem coraz śmieiej, doprowadzając go do szaleństwa. Przyciągnął ją do siebie, a ona objęła go za szyję.

„Jeszcze kilka pocałunków, a zgodzi się na wszystko...”, podpowiedział mu cyniczny wewnętrzny głos. O nie! Oderwał usta od jej warg i cofnął się ze stłumionym przekleństwem. Lucy patrzyła na niego zamglonym wzrokiem; wargi miała nabrzmiące od pocałunku.

- Lucy - powiedział urywanym głosem - nie zrobimy tego tutaj i teraz.

Zachnęła się.

- Ale ja... ja nie zamierzałam...

- Wiem, że nie - wpadł jej w słowo i znów ujął jej dłonie. Będzie z nią szczery, nawet gdyby miało to zaszkodzić jego planom. - Jednak ja miałem taki zamiar - wyjawiał i pomyślał, że jeżeli natychmiast stąd nie wyjdą, doprowadzi go do końca.

Usiłowała zebrać myśli. Z zachowania Cambourne'a mogła się zorientować, jak bardzo jej pragnie, jednak w porę nie rozpoznała niebezpieczeństwa. Dobrze, że on się wycofał.

- Lucy. - Łagodny, niepewny głos, pozostający w sprzeczności z ognistym spojrzeniem, przyprawił ją o wzruszenie. - Mówiłaś, że po namyśle zdecydowałaś się przyjąć moją propozycję.

- Tak.

- Jak wiesz, mam dom w Chiswick, tam spotkaliśmy się z moimi przyjaciółmi.

Cambourne Hall to rzeczywiście piękna rezydencja, ale ogromna i z tego powodu przytłaczająca. Czyżby miała tam zamieszkać? On nie mógłby jej stale towarzyszyć. Odwiedzałyby ją od czasu do czasu, ilekroć naszłaby go ochota. Przez resztę czasu snułaby się po tych wielkich eleganckich pokojach niczym duch w marmurowym grobowcu.

- W Chiswick? - powtórzyła, robiąc dobrą minę do złej gry.

- Tak. Urządziłem wszystko tak, żebym mógł tam zamieszkać na co najmniej kilka miesięcy. Hawthorne Lodge już na ciebie czeka. Dom nie jest duży, lecz wygodny, i będziesz blisko mnie.

- Ach! - westchnęła uszczęśliwiona. Ten niewielki dom w dzikim ogrodzie, nad rzeką, gdzie łabędzie dumnie królują na wodzie, a kaczki biją się o chleb.

- Lucy! - Uścisnął jej dłonie. - Będziesz tam bezpieczna.

- Bezpieczna?

- Tak, bardziej niż tutaj sama jak palec.

- Ja niczego nie potrzebuję.

Czyżby? - zadała sobie w duchu pytanie. Przecież brakuje jej pieniędzy nawet na jedzenie. Mimo to wołałaby nie oddać mu się w zamian za dach, który nie przecieka, i pełny żołądek.

Chciałaby... Nie, to czego by chciała, nie ma żadnego znaczenia. Wzięła się w garść.

- Będiesz mnie tam odwiedzał?

- Tak. - Skinął głową. - Przysięgam, że się tobą zaopiekuję.

Wiedziała, że kiedyś musiał nadejść moment, gdy podejmie ostateczną decyzję, i klamka zapadnie. Jeszcze mogła się wycofać, ale już nie chciała. Woląa zrobić krok w przód. Była w pełni świadoma, że jej życie podzieli się na dwie części: przeszłość i na razie nie do końca znaną przyszłość. Wiedziała, iż z każdym dniem będzie rosła między nimi przepaść.

Dotychczas liczyły się szacunek i przyzwoitość, którym towarzyszyły w jej sytuacji nieodłączne lęki o byt i bezpieczeństwo, a zachowanie cnoty miało być samo w sobie wątpliwą nagrodą. Mogłaby skontaktować się ze stryjem Bertramem i jego żoną, bo prawdopodobnie przyjechali do Londynu na czas obrad parlamentu. Może pomogliby jej znaleźć posadę guwernantki, która zarabiała dwadzieścia funtów rocznie, o ile dopisało jej szczęście. O zabezpieczeniu na starość lub na wypadek choroby nie było mowy.

Natomiast jeśli zwiąże się z Jamesem...

- Najdroższa?

To czułe słówko zapadło jej w serce.

- Kiedy mam przyjechać? - zapytała.

- Jeszcze tej nocy. Mogę cię tam zabrać z Vauxhall Gardens. Tak jak mówiłem, wszystko zostało dla ciebie przygotowane.

Tej nocy? - pomyślała. Ta częśćka jej natury, która była efektem wychowania przez babcię, podpowiadała, że powinna

zemdlec lub przynajmniej dostać palpacji. Natomiast ta nieokleznana, której istnienia wcześniej nawet nie podejrzewała, ciągnęła ją w nieznaną, ku przygodzie. W grę wchodziło jeszcze jedno: pragnienie, by nie być samotną i do kogoś należeć, a także mieć miejsce, gdzie będzie mile widziana.

James pogłaskał ją po policzku.

- Kochanie, to nie musi się stać tej nocy. Zdaję sobie sprawę, że będziesz zmęczona. Możemy poczekać, aż będziesz gotowa. Jedno się dla mnie liczy - żebyś była bezpieczna. A tak się stanie, jeśli znajdziesz się na terenie mojej posiadłości.

Nieoczekiwanie Lucy ogarnęło podniecenie, przeganiając ostatnie znaki zapytania i wątpliwości. A więc tej nocy! Po co odkładać to, co nieuniknione? Skoro James oddaje jej decyzję, to znaczy, że przedkłada jej pragnienia i potrzeby nad swoje. Nie mogła sobie przypomnieć, by podobne traktowanie spotkało ją od czasu śmierci matki.

- Będę musiała się spakować.

- To nie jest konieczne.

- Ale... - Urwała. To śmieszne! Nie może oczekiwać, że z powodu jej panięńskich fochów James pozwoli, by jako jego kochanka nosiła połataną, wytartą ubranie. Jednak, dopóki nią nie zostanie... - Nie mogę na co dzień chodzić w jedwabkach. - Wskazała na strojną suknię. - Będę też potrzebowała nocnej... - Umilkła, widząc jego szelmowski uśmiech. - Muszę wziąć skrzypce.

- Koniecznie - przytaknął Cambourne. - Grasz na

fortepianie?

- Tak, ale...

- Każę przenieść jeden instrument z głównego domu, bo są dwa. - Zmarszczył brwi. - A może nawet trzy?

Nie wiedział, ile fortepianów jest w jego domu? - zdziwiła się w duchu.

- To nie jest konieczne - powiedziała.

Przelotny pocałunek pozbawił ją tchu.

- Później o tym porozmawiamy - zdecydował. - Spakujmy twoje rzeczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dziesięć minut później James obiecał sobie, że gdy następnym razem Lucy będzie się przeprowadzać, spakowanie rzeczy zajmie jej znacznie więcej czasu. Nawet z książkami, które jej pożyczył, i małym kompletem szachów, dobytek zajmował mniej miejsca niż nowa suknia i dołączone do niej akcesoria. Zauważył, że w szafie wisiały dwa zestawy męskiej odzieży, co znaczyło, że Hensleigh miał więcej ubrań niż to, w którym chodził na co dzień. Pewnie też zabrał coś ze sobą. Samolubny łajdak!

- To wszystko - oznajmiła Lucy. - Och, żebym nie zapomniała! - Podbiegła do kominka i zdjęła z półki słoiczek. - Jeszcze to.

- Co to jest?

Zaczerwieniła się.

- Hm... to lekarstwo dla pań.

Aha, stąd ten rumieniec, pomyślał James. Wiedział, że kobiety często źle się czują przez kilka dni w miesiącu, ale nie lubią rozmawiać o tym ze swoim mężczyzną. Spojrzał na ostatnią paczkę leżącą na stole. On także byłby o czymś zapomniał.

- To dla ciebie - powiedział, podając jej niewielki pakiet.

- Nie powinienes...

- Owszem, powinienem - przerwał jej - inaczej Elizabeth

byłaby na mnie wściekła.

- Wachlarz? - spytała z uśmiechem.

- Otwórz, to się przekonasz.

Lucy rozwiązała sznurek i rozwinęła papier. W paczuszce była ozdobna torebeczka z jedwabiu i kości słoniowej. Delikatnie pogładziła ją palcem.

- Istne чудо! - Podniosła na niego oczy; były pełne łez. - Dziękuję. Jest przepiękna.

- Elizabeth nie chciała mi zdradzić, jaka będzie suknia, mówiła tylko, że wachlarz ma być z kości słoniowej. Jest w środku.

Drżącymi palcami otworzyła torebeczkę i wyjęła z niej rzeźbiony wachlarz. W ażurowe elementy z kości słoniowej była wpleciona blad różowa atłasowa wstążka. Czekał na reakcję Lucy, ale ona milczała. Czy to znaczy, że jej się podoba, czy wręcz przeciwnie?

- Dziękuję - szepnęła w końcu. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku.

- Jest jeszcze coś. Mam nadzieję, że zrobisz mi przyjemność i będziesz to nosiła.

Wyjął z kieszeni puzderko od jubilera. W środku na aksamicie leżał pierścionek z ametystem.

- Daj mi rękę - poprosił, a kiedy Lucy się nie poruszyła, sięgnął po jej dłoń i wsunął jej pierścionek na palec prawej ręki. Szlachetny kamień zaśnił w blasku świec.

- Nie musisz obdarowywać mnie biżuterią - powiedziała nagle pobladła Lucy.

- Kiedy go zobaczyłem, uznałem, że bardzo do ciebie pasuje.

Od razu kupił pierścioneł i natychmiast zapragnał go ofiarować Lucy.

- Dziękuję. Będę go zawsze nosiła.

- Mogę ci podarować jeszcze jeden - zauważył z uśmiechem.

- Jest coś, co wolałabym dostać zamiast klejnotów. Oczywiście, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Co to takiego, skoro mógłbym być przeciwny? - zastanawiał się James. Własny powóz? I tak zamierzał zaproponować go Lucy. Konia pod wierzch? Naturalnie, że będzie go miała.

- Chodzi mi o Fitcha.

- Jak to?

- Zamiast gromadzić kolejne precjoza, wolałabym opłacić edukację Fitcha. Chciałabym, aby mógł się uczyć i zdobyć zawód.

- Zamiast biżuterii? - James zachnął się lekko. Miałyby to być warunki jej kapitulacji?

- Tak. Wiem, że to będzie drogo kosztować.

- Nie aż tak bardzo.

- Zwłaszcza gdyby poszedł do szkoły, ale...

- Lucy, przecież on może sobie tego nie życzyć - zauważył James.

Może chłopak nie będzie chciał się rozstać z dotychczasowym życiem? A nawet gdyby się zgodził, czy uda się go zmienić? Targany wątpliwościami, James nagle przypomniał sobie, że Fitch nie uciekł, by ratować własną skórę, lecz został z Lucy, aby jej bronić.

- Można spróbować - stwierdził z westchnieniem. - Nie

wiesz, gdzie go znaleźć?

Przecząco pokręciła głową.

- W tym tygodniu rzadko widywałam Fitcha. Mogłabym jednak wrócić tu i poszukać go, prawda?

O nie, to wykluczone! - uznał w duchu James. Gdy już bezpiecznie ulokuje Lucy, nigdy jej na coś takiego nie pozwoli.

- Nie. Ja znajdę Fitcha i go przywiozę.

- Naprawdę? Nie będziesz miał mi tego za złe?

Niby z jakiego powodu? Dlatego, że jest do przesady lojalna? Że nie chce opuścić przyjaciela?

- Oczywiście, że nie.

Oto chcąc uszczęśliwić kochankę, spróbuje wykształcić i zreformować ulicznego złodziejzka. Gdyby dowiedzieli się o tym ludzie z socjety, orzekliby, iż postradał zmysły. Zresztą tak było. Nie zamierzał teraz mówić Lucy, że tak czy inaczej, od czasu do czasu prezentuje jej coś z biżuterii.

Przyczajony w ciemnej uliczce, Jig zaklął pod nosem, gdy jaśnie pan w towarzystwie swojej dziwki wyłonił się z bramy prowadzącej na podwórze. Nawet w słabym świetle latarni czekającego powozu widać było, że dziewczyna jest ubrana jak lala. Słyszał szelest jedwabiu. A niech ją diabli! Nieźle się dla niego wyszykowała. I te wszystkie paczki, chyba nawet skrzypce. Wystarczy popatrzeć, jak się do niego klei, słodka jak miód. Od razu widać, że znalazła miększe poślanie.

Głos lorda niósł się w mroku, dobrze słyszalny. Kazał stangretowi zawieźć ich na przystań przy Westminster Steps, potem przyjechać po nich do Vauxhall Gardens i stamtąd do Chiswick. Jig zaklął. Jako mały chłopiec zwiedził kilka

magnackich rezydencji w Chiswick. Dostawał się do środka przez okna, przez które nawet kot by się nie prześlizgnął.

Zdegustowany, spojrzął za odjeżdżającym powozem. Nie ma co, towar prima sort, ale Kilby nie położy na nim swojej łapy. A on musi poczekać na powrót Hensleigha.

W świetle rozwieszonych wśród drzew lampionów jedwabie i atłasy połyskiwały łagodnie, a klejnoty skrzyły się i migotały. James prowadził Lucy przez gwarny tłum, ignorując ciekawskie spojrzenia znajomych.

- Elizabeth napisała mi, że mają świetną lożę niedaleko skrzyżowania dwóch głównych alei: Grand Walk i Central Cross Walk.

Przyjaciółka ostrzegła go, z czym musi się liczyć dziewczyna w sytuacji Lucy, a mimo to prowadził ją przez to siedlisko plotek i pomówień, pomiędzy rzędami łoży, w których zasiadali znający go ludzie z socjety. W niektórych spożywały kolację szacowne rodziny, w innych wesoło bawili się panowie oraz ich kochanki. Wszyscy uważnie taksowali wzrokiem towarzyszącą mu Lucy.

James przyspieszył kroku. Chciał mieć już tę drogę za sobą i jak najprędzej dotrzeć do Foksa i Elizabeth.

- James! Drogi kuzynie!

- Przyłączysz się do nas?

Na dźwięk znajomych głosów James zamarł, po czym odwrócił się powoli, klnąc w duchu. Tuż obok jedną z łoż zajmował jego kuzyn William z żoną Susan i dwiema młodziutkimi córkami, które machały do niego na powitanie, wyraźnie uszczęśliwione. Natomiast William skrzywił się,

jakby zjadł cytrynę. Susan nachyliła się do córek i zaczęła coś do nich szeptać. Dziewczęta zrobiły wielkie oczy, oblały się rumieńcem i odwróciły wzrok.

W innych okolicznościach ich gafa rozbawiłaby Jamesa. Amelia miała szesnaście lat i jeszcze nie zaczęła bywać w towarzystwie, Jane była młodsza. Kuzyn głośno odchrząknął.

- Dobry wieczór, James.

- Dobry wieczór, Williamie.

- Bardzo przyjemny wieczór - zauważył William. Zachowywał się tak, jakby Lucy nie istniała.

- Rzeczywiście. - James poczuł, że dłonie same mu się zaciskają w pięści. - Wybaczcie, ale jestem umówiony z Foksem i... osobą mu towarzyszącą.

- Z Foksem? - William, który go nie znosił, zmarszczył brwi.

- Oczywiście, to twój ojciec chrzestny, ale... - Kaszlnął, po czym dodał: - Cóż, faktycznie powinieneś już iść.

- Tak. Do widzenia, Williamie.

James nie odezwał się ani do Susan, ani do dziewczynek, bo byłoby to naganne, skoro towarzyszyła mu Lucy. Zakazywała tego etykieta. Poza tym w tym momencie dostrzegł Foksa i Elizabeth w loży po przeciwnej stronie alei, niecałe dwadzieścia jardów dalej. Niech to diabli! Dlaczego William musiał wybrać akurat ten wieczór na rodzinną wyprawę do Vauxhall?

- Czy to pan Fox macha do ciebie? - usłyszał cichy głos Lucy.

- Tak - potwierdził i na nią spojrzał.

Miała twarz bez wyrazu. Nikt nie poznałby, że właśnie

wypalono na niej piętno określające jej nowy status.

- Skąd wiedzieli?

- Ale o czym? - James udał, że nie rozumie. Marny unik, aby zyskać na czasie, pomyślał.

- Twój kuzynostwo... a przynajmniej twój kuzyn William. Skąd wiedział, kim jestem? - zapytała łamiącym się głosem.

Ano stąd, że umyślnie nie przedstawił Lucy jego żonie i córkom, przypinając jej tym samym etykietkę ladacznicy. Jednak nie mógł jej tego powiedzieć.

- Tylko przypuszczał, ponieważ byłaś ze mną sama, bez przyzwoitki.

To stwierdzenie także nie było do końca prawdą, gdyż oficjalni narzeczeni mogli spacerować bez przyzwoitki. Poza tym młodej damie mógł towarzyszyć zaufany przyjaciel rodziny. Jednak gdyby byli po słowie, William znałby jego narzeczoną, podobnie jak pozostali członkowie londyńskiej socjety. Pożądliwe spojrzenia znajomych mężczyzn wzięły się właśnie z tego założenia. James bez trudu domyślił się, jakie uwagi padały z ich ust, rzucane za ich plecami. „Widzieliście tę nową kasztankę Cambourne’a?” „Cambourne tu jest ze swoją nową klaczką”. Zaczęłyby się także równie grubiańskie dywagacje na temat wytrzymałości oraz popisów klaczki, a także pytania, czy już ktoś ją ujeźdżał.

Lucy dumnie uniosła głowę.

- To nie ma znaczenia.

Właśnie, że ma! Jeszcze jakie! - pomyślał z furią James, ale już zatrzymali się przed lożą i rozpromieniony Fox podniósł się, aby ich przywitać.

- Panno Lucy. - Skłonił się nad jej ręką. - Przyznam, że dech mi zaparło. Co za suknia! Wygląda pani jak uosobienie wiosny.
- Ujął jej dłonie, po czym pocałował zmieszaną Lucy w policzek.

Elizabeth wymownie spojrzała Jamesowi w oczy, co oznaczało, że odnotowała reakcję jego rodziny. A jeśli ona ją zauważyła, to Fox również. James skrzywił się, a potem pochylił nad jej dłonią.

- Świat nie zawsze jest fair, James - odezwała się cicho. - A zwłaszcza dla kobiet.

Lucy starała się nie przejmować tym, że rodzina Jamesa ją zignorowała. Można się było tego spodziewać. Zresztą nawet nie musieli tego robić, bo Cambourne nie uznał za stosowne bodaj wspomnieć o niej podczas krótkiej wymiany zdań z kuzynem.

- Tym się nie przejmuj, moja miła - zwróciła się do niej pani Armistead i poklepała ją po ręce.

Nie było sensu udawać, że nie zrozumiała tej uwagi.

- Chyba się nie zastanowiłam, jak będzie to wyglądało w praktyce - przyznała z bladym uśmiechem. - Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że żaden dżentelmen nie będzie przedstawiał swojej kochanki.

- A już nią zostałaś?

- Zgodziłam się. Później tego wieczoru zabierze mnie do Chiswick.

Elizabeth pokiwała głową.

- Jesteś pewna, że nie ma innego wyjścia? - zapytała, a widząc zdumienie malujące się na twarzy Lucy, dorzuciła: -

Pewnie cię dziwi, dlaczego akurat ja przestrzegam cię przed obraniem takiej drogi.

- Tak - przyznała Lucy.

Elizabeth ścisnęła ją mocno za rękę.

- Dobrze znam wszystkie związane z tym zagrożenia. - Posmutniała. - Obelgi, opuszczenie, ubóstwo, ciążę... Choć z pewnością James hojnie łożyłby na dziecko i jego matkę, wiedz, że większość dżentelmenów uważa, iż kochanki można się pozbyć, kiedy im się znudzi, lub uznają, że przekwitły jej wdzięki. - Wzruszyła ramionami. - Oni mają zwierzęcą naturę.

- A pan Fox?

- Jest wyjątkiem od tej reguły, moje dziecko. - Wzrok Elizabeth poszybował ku mężczyznom ze swadą rozprawiającym o polityce.

Fox, jakby czując na sobie spojrzenie ukochanej, popatrzył w jej stronę i para wymieniła między sobą tak czułe uśmiechy, że Lucy poczuła się intruzem.

- Zakochując się w Foksie, mogłam popełnić największe głupstwo w życiu - kontynuowała Elizabeth, nie spuszczając z niego wzroku.

- Przecież on panią kocha.

- Tak, rzeczywiście mnie kocha. - Elizabeth znów spojrzała na Lucy. - Nie powinnaś jednak obierać swojej drogi, bazując na moim szczęściu.

- Jak to mówią, „Kieruj się moją radą, nie moimi czynami” - powiedziała Lucy.

Elizabeth upiła łyk szampana.

- Często jest to słuszne, gdyż za tym stwierdzeniem stoi doświadczenie.

Lucy zabrała się na odwagę.

- Mogę poradzić się jeszcze w jednej sprawie?

Elizabeth nie od razu odparła.

- Chcesz mnie zapytać, czy on cię kocha?

- Nie - zaprzeczyła Lucy, czując ukłucie w sercu. - O to nie muszę nawet pytać.

Elizabeth przyjrzała się jej uważniej. To, co spostrzegła, zdawało się potwierdzać jej przypuszczenia, mimo to uśmiechnęła się smutno.

- James cię nie okłamie, a już na pewno nie w tej sprawie. Jeżeli ci kiedykolwiek powie, że cię kocha... - Westchnęła. - Mniejsza o to. Snuję tu jakieś bajki. Co chciałabyś wiedzieć?

- Wczoraj powiedziała pani, że postanowiliście z panem Foksem nie mieć dzieci.

- Tak - odparła Elizabeth po dłuższej chwili milczenia.

- Czy można zapobiec ciąży? Ktoś poradził mi nasiona marchwi.

- Trzeba je dobrze przeżuć, jak najszybciej po tym, jak był z tobą. - Elizabeth pochyliła się ku Lucy. - Są też inne sposoby.

Jamesowi coraz trudniej było skupić się na polityce. Wciąż jego myśli kierowały się ku Elizabeth i Lucy. O czym tak poważnie rozmawiały? Czy raczej, o czym mówiła Elizabeth, bo Lucy tylko od czasu do czasu zadawała pytanie.

- Ej, Cambourne?

Z trudem oderwał uwagę od pań i wrócił do rozmowy.

- Nie mogę się zgodzić, że to dobre dla Europy. Rewolucja

we Francji wciągnęła nas wszystkich w wojnę. Chyba można było więcej osiągnąć za pomocą umiarkowanych reform, prawda?

Jeden z kolegów Foksa prychnął pogardliwie.

- Pod panowaniem Ludwika? To niemożliwe. Wydawało mu się, że wciąż obowiązuje boskie prawo królów^[4]. Europie potrzebny był solidny wstrząs.

W tym momencie James zauważył kątem oka, że Lucy wyciągnęła rękę ponad stołem, a Elizabeth ujęła jej dłoń.

- Martwisz się, jakie rady daje ta Armistead twojej nowej dzierlatce, Cambourne? - Hawksburn otaksował wzrokiem Lucy.

James z trudem się pohamował.

- Mówił pan coś? - zapytał z przekąsem.

Mimo to Hawksburn perorował dalej:

- Pewnie instruuje ją, jak utrzymać przy sobie mężczyznę, kiedy jego zapal ostygnie. To bardzo prawdopodobne. - Pokręcił głową. - Fox to miły gość, ale całkiem oszalał na punkcie tej kobiety! Przecież gdy ją wziął, już miała za sobą najlepszy okres! Kilka lat temu narailiśmy mu świetną partię. Mógł się ożenić z tą smarkatą córeczką Couttsa, bankiera, oczywiście pod warunkiem, iż zerwie z Armistead. Wyobraź sobie, że machnął na to ręką! Niech mnie kule biją, jeżeli ona jeszcze głębiej nie wbiła w niego tych swoich szponów.

- Szponów, tak - powiedział James, zaciskając dłonie w pięści.

Hawksburn nagle uświadomił sobie, że jest w niebezpieczeństwie, i wycofał się rakiem.

- Ach, to tylko taka figura retoryczna - usiłował zbagatelizować własne słowa.

- Radzę panu uważać, co pan mówi o pani Armistead - oznajmił złowieszczym tonem James. - To moja bliska przyjaciółka i nie będę tolerował braku szacunku.

- Tak, tak, oczywiście. - Hawksburn odsunął się jeszcze dalej.

- Odradzam też wszelkie lekceważące uwagi o jej towarzysze. Czy moje figury retoryczne są dla pana wystarczająco jasne?

- Yyy... tak, milordzie. Powiedziałbym nawet, że jasne jak słońce. Wybacz pan, milordzie, ale muszę jeszcze z kimś pilnie porozmawiać. Życzę dobrej nocy.

Najchętniej James rozkwasiłby nos Hawksburnowi, ale nie chciał tego robić w obecności Elizabeth i Lucy. Nieznacznie skinął mu głową. Jak to dobrze, pomyślał, że może wywieźć Lucy z Londynu. W Chiswick nie będzie narażona na zniewagi i hipokryzję. Tylko jak długo będzie mógł ją tam ukrywać? Ile upłynie czasu, by poczuła się osamotniona? Kiedy przestanie jej wystarczać jego towarzystwo? Oczywiście, będzie miała przy sobie Fitcha, ale będzie pragnęła kontaktu z innymi, nie tylko z kochankiem czy chłopcem. Gdzie znajdzie sobie przyjaciółki? Elizabeth mieszka mile od Chiswick.

Mężczyźni - krewni czy przyjaciele - byliby aż nadto zadowoleni, mogąc zawrzeć znajomość z Lucy. Z nielicznymi wyjątkami patrzyliby na nią jak na przedmiot, którego można się pozbyć, kiedy przestanie bawić i stanie się zawadą. Hawksburn był jedynie wyrazicielem powszechnie panującej

opinii. Jednocześnie ci mężczyźni pilnie strzegliby sióstr, żon i córek przed jej złym wpływem. Kobiety te wiedziałyby o istnieniu Lucy i nawet o niej by rozmawiały, lecz tylko ze wzgardliwym politowaniem lub jawnym niesmakiem.

- Cóż! - Fox poklepał Jamesa po plecach. - Panowie wybaczą, ale Cambourne i ja już wystarczająco długo zaniedbywaliśmy nasze panie.

Mężczyźni oddalili się, uprzednio uprzejmie pożegnawszy Elizabeth. Kilku z nich zaczęło się przyglądać Lucy, lecz wzrok Jamesa skutecznie ich zniechęcił, skłaniając do odwrotu.

Pomyślał, że Lucy będzie z nim bezpieczna. Ochroni ją przed zniewagami i wybrykami ojca. A co z nim? Przecież on także ją wykorzystywał. Gdy Hensleigh wróci, zacznie szukać córki. Naturalnie, nie po to, aby wyciągnąć ją z tarapatów, lecz by zażądać należnych mu udziałów w wygranych - nieważne których. Wtedy on go dopadnie i nareszcie zrealizuje swój plan. Daruje temu łajdakowi dług i podrze weksle w zamian za przydatne informacje o Kilbym.

Lucy aż zakręciło się w głowie. Elizabeth okazała się niewyczerpanym źródłem wiedzy o sposobach zapobiegania ciąży. Nieco dalej Fox i James wciąż rozmawiali z innymi dżentelmenami o polityce. Nieczęsto się ze sobą zgadzali, potrafili jednak przedstawiać swoje racje, nie złościąc się na siebie. Z ogromną pasją, lecz bez gniewu. Inaczej niż jej dziadek, z reguły dyskredytujący wszystkich, którzy nie podzielali jego poglądów.

Uśmiechnęła się blado, gdy Fox z westchnieniem ulgi rozsiadł się obok Elizabeth.

- Orkiestra chyba już stroi instrumenty i zaraz zaczną się tańce. - Spojrzał z błyskiem w oku na ukochaną. - Szkoda, że przestałem się liczyć jako tancerz, ale ty chyba nie, James, prawda? Zaprosisz pannę Lucy na parkiet?

- Nie potrafię tańczyć - powiedziała ze spokojem, jakby nie było to czymś absolutnie nienaturalnym dla młodej dziewczyny.

Elizabeth spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Naprawdę nie umiesz tańczyć?

- Nie miałam okazji się nauczyć.

Teoretycznie brała udział w zorganizowanych dla jej kuzynostwa lekcjach tańca, lecz dziwnym trafem o tej samej godzinie wysyłano ją zazwyczaj z jakimś pilnym zleceniem albo musiała poczytać babci lub nawijać z nią wełnę. A jeżeli już uczestniczyła w lekcji, to tylko wtedy, kiedy przygrywała im do tańca.

Zerknęła na Jamesa. Czy jest zawiedziony? Po zawarciu znajomości z Elizabeth uświadomiła sobie, że mężczyzna może mieć wysokie wymagania wobec kochanki. Po co mu nieokrzesała dziewczyna, która nawet nie potrafi tańczyć?

- Czy twoi kuzyni nie mieli nauczyciela do tańca? - James przyjrzał się uważnie Lucy.

- Mieli.

- Rozumiem. - Wziął ją za rękę. - Wobec tego będę miał tę przyjemność i zacznę cię uczyć, ale nie tutaj - dodał z uśmiechem przeznaczonym tylko dla Lucy. - Może się przejdziemy?

- Chętnie - odparła i odpędziła ponure myśli, które nękały ją

cały dzień.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

James poprowadził Lucy główną aleją, zmierzającą w kierunku północnym. Tysiące lampionów migotało wśród drzew, zamieniając noc w jasny dzień. Mijanych znajomych, którzy go pozdrawiali, zaszczycił nieznacznym skinieniem głowy. Lucy z miejsca stała się obiektem ciekawskich spojrzeń. Gdyby nie czuł, jak mocniej ściska go za ramię, ilekroć jakiś mężczyzna lustrował ją wzrokiem od stóp do głów, nie wiedziałaby, że to zauważyła, ponieważ zachowywała nieodgadniony wyraz twarzy.

- Na samym końcu jest ciemna aleja. - James starał się mówić obojętnym tonem. - Moglibyśmy obejść cały park albo zawrócić.

Uśmiechnęła się lekko.

- Myślisz, że jeszcze możemy zawrócić?

Zrozumiała go, jak widać.

- Zatem idziemy dalej?

- Tak. - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Nie miał jej tego za złe. Przecież się zgodziła i gdy wieczór dobiegnie końca, pojedzie z nim do Chiswick. Mimo to raz po raz pytał ją, czy jest pewna swojej decyzji. Po co? Na końcu alei pojawiła się grupka zmierzająca w ich kierunku. Był to Hawksburn i paru jego kolegów z żonami. Mężczyźni pozdrowili go przyjaznym skinieniem głowy, natomiast ich żony

udały, że nie widzą ani jego, ani Lucy. Ze złośliwym uśmiechem Hawksburn szepnął coś na ucho lordowi Fanshawe'owi, który uniósł brwi i lubieżnie prześlizgnął się wzrokiem po Lucy.

- Bardzo apetyczna - zwrócił się głośno do Hawksburna, który zbladł i szybko pociągnął go za rękę.

James mimowolnie zacisnął dłonie w pięści, starał się jednak panować nad emocjami.

- Elizabeth powiedziała mi, że pan Hawksburn cię zdenerwował - odezwała się Lucy.

- Na ogół działa mi na nerwy - przyznał, czując odrazę do samego siebie. Elizabeth najwyraźniej widziała i wiedziała za dużo. - Nie zaprzataj nim sobie głowy - powiedział.

Skęcili w ciemną alejkę, pozostawiając za sobą tłumy. Przechadzało się po niej kilka par, większość trzymała się jednak oświetlonych stref. Żaden mężczyzna dbający o reputację swojej kobiety nie przyprowadziłby jej w te zakątki parku. Tymczasem on przyszedł tu z Lucy chyba dlatego, że już i tak zrujnował jej opinię, a ciemność stwarzała iluzję prywatności. Gdzieś z tyłu dobiegały ich odległe głosy.

- Widzę, że wciąż reakcja ludzi z socjety nie daje ci spokoju - stwierdziła Lucy.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - Czuł, jak drży jej ręka spoczywająca na jego przedramieniu.

- Patrzysz na mnie inaczej, jakbyś był zły. Tyle że nie na mnie, ale z mojego powodu. - Lucy przystanęła i odwróciła się do Jamesa. - Elizabeth powiedziała mi, że ten mężczyzna nie popierał jej związku z panem Foksem.

To oczywiste, że Elizabeth musiała być tego świadoma, pomyślał. Czy wiedziała też, jaką rolę odegrał Hawksburn w nieudanej próbie wyswatania Foksa z córką Couttsa? I że zwrócili się również do niego o poparcie, ale im kategorycznie odmówił?

- Jeżeli zmieniłeś zdanie - mówiła dalej Lucy - to wolałabym teraz się o tym dowiedzieć.

Ukryty w gęstwinie słowik zaczął wyśpiewywać miodopłynne trele.

James uznał, że czas wyjaśnień minął, a w którymś momencie Lucy stała się dla niego zbyt ważna, by mógł ryzykować, iż ją straci. Nachylił się i musnął ustami jej wargi.

- Nie zmieniłem zdania.

- Cieszę się - wyszeptała mu prosto w usta, wspinając się na palce.

Chwycił ją za rękę i wciągnął w głębszy mrok, pod drzewa, w królestwo słowika. Tam wziął ją w ramiona.

James wiedział, że musi przestać. Miał po temu powody, i to bardzo konkretne. Zapomniał o nich jednak, zatracając się w pocałunku. Przywołując resztki zdrowego rozsądku, oderwał się od warg Lucy i spojrzał na jej twarz. Jawiła się w mroku niby blady owal, widział jednak jej zamglone oczy i rozchylone drżące usta. Wtulała się w niego, jej drobna dłoń spoczywała na jego piersi. Delikatny zapach jej włosów mieszał się z wonią kwiatów; wokół rozlegały się słowicze trele.

Kilka par spacerowało alejką, jakby poza tą magiczną strefą.

- Nie możemy tu zostać - powiedziała cicho.

To prawda, pomyślał James. Nie powinni się chować na uboczu, w mroku, ukryci przed ludzkim wzrokiem.

- Masz rację.

Rozejrzał się szybko, czy nie zbliża się ktoś, kto mógłby ich rozpoznać, po czym wyprowadził Lucy na aleję. Ostatnie, czego mu potrzeba, to plotek, że Cambourne ujeżdżał swoją klaczkę w krzakach w parku. Poza wszystkim z pewnością Elizabeth przestałaby się do niego odzywać.

Podsunał Lucy ramię i ruszyli ku jasno oświetlonej alei południowej, by włączyć się w rozbawiony tłum. James ignorował rzucane w ich stronę znaczące spojrzenia i torował im drogę w ścisku. Wyminął grupę rozchichotanych młodych dam i nagle stanął oko w oko z Nickiem. Nemezis, nieubłagana bogini sprawiedliwości, mogła się wcielić w dowolną postać, chcąc osiągnąć kogoś swoim mieczem. Tylko dlaczego akurat w kuzyna?

- Dobry wieczór, James! - zawołał Nick; oczy mu się śmiały. - Fox zdradził, że znajdę cię na którejś z alejek. Powiem ci, że papa toczy pianę z ust. Mało nie dostał apopleksji, opowiadając mi, co się stało. Amelia i Jane zostały doszczętnie skompromitowane, biedactwa! - Przerwał, po czym skłonił się szarmancko przed Lucy. - Och, przepraszam panią. Chyba się jeszcze nie znamy. - W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia przemieszanego z zazdrością. Wyciągnął rękę i dodał z uśmiechem: - Nick Remington, do usług. Cambourne to mój kuzyn.

James z trudem pohamował chęć, by trzepnąć go po rękę,

ale Lucy już podawała mu swoją.

- Lucy Hensleigh.

Nick, który właśnie skłonił się nad jej dłonią, wyprostował się natychmiast.

- Hensleigh? - Spojrzał na Jamesa. - Co to ma znaczyć, u diabła? - Puścił dłoń Lucy jak oparzony.

- Nick, to już gruba przesada! - skarcił młodzieńca James.

Lucy zbladła, ale trzymała wysoko głowę.

- Domyślam się, że zna pan mojego ojca.

Brawo! Pomyślał James. Zachowała się jak młoda dama.

- Ojca? - Nick znów spojrzał na Jamesa. - Tak, znałem, o ile pani ojcem jest kapitan Hensleigh.

- Tak - potwierdziła cicho.

- James! - rzucił z furią Nick. - Muszę zamienić z tobą słówko na osobności.

- Nie tutaj - odrzekł James. Za żadne skarby świata nie zostawi Lucy samej w tłumie. - Odprowadzę pannę Hensleigh do Foksa i pani Armistead, a potem mogę poświęcić ci chwilkę.

Przez sekundę myślał, że Nick zaprotestuje, bo popatrzył na niego hardo. Jak widać, chłopak dorośleje. Dlaczego jednak wybrał sobie tak niestosowny moment?

- Dobrze. - Nick spojrzał ponuro na Lucy. - Oby mój ojciec nie dostał apopleksji na nasz widok.

- James, czyś ty postradał zmysły? - rzucił półgłosem Nick. Stali o kilka kroków od łoża, w której siedziała Lucy z Foksem i Elizabeth. - Co tu robisz z tą dziewczyną?

- Jem kolację - odparł James. - To nie twoja sprawa i...

- Nie moja?! - Nick przeszył go wzrokiem. - Pewnie to...

- Dostyc tego! Masz się wyrażać o niej z szacunkiem.

Nick ze zdumienia otworzył usta.

- Niech cię diabli, James! Jeżeli to córka Hensleigha, to nie jest czysta jak...

- Powiedziałem, dostyc! - ostro przerwał kuzynowi James. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Gdzie jest Hensleigh?

- Nadal nie ma go w Londynie.

Nick zaklął szpetnie.

- A ty ukradłeś mu córkę, żeby powetować sobie dług na tysiąc funtów?! - podniósł głos. - Na miłość boską! Co będzie, jak on się dowie, a te zbiry wezmą się za ciebie? Czy warto aż tak ryzykować dla tej kwoty?

Z ust Lucy wyrwał się stłumiony okrzyk. James odwrócił się i napotkał jej spojrzenie. Zauważył, iż gwałtownie pobladła, a Elizabeth objęła ją opiekuńczym gestem.

- Lucy... - Zrobił krok w jej stronę.

- Myślę, że jest mi pan winien wyjaśnienie, milordzie.

Słuchając tłumaczeń Jamesa, Lucy zaciskała dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie wpijały jej się w dłonie. Mdlilo ją na sam widok nietkniętej kolacji, przeźroczystych plastrów szynki i porcji zielonego groszku. Tysiąc funtów! Nie sto, lecz tysiąc! Nie miała odwagi zapytać, czy wziął ją w ramach spłaty części długu, czy z zemsty za pobicie kuzyna. Nie chciała tego wiedzieć, ale pewnie i tak on jej powie. Gdy wreszcie umilkł, zaczerpnęła tchu i wymazując z pamięci całą resztę, oznajmiła:

- Chciałabym wrócić do domu, milordzie.

W milczeniu, które zapadło, słyszała tylko bicie swojego serca. Czy to nie dziwne, że nie w pełni zdawała sobie sprawę, iż bez reszty mu je oddała, dopóki jej go nie złamał?

- Lucy...

- Do siebie, na Frenchman's Yard. - To ważne, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Ależ moja kochana, pojedź z nami - zaczęła ją łagodnie namawiać Elizabeth. - Przynajmniej na tę noc, a jutro...

- Dziękuję pani. - Lucy uśmiechnęła się z wysiłkiem. - To miło z pani strony, ale niestety nie mogę. Lord Cambourne odwiezie mnie do domu. - Odważyła się na niego spojrzeć. - Chyba mogę ufać, że spełni moje życzenie.

Wzdrygnął się, jakby zraniła jego dumę. A może po prostu poczuł się urażony sugestią, że nie można mu zaufać? Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, iż zawołaną obelgą skłoni go, by uczynił to, czego chciała.

Nawet jeżeli ktoś im się przyglądał, gdy szli na plac, gdzie czekały powozy, James tego nie zauważał. Całą jego uwagę pochłaniała idąca obok kobieta, od której wręcz emanowała wrogość. Gdy chciał jej pomóc przy wsiadaniu, niemal wbiegła do powozu, ledwie stangret podstawił schodki.

- Do miasta, na Frenchman's Yard - poleciał James.

W uszach Lucy zabrzmiało to niemal jak wyrok śmierci.

- Tak jest, milordzie - służbiście odparł Digby, ale zrobił zdumioną minę.

James wsiadł do powozu i poczuł dojmujący wstyd. Wyprostowana jak struna Lucy zajęła miejsce tyłem do kierunku jazdy, jakby była służącą.

- Lucy...

- Myślał pan, że brałam w tym udział?

- Ależ nie! - zaprzeczył gwałtownie, przerażony nieoczekiwanym rozwojem sytuacji.

- To już coś, ale to znaczy, że miałam jedynie doprowadzić pana do mojego ojca i tego Kilby'ego.

- Przepraszam. - Głupie słowo i niepotrzebne, zreflektował się poniewczasie.

Digby trzasnął z biczem i powóz ruszył.

- Tysiąc funtów. - Głos jej się załamał. - Przez cały czas mnie pan okłamywał.

- Nie chodziło mi o pieniądze, Lucy - tłumaczył. - One nie były aż tak ważne.

- Aż tak ważne? - powtórzyła. - Czyli jednak były istotne. Miło jest być bogatym, prawda?

Zasłużył sobie na taką odpowiedź, a jej należało się pełne wyjaśnienie. Teraz, kiedy są sami i ich nikt nie słyszy, była po temu najlepsza sposobność.

- Lucy, kiedy twój ojciec sprzedał Kilby'emu weksle Nicka, nie zrobił tego po raz pierwszy. Pobicie Nicka miało być ostrzeżeniem. Wcześniej inny młodzieniec został zakatowany.

- Co takiego?! Ojciec nie zrobiłby... - Urwała.

James usłyszał jej urywany oddech.

- Przepraszam cię, kochanie. - Zachnęła się, słysząc pieśczośliwy zwrot, a jego bardzo to ubodło. Mówił jednak dalej: - Pamiętasz, jak mi opowiadałaś o młodym człowieku, który przyszedł do waszego mieszkania w ślad za twoim ojcem? A on powiedział mu, że Kilby ma jego weksle.

- Tak - wyszeptała.
- Usłyszałaś może jego nazwisko?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę.

- Moreby? Coś w tym rodzaju.
- Może Moresby?
- Tak, to możliwe.

James zebrał się w sobie, ale musiał zapoznać ją z całą sytuacją.

- Wkrótce po tej wizycie Gerald Moresby zmarł na skutek bestialskiego pobicia. Uznano to za napad rabunkowy, ale jego brat opowiedział mi, że Gerald przyszedł do niego po wcześniejszym incydencie, tyle że mniej niebezpiecznym, błagając o pieniądze na pokrycie karcianego długu. Stwierdził, że to sprawa życia lub śmierci, i jak się okazało, miał rację.

Zapadło ciężkie milczenie. James pomyślał, że nie może być nic gorszego, dopóki Lucy nie zaczęła mówić:

- Przepraszam za to, co powiedziałam o byciu bogatym. Oczywiście, te pieniądze nie miały znaczenia, ale... ojciec mógł... - Głos jej się załamał i po dłuższej chwili zapytała: - Sądysz, że mógł przewidzieć, co się stanie?

Pomyślał, że nigdy więcej jej nie okłamie, i to nawet w celu oszczędzenia jej bólu.

- Kilby ma bardzo złą reputację. Nawet gdyby twój ojciec nie był tego świadom przed śmiercią Geralda Moresby'ego, to musiał wiedzieć, że Kilby nie zna litości, gdy sprzedał mu weksle mojego kuzyna Nicka. - Umilkł na chwilę, bo przypomniał sobie rozpacz i poczucie winy Huntercombe'a, po czym dodał: - Niestety, brat Geralda, Huntercombe, nie

zdawał sobie sprawy z grozy sytuacji, nie uwierzył, że to kwestia życia lub śmierci, i nie dał Geraldowi pieniędzy, czego do tej pory nie może odżałować.

- Twój kuzyn nie umarł.

- Owszem, przeżył ostrzeżenie, po którym zwrócił się do mnie, a ja spłaciłem jego długi.

- Tysiąc funtów, które chciałbyś, rzecz jasna, odzyskać.

- Nie! - zaprzeczył energicznie James, pragnąc, by Lucy zrozumiała motywy jego postępowania w tej sprawie. - Chciałem jedynie dać nauczkę twojemu ojcu. To wszystko, ale już po tym, jak cię poznałem, spotkałem Huntercombe'a, który mi opowiedział o swoim bracie i...

- Zapragnąłeś wymierzyć sprawiedliwość - dokończyła Lucy.

- Chciałem mieć pewność, że żaden inny młody dureń nie umrze z podobnego powodu. Wszyscy byliśmy głupi w tym wieku, ale...

- Ile on miał lat?

James wzruszył ramionami.

- Mniej więcej tyle co Nick. Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Młodzi mężczyźni są durni. Wydaje im się, że pojedli wszystkie rozumy i są nieśmiertelni. Na szczęście większość z nas z tego wyrasta. - Zaczerpnął tchu. - Lucy, nie kłamałem, mówiąc, że cię pragnę. Nie pojedziesz do mnie, kochanie?

Lucy wcisnęła się w róg powozu. W końcu odezwała się znużonym cichym głosem:

- Nie. Nie będę się więcej okłamywać. Uznałam, że ci na mnie choć trochę zależy, ponieważ byłeś dobry i miły dla mnie, a nawet dla Fitcha. Uwierzyłam w szczerłość twoich intencji.

Troszczyłeś się o mnie... - Urwała ze łzami w oczach.

James wyciągnął ręce, nie mogąc dłużej znieść widoku załamanej Lucy.

- Nie! - Jeszcze dalej cofnęła się w kąt i pochyliła głowę. - Nalegałeś, abym dobrze zastanowiła się przed podjęciem decyzji, i doszłam do wniosku, że jesteś uczciwy. Chcesz, żebym zrobiła ten krok świadomie i dobrowolnie. Tymczasem chodziło ci o to, aby sobie oszczędzić trudu i wydatków związanych z moją osobą, gdybyś...

- Lucy! Nie wolno ci tak myśleć!

Uniosła głowę. W słabym świetle latarni zobaczył, że w jej oczach pojawił się błysk gniewu.

- Proszę mi nie mówić, co wolno mi myśleć, a co nie, milordzie!

To koniec, chociaż tak naprawdę ona do niego nie należała. To, że ją utracił, nie znaczy jednak, iż pozwoli jej wrócić do bagna, jakim było życie jej ojca.

- Lucy, proszę cię, pojedź ze mną tylko na tę noc i...

- Co?!

Nagle dotarło do niego, jak musiało to zabrzmieć.

- Przysięgam, że cię nie dotknę, nawet się do ciebie nie zbliżę.

- Chyba rzeczywiście masz mnie za głupią, milordzie, skoro myślisz, że dam się nabrać na...

- W takim razie odwiozę cię do Elizabeth. - Wychylił się i chwycił ją mocno za ręce, chociaż próbowała się wyrwać. - Nie wracaj na Frenchman's Yard.

- Boisz się, że mogłabym ostrzec ojca i Kilby'ego, tak?

- Ależ nie! - Rozpaczliwie szukał w głowie przekonujących słów. - Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo, do jasnej cholery!

Lucy wyszarpnęła ręce z uścisku i prychnęła pogardliwie.

- Raczej o to, żeby bezpiecznie się mnie pozbyć. Idź do diabła, milordzie! Sama trafię do domu.

Starła się oddychać miarowo. Niestety, nie zdołała powstrzymać łez - spływały jej po policzkach. Pochyliła głowę, by Cambourne ich nie dojrzał.

Siedział spokojnie w przeciwnym rogu powozu. Odkąd posłała go do diabła, nie odezwał się słowem. Nie potrafiła orzec, czy udało jej się go przekonać, że z nim nie pojedzie. Może czekał na stosowny moment. Sądząc po trasie, jaką jechali, wracali do miasta, czyli nie zamierzał wywieźć jej do Chiswick. Poczwała, że musi wytrzeć nos, ale chusteczkę miała w torebeczce, więc domyśliłby się, że...

- Proszę.

Wychylił się i wcisnął jej do ręki swoją chustkę. Najwyraźniej wiedział, że płakała. Wydmuchała więc nos i otarła oczy. I to by było tyle, jeśli chodzi o dumę. Dyskretnie zsunęła z palca pierścioneł z ametystem i schowała go do eleganckiej wieczorowej torebeczki wraz z wachlarzem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Odmówiła grzecznie, bez złości. To było najgorsze.

James ruszył śladem pośpiesznych kroków Lucy, zmierzającej skrzypiącymi schodami na górę, do mieszkania. Słyszał jej urywany oddech. Czy od wspinaczki po stromych schodach, czy od tłumionego płaczu? – tego nie potrafił orzec. Wokół panowała ciemność; pudła, które przejął od niej, objęły się o poręcz, spowalniając Jamesa.

Nagle drzwi na górze otworzyły się z hukiem.

– Gdzie się, do diaska, podziewałaś, głupia dziewucho?

– Wyszłam na kolację. Czemu się złościysz?

James zamarł, po czym pokonał ostatnie pół piętra, przeskakując po dwa stopnie naraz. Byłby wpadł na Lucy, lecz w samą porę dostrzegł ją w świetle sączącym się z mieszkania. W progu stał Hensleigh, trzymając w ręce świeczkę.

– Czemu? A gdzie jest, do cholery, moja kolacja?! Ta stara wiedźma na dole powiedziała mi, że zniknęłaś na dobre! I skąd masz tę kieckę?

– Od przyjaciela...

– Od przyjaciela? Kto to jest, do cholery?

Hensleigh wyteżał wzrok, próbując dojrzeć coś za plamą światła, w mroku, gdzie stał James.

– Osoba, z którą jadłam kolację. Przepraszam, ale jestem

zmęczona.

Lucy próbowała się przemknąć, lecz Hensleigh złapał ją za nadgarstek.

- Kolacja z mężczyzną? W nowej kiece? - wycodził. - Ty wywołoko!

James upuścił pudła i w mgnieniu oka przemierzył podest. Złapał Hensleigha za podniesioną rękę, zanim ten zdążył ją opuścić, obrócił go i wepchnął przed sobą do mieszkania.

- Tylko spróbuj jej dotknąć, Hensleigh czy jak tam się naprawdę nazywasz, a powybijam ci wszystkie zęby! - rzucił groźnie.

Ogarnięty wściekłością, jeszcze mocniej ścisnął nadgarstek Hensleigha, od którego zionęło dżinem, i zaprowadził go w głąb pokoju oświetlonego ogniem z kominka. Na stole stała butelka.

- To ty! - Twarz Hensleigha zszarzała; wybałuszył oczy.

- Widzę, że mnie pamiętasz. - James pchnął tak mocno, że podpity szuler bezwolnie poleciał do tyłu. - A przypomniałeś sobie wreszcie o swojej córce?

Z ust Lucy wyrwał się cichy jęk. Hensleigh przyjrzał się im obojgu nieufnie i powiedział:

- Cóż, muszę przyznać, że to miło, kiedy człowiek wraca do domu, na łono rodziny, i dowiaduje się, że jedyna córka zeszła na złą drogę.

- On mnie nie tknął! - zaprotestowała Lucy.

Hensleigh nie zwracał na nią uwagi.

- Ufam, Cambourne - kontynuował żalospną parodię troskliwego ojca - że jako dżentelmen - wyartykułował to

słowo z nutą powątpiewania – jesteś gotów wypłacić mi hojną rekompensatę.

– Rekompensatę? – powtórzył James. – A nie zadośćuczynienie, Hensleigh? Czy to znaczy, że chcesz ją raczej sprzedać, niż chronić?

Z goryczą pomyślał o Lucy słuchającej, jak ojciec targuje się o jej cnotę.

– Jakże to, przeklęty hipokryto! – zagrział Hensleigh – Chcesz zrujnować moją córeczkę, a nie...

– Gdyby tak rzeczywiście było, to moglibyśmy się pojedyńkować na pistolety – oznajmił James, widząc lęk w oczach Hensleigha, po czym podkreślił: – Prędzej mnie piekło pochłonie, niż zapłacę jej ojcu za stręczycielstwo!

Spojrzał na Lucy. Serce ścisnęło mu się na widok jej zaczerwienionych od płaczu oczu i pobladłej twarzy. Zwrócił się do niej:

– Wciąż możesz ze mną pojechać. Wydostać się z tego bagna i...

– Twierdzisz, że jej nie uwiodłeś? – Hensleigh wyraźnie mu nie wierzył.

– Nie – odezwała się Lucy, spoglądając na Jamesa.

Poczuł, że ogarnia go rozpacz.

– Pomyśl, jaki on jest! Powinien sprać mnie na kwaśne jabłko, a nie naciągać na rekompensatę!

– Miałem, oczywiście, na myśli – wtrącił się Hensleigh – że jedyną rekompensatą, jaką dżentelmen może zaoferować innemu dżentelmenowi w takiej...

– Naprawdę? – przerwał mu James, czując, że traci resztki

opanowania. Chętnie gołymi rękami udusiłby tego łajdaka. –
A gdybym zaoferował ci twój weksel za niewinność córki?

– Mój... weksel? – Hensleighowi zadrżał głos; oblizał wargi.

– Oddałbyś go za...? – Urwał i zerknął ukradkiem na Lucy.

– A może powinienem odsprzedać go komuś innemu? –
zapytał James – Na przykład Kilby’emu, jak to zrobiłeś
z wekslami innych?

– Nie! – Hensleigh pobladł. Spojrzał na córkę. – Moja droga
– odezwał się do niej przymilnym tonem, który przyprawił
Jamesa o mdłości – widzę jasno, że lubisz obecnego tu
Cambourne’a. Przemilczymy twoją nieodpowiedzialność
w oddawaniu mu... no, mniejsza o to. Nawet jeśli się
pokłóciliście, to im mniej słów padnie, tym szybciej się
pogodzicie. Uważam, że będzie lepiej, jak z nim pójdziesz.

– Lepiej niż co? – rzuciła ostro Lucy. – Niż sprzedawać się na
ulicy?

Hensleigh zachnął się, a ona zwróciła się do Jamesa:

– Czy powinno mi pochwlebiać, że tak wysoko mnie cenisz?
Albo raczej moje usługi?

Te słowa ubodły go do żywego.

– Lucy, chodź ze mną. Przecież widzisz, jaki on jest.

– Nigdy co do niego się nie łudziłam. Natomiast okazałam
się na tyle naiwna, by mieć złudzenia wobec ciebie. Co można
kupić za tysiąc funtów, milordzie, i na jak długo?

– Milordzie?! – wykrzyknął Hensleigh.

James udał, że go nie słyszy. Pytanie Lucy ugodziło go
w samo serce, podobnie jak łzy spływające po jej policzkach.

– Za tysiąc funtów – powtórzył nieswoim szorstkim głosem –

nic, co ma prawdziwą wartość. – Chciał ją przekonać, że nie zamierza jej przymuszać. Wyciągnął z kieszeni weksel i wręczył go jej ojcu.

– Co takiego? Ale... – Hensleigh osłupiał i skierował wzrok na Lucy. – Chyba nie chcesz... Posłuchaj, córeczko... – Zamilkł, widząc, że James zrobił krok w jego stronę.

– To, czy Lucy pójdzie ze mną teraz, czy później, to wyłącznie jej decyzja – oznajmił lodowatym tonem. – Ostrzegam, wystarczy cię podejrzenia, że podniosłeś na nią rękę, a twoje życie nie będzie warte złamanego szeląga.

Po raz ostatni spojrział na Lucy, zapamiętując smutne piękne oczy, słodkie usta, które mu oddała, hardy zarys podbródka.

– Odchodzisz? – zapytała z niedowierzaniem. – Nie będziesz mnie zmuszał, żebym z tobą poszła?

– Nie – odparł, choć z bólem serca. – Pojawię się za dzień lub dwa. Wyślij mi wiadomość, gdybyś w tym czasie zmieniła zdanie.

– Ale weksel...

– Nie ma z tobą nic wspólnego, kochanie. – Mimowolnie wymknęło mu się czułe słówko. – Dobranoc, Lucy.

– Dobranoc, milordzie.

– Hej! Poczekaj, Cam... milordzie!

Stukot ciężkich kroków towarzyszył Jamesowi na tonących w ciemności schodach. Hensleigh dogonił go na dole; ciężko dyszał. W dłoni wciąż ścisnął świeczkę. Groteskowe cienie pełzały po odrapanych ścianach.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, ale jeśli Lucy stanie się krzywda, to ci tego nie daruję – oznajmił James.

Hensleigh wysunął się przed niego, blokując dostęp do drzwi.

- Milordzie, ona jest trochę krnąbrna, ale na pewno potrafi pan przemówić jej do rozumu.

- Idź do diabła!

James przepchnął się, otworzył drzwi i ruszył w kierunku bramy.

- Chwileczkę! - Hensleigh podążył za nim. - Proszę posłuchać, milordzie! Będzie lepiej, jeżeli pan ją teraz zabierze. Poza tym mam już Wechsel i...

James stanął, chwycił go za fular i uniósł, tak że ten stanął na palcach.

- Dałem ci ten Wechsel, bo nie chcę kłaść sobie rąk niczym, co pochodzi od ciebie, wliczając w to pieniądze.

Widząc, że Hensleigh spazmatycznie łapie oddech i upuszcza świeczkę, by złapać się za gardło, puścił go, po czym się odwrócił, by wreszcie opuścić tę okolicę.

- Nie chcesz jej? - wydyszał Hensleigh. - Wykorzystałeś ją, aby dotrzeć do mnie?

- Idź do diabła, i to już!

Drobna postać wychynęła z mroku zalegającego bramę i stanęła na drodze Jamesa.

- Nieźle pan namieszał, co? Po co przywiózł pan Lu z powrotem?

James wyjął prawą dłoń z kieszeni, w której nosił pistolet. Lewą nadal trzymał się za portfel.

- Fitch, co ty tu robisz?

- Szukam wejścia.

Jamesa nagle olśniło.

- Chciałeś się wślizgnąć do mieszkania Lucy.

- Tak, ale stary wrócił, wściekły jak cholera, że jej tam nie było. Pani Beattie wytłumaczyła mu, że wyjechała z eleganckim gościem.

James ruszył przed siebie; chłopak dotrzymywał mu kroku.

- Czyli będziesz spał w bramie.

- Przynajmniej nie zmoknę - stwierdził rzeczowym tonem Fitch.

Bez wątpienia był przyzwyczajony do takich warunków, uznał James. Po wyjściu z ciemnej i cuchnącej bramy mógł mu się lepiej przyjrzeć. Ileż on miał lat? Dziesięć? Dwanaście?

Powóz czekał kilka jardów dalej. W żółtawej poświacie latarni umorusana wychudzona twarz chłopca wyglądała wyjątkowo zadziornie.

- Myślałem, że pan się nią zaopiekuje.

Cóż, ja też tak sądziłem, powiedział sobie w duchu James.

- Jeśli chcesz, możesz pojechać ze mną do domu. - Nie miał pojęcia, czemu wystąpił z taką propozycją.

- Nie, dzięki, szefie. - Fitch cofnął się; twarz miał bez wyrazu. - To nie moja działka.

James zauważył, że chłopak wycofuje się ukradkiem.

- Nie zamierzam, do cholery... - Nie chciał tego wypowiedzieć na głos nawet przy tym dziecku, które pewnie w swoim krótkim życiu widziało więcej brudów tego świata, niż on mógł objąć rozumem. - Przy mnie nic ci nie grozi. Proponuję ci bezpieczne miejsce do spania i posiłek, a nie to, co przypuszczasz.

Fitch zatrzymał się, zachowując jednak dystans. Przypominał dzikie zwierzę gotowe do ucieczki na pierwszy sygnał zagrożenia.

- Dlaczego Lucy tak postąpiła? - spytał go James.

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Na początku myślałem, że jest niemądra, ale...

- Ale tak nie jest - dokończył za niego James.

- Jedziemy, milordzie. - Stangret rozejrzył się po podejrzanej okolicy.

- Tak, Digby, za chwilę. - James znów zwrócił się do Fitcha:

- To raczej ja jestem niemądry. Możesz dostać posiłek i łóżko do spania. Rano porozmawiamy o twojej przyszłości.

- O przyszłości?

- Lucy chciała cię wziąć ze sobą. Zapytała mnie, czybym się na to zgodził i czy mógłbym ci pomóc.

- Dać pracę?

- Tak, o ile byś jej chciał. Albo posłać do szkoły.

- Do szkoły? Mnie? - Fitch zrobił zdumioną minę.

- Wydaje mi się, że ona wolałaby, żebyś został uczniem.

- Rozumiem, ale przecież nie ma jej z panem.

- To prawda, nie unieważnia to jednak mojej obietnicy.

- Myśli pan, że dzięki temu Lu zmieni zdanie?

- Nie. Choć może... Nie wiem, Fitch. Poza tym, jak już wspomniałem, chętnie spełnię jej życzenie. - Lucy poprosiła go tylko o jedno, o nowe życie dla Fitcha. - To jak? Pojedziesz ze mną?

Po namyśle chłopak skinął głową.

- Chyba tak. Przynajmniej na tę noc. Nie wsiądę do środka,

o ile nie zrobi to panu różnicy.

James zmarszczył brwi.

- Na miłość boską! Nie zamierzam... - zaczął, ale Fitch już go nie słuchał.

- Kto by pomyślał, że pojedę jednym z tych eleganckich powozów - powiedział.

James podszedł z nim do powozu.

- Digby, to jest Fitch. Znajdzie się dla niego miejsce na górze?

Stangret popatrzył na nich z kozła.

- Słucham, milordzie?

- Pilnuj swoich kieszeni. Nasz młody przyjaciel to kieszonkowiec. Będziemy musieli coś z tym zrobić.

Stangretowi omal oczy nie wyszły z orbit

- Słucham, milordzie?

- Czy on nic innego nie umie mówić? - zdziwił się Fitch.

James szturchnął go lekko w ramię.

- Masz się odzywać z szacunkiem. Tylko próbuj coś ukraść Digby'emu, albo Rogerowi - tu zwrócił wzrok na lokaja stojącego przy drzwiach powozu - to nie będziesz mógł siedzieć przez tydzień.

Krzywiąc się, Fitch zerknął na Digby'ego i urażonego Rogera.

- To pańscy ludzie?

- W pewnym sensie.

- Dobra, swoich nie okradam. Myślę, że mogę nawet ich chronić. Poza tym Lu by się to nie podobało.

Oto klucz do wychowania chłopaka, pomyślał James.

Przynajmniej będzie usiłował nie robić tego, czego nie zaakceptowałyby Lucy.

- Masz rację, nie byłaby zadowolona. Wskakuj na górę!

Chciał mu pomóc, ale Fitch wdrapał się na ławkę obok stangreta ze zwinnością małpy. James zaczął się zastanawiać, do ilu okien na piętrach wślizgiwał się jego protegowany. Zająwszy miejsce przy Digbym, Fitch zasalutował.

- Jestem Fitch, szefie. Miło mi pana poznać.

Stangret rzucił na niego kątem oka.

- Dla ciebie jestem panem Digby. A jeśli zwędzisz mi zegarek, pani Digby prześwieci cię miotłą.

- Zapamiętaj sobie tę przestrożę, Fitch. - James się uśmiechnął. - Pani Digby była moją nianią. Jest autorytetem, z którym trzeba się liczyć, bez względu na to, czy ma przy sobie miotłę, czy nie. - Mrugnął do stangreta. - Znajdzie się u nas wygodny kąć na jedną noc dla tego młodzieńca?

Digby z rezygnacją pokiwał głową.

- Tak jest, milordzie. A co potem?

- Pomyślimy.

James wskoczył do powozu i rozsiadł się wygodnie na poduszkach, po czym wrócił myślami do fatalnych w skutkach wydarzeń tego wieczoru. Uznał, że tylko do siebie mógł mieć o to pretensje. Od początku do końca zachowywał się wobec Lucy nie w porządku. Nie ma znaczenia, że chciał pomścić Nicka i wymierzyć sprawiedliwość zabójcom Geralda Moresby'ego. Przecież nie brała udziału w karcianych oszustwach czy aktach przemocy. Dobrze o tym wiedział, a mimo to ją wykorzystał.

W ciemnym wnętrzu powozu coś zalśniło na przeciwległym siedzeniu. Sięgnął po to i serce mu mocniej zabiło - torebeczka Lucy. Sądząc po jej wadze, nie była pusta. Gdy ją otwierał, ręce mu się trzęsły. Namacał palcami wachlarz, chusteczkę, a na dnie pierścioneń. Trzymając go w dłoni, poczuł, jak żal chwyta go za gardło.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Jesteś pewien? - Kilby podejrzliwie zmrużył oczy, co przyprawilo Jiga o skurcz żołądka. - Myślisz, że jeśli zabierzemy dziewczynę, to ten cały lord nam nie zagrozi?

- Tak bym powiedział - odparł Jig. - Zabrał gdzieś dziewczuchę na ten wieczór. Cała wystrojona jak ta lala i bagaż w skrzyni. A jak się do siebie migdalili! Pokręciłem się trochę, patrząc, czy Hensleigh się nie pojawił, i wrócił! Niech skonam, jeśli jego lordowska mość nie odwiózł dziewczyny. Odwiózł ją, prawda, Wat?

- Tak - potwierdził Wat. - Niedługo po tym, jak poszedłem pod wiadomy adres za Hensleighem.

- To ciekawe.

- Właśnie - ciągnął Jig. - Wślizgnąłem się frontowymi drzwiami. Hensleigh oskarżał lorda o uwiedzenie dziewczyny, a ja przysięgam, że on jej nie tknął i nie chciał ze sobą zabrać.

- Czyli odmówił kupna dziewczyny? - zapytał Kilby.

- Tak.

- Dobra. - Kilby podniósł się z krzesła. - Zabierzcie ją przy pierwszej nadarzającej się okazji i ukryjcie bezpiecznie u Maud.

- Tak jest, szefie. - Wat skinął głową.

Kilby przeszył obu wzrokiem.

- Przyjrzałem się dziewczynie. Prima sort. Wyznamy za

nią wysoką cenę, zwłaszcza jeśli nie okaże się popsuta. Towar ma być dostarczony bez jakiegokolwiek skazy. Maud już o niej wie i przebada, jak tylko ją dostanie.

- Tak jest, szefie.

- Tak jest, panie Kilby.

Wyszli z pokoju, wyraźnie niezadowoleni.

- To niesprawiedliwe. Mamy wziąć na siebie całe ryzyko, a nawet nie skosztujemy dziwki - poskarżył się Wat. - Kto powiedział, że obaj nie kłamią, a lord mógł ją zaliczyć w powozie. Kto będzie wiedział, że się zabawiliśmy?

Jig wzruszył ramionami.

- To twoje gardło przyjacielu, jak ci je poderzną.

- Za odrobinę zabawy! - zachnął się Wat.

Jig kiwnął głową.

- Tak. Skoro to zabawa, chętnie założę się z chłopakami, co ci Kilby utnie, zanim cię zabije.

Następnego ranka James posłał po Fitcha, jak tylko wzmocnił się solidną dawką wyśmienitej kawy. Digby zapewnił go, że „chłopcu”, jak się wyraził, będzie wygodnie w pomieszczeniach gospodarczych. Wiedział, że stangretowi może zaufać. To on wsadził go na pierwszego kucyka, a potem przełożył przez kolano i sprął, gdy zajeździł kolejnego kucyka na parkurze, a także opatrzył wiele odniesionych w trakcie nauki ran.

Kamerdyner Penfold przyprowadził Fitcha do biblioteki. Trudno było w nim rozpoznać dawnego obdartusa. Był wymyty i przyodziany w czyjeś za duże bryczesy i koszulę. Miał przy tym nietęgą minę.

- Oto chłopiec, milordzie.

Fitch spojrział z wyrzutem na kamerdynera.

- Chyba jakoś się nazywam, prawda?

James ledwie zapanował nad śmiechem.

- Dziękuję, Penfold. Czy jest może dla panicza Fitcha ciasto lub owoce?

Wyraz twarzy kamerdynera zdawał się wieszczyć koniec świata.

- Oczywiście, milordzie. - Z rezygnacją spojrział na chłopaka. - Czy podać także mleko?

- Mleko? - obruszył się Fitch - Może być piwo albo dżin.

- Mleko - stwierdził stanowczym tonem Penfold. - Więcej kawy, milordzie?

- Zdecydowanie tak i nie zamykaj drzwi. Jeżeli panicz Fitch będzie wzywał pomocy, masz mnie odgonić widłami.

- Jak to, milordzie?

- To rozkaz.

- Oczywiście, milordzie.

Penfold oddalił się, zostawiając drzwi otwarte na oścież. James wskazał na krzesło.

- Siadaj.

Fitch spoglądał na bogato tapicerowane krzesło jak na narzędzie tortur.

- Chyba postoję, szefie, jeśli to możliwe.

James rozumiał, że chłopiec może się czuć nieswojo. Co prawda, starsza siostra uważała, że biblioteka jest tak zaniedbana, że aż wstyd, lecz pomijając zaniedbanie, było to miejsce, w którym przyjmował rodzinę i najbliższych

przyjaciół. Rozumiał, że w oczach Fitcha musi to być pałac królewski.

Chłopiec wskazał na marmurowe popiersia antycznych poetów, filozofów i dramaturgów, wieńczące półki z książkami.

- To pańska rodzina?

James się uśmiechnął.

- Nie, to cała mądrość minionych wieków. Mój pradziad sprowadził je z kontynentu. - Wstał, podszedł do niskiego stolika i wziął stojące przy nim proste drewniane krzesło. - Spróbuj na tym. - Postawił je przy kominku.

Fitch usiadł tak ostrożnie, jakby krzesło mogło go ugryźć.

- Jak chodzi o mnie, to nie trzeba zostawiać drzwi otwartych.

James usiadł ponownie na swoim miejscu.

- Skąd ta myśl?

- Pogadałem z pana stajennymi oraz z pucybutem. Wszyscy powiedzieli, że jest pan w porządku, a w najgorszym razie daje pan pensa za dogłądanie koni.

James chętnie napiłby się jeszcze kawy, lecz nie przerwał wywodu, aby wezwać służącego.

- Pan Digby twierdzi, że mógłby mi pan dać zajęcie w stajni. Pozwolił mi nawet pomagać przy koniach przed śniadaniem.

James pokiwał głową.

- Czy właśnie tym chciałbyś się zająć?

Nie tego pragnęła Lucy dla Fitcha. Wolałaby wysłać go do szkoły, nauczyć handlu, a może rzemiosła.

- Nie wiem. Pan Digby nie wpuścił mnie do konia, bo mówił, że gryzie. W stajni nie byłoby źle.

- A co ze szkołą?

Fitch poruszył się na piekielnie niewygodnym krześle.

- Nie umiem czytać ani pisać, po co mi chodzić do szkoły?

- Właśnie po to, żeby się nauczyć pisać i czytać.

- Tak mówi Lu, ale nie wiem, dlaczego miałby mnie pan tam wysłać.

- Prosiła mnie o to.

- Zastanawiałem się nad tym i uważam, że pan to robi, aby zmienić zdanie. Dlatego dzięki, ale nie. - Fitch zaczął się zsuwać z krzesła.

- Mówiłem ci wczoraj, że to nieistotne - przypomniał mu James. - Zostań przynajmniej, żeby zjeść ciasto.

Fitch cofnął się z powrotem na krzesło.

- No dobrze. - Skrzyżował ręce na piersi.

James zastanawiał się, jak przekonać do siebie nieufnego ulicznika. Zamiast biżuterii, powozu i domu w najmodniejszej dzielnicy Londynu, czyli tego, czego przyszła kochanka miała prawo się domagać, Lucy poprosiła go o nowe życie dla swojego małego przyjaciela. To bardzo szlachetnie. Miał dług wobec Lucy, ponieważ wykorzystał ją, by dotrzeć do jej ojca, niemal doprowadził do eksmisji z mieszkania i pośrednio odpowiadał za lanie, jakie spuścił jej sklepikarz.

- To nieistotne - powtórzył. - Poprosiła mnie o to, a ja się zgodziłem. Nie ma to związku z niczym innym, daję ci słowo.

Fitch patrzył na niego przez długą chwilę, jakby go oceniał.

- Czy to coś w rodzaju dobijania targu? - zapytał. - Co będzie pan z tego miał?

- Nic, na Boga! Lucy mnie o to poprosiła - powtórzył po raz

kolejny.

Zapadło milczenie. W końcu Fitch splunął na rękę i wyciągnął ją do Jamesa.

- W takim razie zgoda.

Jeśli wejdiesz między wrony... James splunął w swoją dłoń i w tym momencie w progu stanął kamerdyner. Porcelana, którą niósł na tacy, zabrzęczała niepokojąco. Nie zwracając na to uwagi, James i Fitch dobili targu.

- W samą porę, Penfold - powiedział James. - Dziękuję.

Starął się sprawiać wrażenie, że takie transakcje to dla niego codzienny chleb. Na Boga, jakże potrzebował kawy! Penfold postawił tacę na stole, a Fitch z wyciągniętą szyją lustrował jej zawartość.

- Ojej, to pan jeszcze nie jadł śniadania?

- Jadłem. To dla ciebie. - James ujął za uszko filiżankę napełnioną aromatyczną kawą.

- Och. - Fitch szeroko otworzył oczy. Sięgnął po ciasto, ale jego dłoń zamarła nad dużym kawałkiem wypieku. Zakłopotany spojrzał na Penfolda. - Dzięki. To miło z twojej strony.

Kamerdyner uniósł brwi i wydał z siebie dziwny dźwięk.

- Cała przyjemność po mojej stronie, paniczu Fitch. - Skłonił się przed Jamesem. - Czy to wszystko, milordzie?

- Na razie tak. Dziękuję, Penfold.

Kamerdyner wycofał się z pokoju, sztywno wyprostowany.

- Powiedziałem coś nie tak? - zapytał Fitch.

- Nieważne. - James z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Lu nauczyła mnie mówić „dziękuję”. - Fitch poczuł się dotknięty. - Ona ma świetne maniery.

- To prawda, i dobrze cię nauczyła - odparł James. - Poczęstuj się ciastem i nalej sobie mleka.

Fitch chwycił kawałek ciasta i wbił w niego zęby, przeżuwając z dużym zapałem. Patrzył przy tym z niepokojem, jak James nalewa mu mleka do szklanki. Przełknąwszy, sięgnął po nią i upił pierwszy łyk, potem drugi. Ze zdumieniem spojrzął na szklankę.

- Trochę inne niż to, do czego przywykłeś? - zapytał James.

- Wolę piwo o poranku - Fitch upił kolejny łyk - ale to nie jest złe. - Spałaszował do końca kawałek ciasta i popił go mlekiem. - Dużo tu tego ciasta... - Spojrzął pytająco na Jamesa.

- Częstuj się.

- Mogę wziąć kawałek dla Lu?

Filizanka wylądowała z brzękiem na spodku.

- Chcesz się z nią zobaczyć?

Chłopak łyknął mleka i otarł biały wąsik rękawem koszuli.

- Tak. Myślę, że ona chciałaby wiedzieć.

Wzrok Jamesa powędrował ku jedwabnej torebeczce leżącej na biurku. Wciąż zawierała ametystowy pierścionek, wachlarz i chusteczkę obszytą koronką. Poczł ucisk w piersi.

- Tak, myślę, że tego by chciała. Jest jeszcze jedna rzecz.

- Co takiego? - spytał z pełnymi ustami Fitch.

- Przekonaj ją, że nie robię tego, aby zmienić zdanie.

Fitch spojrzął na niego i pokiwał głową.

- W porządku. Mam przekazać jakąś wiadomość?

- Wiadomość? - James się stropił. - Powiedz jej tylko, że zatrzymam dla niej pierścionek. - Na zawsze, pomyślał.

Fitch znowu wepchał sobie do ust wielki kawałek ciasta.

- Ale dobre. Nie chce pan? - Wskazał na talerz.

- Czemu nie? - James wziął plaster i z fascynacją patrzył, jak Fitch pożera trzecią porcję. - Nie spiesz się. Mamy mnóstwo ciasta.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Lucy zerknęła na adres widniejący na kartce, którą Elizabeth wsunęła jej do ręki ostatniego wieczoru. Biorąc głęboki oddech, zdjęła z haka starą pelerynę i narzuciła ją na ramiona. Poprosi Elizabeth, by przysłała służącego po resztę, o ile ojciec nie sprzeda wszystkiego, ledwie zniknie za drzwiami.

Odsunęła kotarę oddzielającą jej kąt. Ojciec natychmiast spojrzał na nią ze swojego krzesła przy kominku.

- Dokąd idziesz?

Lucy ledwie rzuciła na niego okiem.

- Wychodzę. Przyślę kogoś po moje rzeczy.

W nocy miała czas na przemyślenia. Otchłań czasu, by patrzeć w ciemność i rozważać przyszłość posępną i przerażającą, w którąkolwiek by spojrzeć stronę. Koniec końców, postanowiła jednak opuścić ojca.

- Lepiej nie. Jeśli chcesz się udać do Cambourne'a, to ja cię zawiozę.

Otworzyła usta, aby powiedzieć, że nie wybiera się do Cambourne'a, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jeśli ojciec pomyśli, że idzie do Jamesa, to będzie mniejsze prawdopodobieństwo, że jej rzeczy wylądują w sklepie pana Jessupa. Poza tym nie chciała, by wiedział, gdzie się zatrzyma.

- Mam cię zabrać, żebyś się targował? Nic z tego!

- Jestem twoim ojcem - powiedział z urażoną miną.

- Próbowalesz mnie sprzedać!

- Sama siebie sprzedajesz! - wykrzyknął z furią. - Jaką masz pewność, że on poprosi cię o rękę, ty głupia dziewucho!

Lucy poczuła, jak krew uderza jej do głowy. W końcu James nic nie oferował oprócz...

- Zaproponował mi, żebym została jego kochanką, a ja się zgodziłam. To bezpieczniejsze niż bycie twoją córką.

- Lucy!

Trzasnęła drzwiami i zbiegła po schodach. Nie zamierzała znowu płakać. Minionej nocy wypłakała dosyć łez. Co sobie wyobrażała, decydując się zostać kochanką mężczyzny, w którym zdążyła się zakochać? Poczucie wolności i bezpieczeństwa. Nadal tego pragnęła, ale wciąż pozostawała idiotką...

- Spróbuj tylko krzyczeć, ty dziwko! - Coś ostrego ukłuło ją nagle w bok. - Bądź cicho, a nie stanie ci się krzywda. Nie chciałabyś, żeby coś przytrafiło się twojemu ojcu albo temu gnojkwowi Fitchowi, prawda?

- Proszę...

- Wiem, że umiesz pięknie prosić, panienko. - Dźgnięcia nożem i cuchnący oddech mężczyzny napawały Lucy przerażeniem i pozbawiały tchu. - U mnie nic nie wskórasz. Widzisz ten powóz?

Kiwnęła głową; w ustach miała gorzki smak strachu. Zdezelowany powóz zwalniał przy krawężniku.

- Wsiądziesz do środka bez żadnych głupich sztuczek. Nikt cię nie skrzywdzi. Jeden kumpel chce tylko przekazać

wiadomość twojemu ojcu.

Spięła się, gotowa krzyżeć, walczyć. Znów poczuła szturchnięcie nożem.

- Tylko pomyśl o swoim ojcu, panienko, i o Fitchu.

Przerażona, uczyniła krok do przodu. Powóz był już tuż obok niej, otwierały się drzwi. Mogła zaryzykować w swoim imieniu, ale Fitch... - Poczowała nacisk ostrza i wsiadła do środka.

Porywacz wsunął się za nią i wylądowała ściśnięta między dwoma zbirami. Gęsty zgniły odór niemytych męskich cielsk i cuchnące ubrania sprawiły, że z trudem łapała oddech. Ten, który siedział wcześniej w powozie, uderzył pięścią w dach i pojazd ruszył.

- Szybko poszło!

Ogarnęła ją wściekłość przemieszana z przerażeniem.

- Gdzie jest Fitch?! - wykrzyknęła. - Co z nim zrobiliście?

Jeden z porywaczy ryknął śmiechem.

- Fitch? - Spojrzał na kompana. - Tak łatwo z nią poszło, bo martwi się o tego gnojka? - Uśmiechnął się obleśnie do Lucy, a ją zemdliło. - Nie widzieliśmy Fitcha. Powiadają, że kradnie portfele, bo wie, co dla niego dobre.

Nabrała powietrza w płuca i zaatakowała go paznokciami. Mężczyzna poleciał do tyłu, klnąc, gdy go drapała. Nagle silny uchwyt od tyłu przerodził się w uścisk na gardle. Odpłynęła w wirującą ciemność, gdy coś obrzydliwie słodkiego zakryło jej usta i nos.

Świat oszalał. Wirował wokół Lucy, przyprawiając ją o mdłości. Nie mogła się poruszyć, nawet nie zdołała otworzyć

oczu. Gdzieś w pobliżu ktoś jęczał. Szorstkie kobiece głosy rozbrzmiewały w kołującej ciemności.

- Zdejmij jej ubrania. Nie będzie ich potrzebować.

Rozległ się wulgarny śmiech. Zręczne dłonie rozbierały ją, inne przytrzymały, by się nie ruszała.

- O, ma błyskotkę, niech mnie!

Na wpół przytomna, Lucy próbowała stawiać opór, gdy zrywano z niej wstążkę, na której nosiła medalionik po tym, gdy łańcuszek zastawiła w lombardzie.

- Stara wiedźma już przelicza monety. Po lokalach dla panów rozeszła się wiadomość, że wystawi tej nocy prawdziwą dziewicę.

- Dziewicę? Jeśli to prawda, długo nią nie pobędzie. Sprawdzili, czy to dobry towar?

- Kilby i Maud robią to od razu. Powiadają, że Kilby złapał ją na zlecenie. Daj chustę. Jeszcze jeden wdech i znosimy ją do piwnicy do czasu, aż wszystko będzie gotowe.

Znowu przyłożono jej tę duszną chustę do ust i nosa, a świat się ponownie rozplątał.

Chłopak nie wrócił. James szturchnął polano w palenisku, próbując zignorować uczucie zawodu. Zegar na kominku wybił szóstą. Tego wieczoru został zaproszony na kolację i co najmniej dwa bale. Osobisty pokojowy Marsham przypuszczalnie wykladał już jego strój wieczorowy.

W głębi domu zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych, a po chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi, co go zirytowało. Czego w komunikacie „nie ma mnie dla nikogo” Penfold nie zrozumiał?

Drzwi otworzyły się i kamerdyner oznajmił:

- Lord Huntercombe, milordzie.

James westchnął. Oto dlaczego tak hojnie opłacał Penfolda: wiedział, kiedy zignorować jego polecenia, a w jakich okolicznościach ich przestrzegać.

Huntercombe wyglądał na zmęczonego. Głębokie cienie wokół oczu i pogłębione bruzdy koło ust zdradzały, że miał za sobą równie ciężką noc jak James. Niemniej udało mu się zdobyć na uśmiech.

- Cambourne, miło cię widzieć. Czy są jakieś wieści?

James wskazał mu fotel.

- Brandy? - Zrobił gest w kierunku karafki i kieliszków stojących na stoliku.

Hunt usiadł w fotelu ustawionym przy kominku.

- Chętnie, dziękuję.

James napełnił dwa kieliszki. Pierwszy podał Huntowi, a z drugiego sam zaczął popijać, gdy zajął miejsce w drugim fotelu. Przez dłuższą chwilę mężczyźni raczyli się trunkiem w milczeniu.

- Dobra brandy. - Hunt obracał kieliszek z bursztynowym płynem.

- Mój ojciec ją destylował - wyjaśnił James.

Zastanawiał się, jak powiedzieć, że chociaż wie, kto odpowiada za śmierć Geralda, nie może zrobić ani kroku dalej. Co za przekłeta ironia losu, że Lucy była ostatnim fragmentem tej układanki!

- Są jakieś postępy?

James odstawił kieliszek.

- W pewnym sensie.

Huntercombe był na tyle uprzejmy, że wysłuchał go w milczeniu do końca. Co na swój sposób tylko pogarszało sytuację.

- Jest niewinna? - odezwał się w końcu - Powiadasz, że nie posuniesz się dalej z powodu córki tego Hensleigha?

- Wybacz. Nie będąc w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa...

- Uważasz, że jest niewinna? - Niedowierzenie pobrzmiwało wyraźnie w głosie Huntercombe'a, który wychylił się do przodu. - Czy to ta dziewczynka, z którą pokazałeś się w Vauxhall wczorajszego wieczoru? Ta, która spożywała kolację z tobą, Foksem i Elizabeth Armistead? Według ciebie nie miała nic wspólnego z oszustwami własnego ojca?

- Jak, do cholery...? - zaczął James, po czym sam sobie odpowiedział: - Pewnie wszystkie londyńskie kluby o tym huczą.

- Tak, to główny temat rozmów. Ograła cię, Cambourne! Nie rozumiem, co stoi na przeszkodzie. - Pokręcił głową. - Jeżeli została twoją kochanką, to nic jej nie grozi, a ty powinieneś się otrząsnąć z tego zadurzenia.

Zabrzmiało to jak bezlitosna kalkulacja. Początkowo właśnie tak to sobie zaplanował. Wszystko się skomplikowało, bo się w niej... ze wstydem odgonił tę myśl. Tak czy inaczej, pogmatwał sprawy i...

- Nie zgodziła się zostać moją kochanką.

Huntercombe ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Nie zaoferowałeś wystarczającej rekompensaty za...? -
Nie dokończył.

James zacisnął dłonie w pięści, lecz zdołał się opanować.

Huntercombe spojrział na niego z troską i pociągnął łyk brandy.

- Po co było przedstawiać ją Elizabeth? Znacznie przewyższa przeciętne damy lekkich obyczajów.

James skinął głową.

- Prosiła, bym przekazał ci wyrazy współczucia z powodu Geralda.

- To do niej podobne. Przekaż jej... albo nie, sam jej powiem.
A co Elizabeth myśli o tej dziewczynie?

Nagle rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. James zmarszczył czoło.

- Spodziewasz się kogoś? - Huntercombe uniósł się lekko z fotela - Pójdę już, jeżeli...

- Nikogo nie oczekuję. - James wskazał gestem, by gość pozostał w fotelu. - Penfold się tym zajmie. Dokończ brandy.

Dzwonek rozbrzmiał istną kanonadą dźwięków.

- Ktoś się niecierpliwi - zauważył Huntercombe.

W holu dały się słyszeć szybkie kroki na marmurowej posadzce, a potem zagrzemiał oburzony głos Penfolda:

- Posłuchaj no, smarkaczu! Nie wolno tak traktować jego lordowskiej mości...

- Do diabła z tym! Muszę go pilnie widzieć!

James zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi.

- Jego lordowska mość jest zajęty! Pójdiesz ze mną i...

James otworzył drzwi biblioteki.

- Tutaj jestem, Fitch.

Chłopiec uwolnił się z uścisku Penfolda i ruszył biegiem przez śliski hol. Pot spływał mu po rozpalonej twarzy; wilgotna koszula kleiła się do chudej klatki piersiowej.

- Szefie! Chodzi o Lu! - wydyszał. - Porwali ją ludzie Kilby'ego. Mówi się, że on chce ją sprzedać za długi jej ojca.

James zamarł.

- Kiedy ją porwali? - Jego głos zdawał się dobiegać z oddali, jakby do niego nie należał.

- Koło drugiej. Słyszałem dzwony.

- Koło drugiej? - Była już prawie siódma. James chwycił chłopca za ramię - Dopiero teraz mi to mówisz?

Fitch wzdrygnął się i wyprostował.

- Musiałem dowiedzieć się, gdzie ona jest, prawda? Gdzie ją sprzedają. Dużo burdeli sprzedaje dziewczyny dla Kilby'ego. - Umorusanymi palcami objął nadgarstek Jamesa. - Szefie, ja wiem, gdzie ona jest. Musimy się spieszyć. Kilby już rozpuścił wieści.

- Nie zdążymy! - Świadomość ta raniła Jamesa niczym brzytwa.

Fitch pokręcił głową.

- Możemy zdążyć. On zażąda najwyższej sumy. Aukcja odbędzie się późną porą. Kupcy muszą przecież skończyć eleganckie kolacje, prawda? To tacy jak pan.

Mózg Jamesa zaczął pracować na zdwojonych obrotach. Kilby nigdy nie dostanie oczekiwanej ceny od mętów i pijaków. Wystawia zatem ofertę adresowaną do rozpustnej części socjety, mężczyzn z prawdziwymi pieniędzmi, gotowych

zapłacić za przerażoną dziewczynę i mających za nic jej sprzeciw.

- Cambourne? - Huntercombe podszedł do drzwi i wpatrywał się w Fitcha. - Co to ma być, do diabła?

James zauważył, że chłopak gniewnie wpatruje się w Huntercombe'a. Kiedyś James odpowiedziałby jednoznacznie: uliczny rzezimieszek, ladaco. Teraz...

- To mój człowiek.

Fitch spojrzał na niego ze zdumieniem i ponaglił:

- No to jak? Jedziemy?

James skinął głową.

- Tak. Penfold, każ podstawić powóz. Digby na budzie, z człowiekiem obok. Dwóch ludzi z tyłu. Wszyscy uzbrojeni. Naładowane przenośne pistolety w wewnętrznych kaburach.

- Na Boga, James! - wybuchnął Huntercombe. - Wyprawiasz się nie wiadomo gdzie na jedno słowo takiego...

- Nie wiem nic o Bogu, który chyba niewiele ma wspólnego z Kilbym, ale wiem, gdzie to jest - odezwał się Fitch - To nie slumsy, dokąd panowie z pieniędzmi raczej nie chodzą.

Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie i do hallu wszedł Nick.

- Dlaczego drzwi są...? - Spojrzał na Fitcha. - Czyżbyś ujął włamywacza, James?

Fitch wymownie popatrzył w stronę gościa.

- Czy żaden z pana znajomych nie zna się na manierach?

- Mój kuzyn Nicholas. Nicku, to jest Fitch. Przyszedł do mnie z pewną wiadomością. Będę cię musiał przeprosić.

- Nic nie szkodzi. - Nick odchrząknął i dodał: - Chciałem cię

tylko przeprosić, jeśli wczoraj popsułem ci schadzke z tą dziewczką od Hensleigha i...

Fitch napiął się jak struna i zacisnął dłonie w pięści, i zawołał:

- Ona nie jest żadną dziewczką! A jeśli to przez ciebie nie poszła z szefem, to odpowiadasz za to, że jest teraz w kłopotach!

Nick cofnął się o krok; patrzył osłupiały.

- Co takiego? James, o czym on mówi, u diabła?

- Remington - zwrócił się do niego Huntercombe - spróbuj przemówić Cambourne'owi do rozumu. Ten... gagatek... chce zabrać go do jakiejś meliny po dziewczynę. To najpewniej pułapka!

Fitch spojrzał na Jamesa.

- Szefie?

- To nie pułapka - oznajmił James. - Nie mam czasu tłumaczyć wam, dlaczego jestem o tym przekonany. Sami pomyślcie: po co zastawiać pułapkę, mając pewność, że przyjadę ciężko uzbrojony? Są na to lepsze sposoby. - Ruszaj! - rzucił do Penfolda, który kręcił się w kółko. - Nick, chodź tu! - Położył mu rękę na ramieniu. - Biegnij do mojego pokoju i powiedz Marshamowi, że potrzebuję pistoletów pojedynkowych. Obu zestawów i wszystkiego, co jest niezbędne do ich naładowania.

Młodzieniec zmrużył oczy.

- Pistolety pojedynkowe?

- Tak, pośpiesz się!

Gdy Nick popędził na górę, James położył rękę na ramieniu

Huntercombe'a.

- Kilby sprawił, że śmiertelnie pobito twojego brata za niespłacone długi. Teraz zabrał Lucy do burdelu. Nawet jeśli to zasadzka, jestem gotów podjąć ryzyko.

Huntercombe zaklął i oznajmił:

- Racja! Jadę z wami!

Lucy nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, odkąd zostawili ją obolałą i omdlałą i zamknęli drzwi, do momentu, kiedy odzyskała świadomość. Przebywała w ciemności, była zziębnięta. Zdała sobie sprawę, że leży na kamiennym podłożu. Przypomniała sobie, co się wydarzyło. Dwóch mężczyzn... dusząca słodycz chusty... dwie kobiety ściągające z niej ubranie...

O Boże, proszę Cię, niech to będzie zły sen, modliła się w duchu.

Nieprzenikniona ciemność nie ustępowała. Resztką sił Lucy podniosła się na nogi i oparła o coś, co wydawało się kamienną ścianą. Nieopodal kapiała woda. Poczowała, że ściana jest zimna i wilgotna. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że ma na sobie tylko cienką koszulkę. Drżącą dłonią sięgnęła do szyi. Medalion z podobizną mamy zniknął. Może to był zwykły rabunek i zamknęli ją, by dać sobie czas na ucieczkę?

„Stara wiedźma już przelicza monety...” - wróciły do niej te słowa. Pojęła, że to nie rabunek. Oparta o ścianę, próbowała opanować dławiącą panikę, oddychać głęboko. Gdyby tylko mogła uciec i dotrzeć do Jamesa, on na pewno by jej pomógł. Nie miałoby dla niego znaczenia, że go odrzuciła i powiedziała, iż nie chce go więcej widzieć.

Nie potrzebowała wiele czasu, by po omacku odkryć, jak małe było jej więzienie, i odnaleźć jedyny mebel - krzesło. Znajdujące się w jednej ze ścian masywne drewniane drzwi były zamknięte na zasuwę, która nie chciała się podnieść. Ani drgnęły, gdy uderzała w nie pięścią.

Trwoga znów zaatakowała Lucy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Z powozu wysiedli na Millbank Street i podążyli w kierunku rzeki. Paradoksalnie latarnia niesiona przez Fitcha pogłębiała osaczającą ich ciemność, wzmagając poczucie zagrożenia, ale była niczym wobec strachu, który zadręczał Jamesa. Panicznie bał się o Lucy. Nick także uparł się wziąć udział w wyprawie. James wyraził zgodę, ale wysłał wiadomość na Bow Street i do Foksa, prosząc o policyjne wsparcie.

- To tam - szepnął Fitch, pokazując na sklep po drugiej stronie ulicy.

Szyld głosił, że to skład z używaną odzieżą. Solidna dwuskrzydłowa brama, dość duża, by mógł przez nią przejechać powóz, przylegała do budynku z lewej strony. Na wysokości twarzy dorosłego człowieka widniał kwadratowy otwór zamknięty na drzwiczki.

Nick spojrzał w tamtą stronę.

- Po co im brama dla powozów? - spytał.

- Masz chyba pusto w swojej makówce - zauważył obcesowo Fitch. - Tamtędy mogą bez świadków dostarczać towar, bo nie zawsze przyjeżdża z własnej woli. A niektórzy z waszych dopłacają, żeby tam wjechać. Miło i dyskretnie.

Nick słuchał go z malującym się na twarzy zdumieniem.

- Zapukam w drzwiczki - mówił dalej Fitch - i powiem portierowi, że przyjechaliście na specjalną aukcję. -

Następnie zwrócił się do Jamesa: - Będzie pan musiał posmarować, to wpuści nas wszystkich.

- Akurat! - Markiz Huntercombe był innego zdania.

Fitch spojrział na niego z politowaniem.

- Pieniądz może wszystko, a poza tym mnie tu znają.

- Zostaniesz na zewnątrz, Fitch - oświadczył stanowczo James. Za żadne skarby świata nie wprowadziłby go do środka.

- Dobrze, poczekam, choć byłem w burdelu, bo można się tam nieźle obłowić. Jak psy z Bond Street przyjadą z pańskim kompanem, wskażę im ten zakład. Niech pan koniecznie uwolni Lu.

James spojrział na Nicka i markiza, który stwierdził krótko:

- Jestem za.

- Szkoda czasu na gadanie - uznał Nick - Wchodzę z wami.

Gdyby jego rodzice o tym wiedzieli, miałbym się z pyszna, pomyślał James.

- Pistolety gotowe? - spytał.

- Tak. A twoje?

- Też. Strzelać tylko w ostateczności.

Mieli razem sześć pistoletów. James postanowił, że jeżeli się okaże, że Lucy doznała krzywdy, wpakuje wszystkie kule w łotrów, którzy są za to odpowiedzialni.

- Ruszamy.

Słyszając skrzypienie zasuw, Lucy, choć miała duszę na ramieniu, chwyciła krzesło i stanęła tak, by zasłoniło ją skrzydło otwieranych drzwi. Do wnętrza wdarło się słabe światło, obnażając brudną podłogę i wilgotne ściany.

- Gdzie, do cholery!?! - rozległ się głos nieznanego jej mężczyzny.

W tym momencie zamachnęła się krzesłem, trafiając go w głowę tak silnie, że krzesło się połamało, a on z jękiem osunął się na podłogę. Przeskoczyła nad nim i popędziła korytarzem, ściskając w ręce odłamaną nogę krzesła. Przebiegła kilka metrów i wtedy czyjeś potężne ramię objęło ją od tyłu w pasie i uniosło. Wyrwano jej też z dłoni nogę od krzesła. Zaczęła krzyczeć, kopiąc i drapiąc, ale napastnik trzymał ją mocno bez specjalnego wysiłku. Ten natomiast, którego dźgnęła w brzuch, podniósł się i zbliżał do nich z dzikim wyrazem twarzy.

- Trzymaj dziwkę, Jig! - wykrzyknął i pięścią wymierzył Lucy cios w brzuch.

Silny ból sprawił, że oczy przesłoniła jej biała mgła. Oszołomiona, z trudem łapiąc oddech, zwiotczała w objęciach trzymającego ją osiłka. Ten sam mężczyzna, który uderzył Lucy, pociągnął ją za włosy i podniósł jej głowę. Zamajaczyła jej pięść i pomyślała, że drugi cios będzie wymierzony w twarz.

- Nie! - Mężczyzna, który ją trzymał, odsunął się, tak że pięść chybiła celu. - Nie niszczyć towaru, bo jego cena spadnie. Jeżeli dostaniemy za nią mniej, niż wynoszą długi jej ojca, Kilby każe nam zwrócić różnicę.

- Uderzyła Case'a! - wykrzyknął mężczyzna, w którym rozpoznała jednego z porywaczy. - Mnie też mało nie wypruła flaków nogą od krzesła - dodał, jednak uwolnił jej włosy.

- Co tam Case. Nic mu nie będzie. Chodź, Wat, zaniemiemy

ją na górę.

Strach zaćmił umysł Lucy, gdy dwóch zbirów taszczyło ją broniącą się i wierzgającą przez korytarz na skąpo oświetloną klatkę schodową.

- Proszę, nie! - błagała. - Puśćcie mnie! Proszę!

Odpowiedział jej grubiański śmiech.

- Nie ma mowy, laluniu! - Wat złapał ją za pierś i mocno ścisnął. Patrzył na nią pożądliwie, coraz mocniej wciskając palce.

Krzyknęła z bólu, próbując się oswobodzić.

- Wszystkie się wyrywają. Wtedy dobrze je widać. Czeka na ciebie paru napalonych bogatych gości, gotowych podbijać stawkę. Szkoda, że nie możemy obstawiać z Jigiem, ale nie stać nas na jazdę z prawiczką. A może i dla nas coś zostanie, jak ci tam, na górze, z tobą skończą...

Desperacja dodawała Lucy siły, ale mężczyznom udało się wciągnąć ją po schodach do kolejnego korytarza i przez kotarę przesłaniającą otwarte drzwi. Oślepiło ją światło i zamknęła oczy. Uniosła powieki, gdy usłyszała gromki ryk.

Drżąca, umęczona, patrzyła z przerażeniem na licznych dżentelmenów zebranych w rzęsiście oświetlonej, udekorowanej karmazynową materią sali. Większość z nich piła alkohol i przyglądała się, jak ją wloką, wijącą się i wierzgającą, w stronę podwyższenia. Porywacze umieścili ją tam i zaraz obok Lucy stanęła przesadnie uróżowana kobieta ze szpicrutą w dłoni, ubrana w szkarłatną suknię, ledwie zakrywającą sutki.

- Panowie, oto ona! Gwarantowana dziewica! Chłopcy,

pozwólcie im ją obejrzeć.

Gdy dwaj porywacze zmusili Lucy do wykonania pełnego obrotu, na sali rozległy się gwizdy i entuzjastyczne okrzyki. Maud Atkinson, burdelmama, zwana Matką Atkinson, szpicrutą uniosła rąbek koszuli Lucy, wywołując jeszcze większą wrzawę. Lucy wierzgnęła, trafiając jednego z trzymających ją drabów. W odpowiedzi ten, który ją wcześniej uderzył, spoliczkował ją tak, że aż się zatoczyła.

- Pięćdziesiąt! - wrzasnął jeden z dżentelmenów, gdy ustawiono ją twarzą do tłumu.

Burdelmama zaśmiała się szyderczo.

- Za dziewicę? To jest towar najwyższej jakości, panowie.

Lucy wzdrygnęła się, gdy kobieta użyła końca szpicruty do podkreślenia krągłości jej piersi.

- Nietknięta. Jest na nią cena wywoławcza. Aukcję zaczynamy od pięćsetki.

Zapadła cisza, rozbudzając w Lucy nadzieję. Pięćset? Nikt przecież tyle nie zapłaci!

Znów rozległ się pomruk. Lucy modliła się w duchu: Boże, spraw, żeby to było dla nich za dużo.

Z sali odezwał się rozwlekły głos:

- Za tę cenę musi być nietknięta.

Zmroziło ją, gdy mężczyzna, który wypowiedział te słowa, podszedł do podium. Starszy od jej ojca, potężnie zbudowany. W fularze połyskiwała brylantowa szpilka. Wzrok miał zimny, bezlitosny.

Matka Atkinson pokiwała głową.

- Sama sprawdziłam. Pięćset i jest pana.

- Bardzo dobrze. Pięćset i zwrot połowy, jeżeli jednak nie okaże się dziewicą.

- W tej sytuacji musi się pan zgodzić na świadka. Nie może być tak, że popsuje pan towar, a potem będzie chciał zwrotu pieniędzy.

- Zgoda.

Mężczyzna jeszcze bardziej się zbliżył, a Lucy spięła się, gotowa do walki.

Atkinson podniosła rękę.

- Nie tak szybko, moi panowie! - Spojrzała na gromadę dżentelmenów. - Czy ktoś jeszcze obstawia?

- Pięćset pięćdziesiąt! - Trzech młodych mężczyzn z głębi sali ruszyło w kierunku podwyższenia.

Pierwszy licytujący zaklął i rzucił:

- Sześćset!

- Sześćset pięćdziesiąt! - przebił go drugi z młodych mężczyzn.

Burdelmama spojrzała z ukosa na trójkę mężczyzn.

- Kto licytuje?

Pierwszy z tria uśmiechnął się lubieżnie.

- Kumulujemy nasze zasoby. O tym, kto skorzysta, zdecyduje rzut kostką do gry.

Wokół zabrzmiały grubiańskie śmiechy i posypały się sprośne sugestie. Zdesperowana Lucy przyjrzała się rozochoconej publice. Zwierzęce chucie to jedyne, co dostrzegła na ich twarzach. Zagryzła wargi, próbując powstrzymać się od łez. Cokolwiek by się działo, nie będzie płakać przed tymi łajdakami z wyższych sfer, postanowiła.

Pierwszy licytator nie rezygnował.

- Siedemset!

- Siedemset pięćdziesiąt!

Cena rosła, wzmagał się harmider, pieniądze krążyły z ręki do ręki, bo obecni zaczęli się zakładać o ostateczny wynik.

- Tysiąc dwieście pięćdziesiąt! - rzucił pierwszy licytujący.

Trzej młodzieńcy szybko się naradzili.

- Tysiąc pięćset!

Starszy mężczyzna rozłożył ręce.

- Odpadam.

Lucy zamarła.

- Ktoś da więcej, panowie? - Ton burdelmamy zapowiadał koniec aukcji. - W porządku. Po raz pierwszy, po raz drugi...

James pędził korytarzem w kierunku czerwonych drzwi, a tuż za nim Nick i Huntercombe. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa portiera: „Drzwi w głębi. Aukcja już trwa. Łakomy kąsek, warto”. Wpadł na salę i jednym spojrzeniem ogarnął rozgrywającą się scenę.

- Jaka stawka?! - wykrzyknął James.

- Hola, hola! Jest nasza! - zaprotestował Fred Tavinger, wskazując na swoich kolegów, Blydona i Riggsa.

Zaciskając dłonie w pięści, James zrobił krok do przodu.

- Takiś pewny swego, Tavinger?

- Oferta została przyjęta - nie odpuszczał Riggs, chociaż Tavinger się cofnął.

- Młotek jeszcze nie opadł. - Matka Atkinson wymachiwała szpicrutą. - Chcesz ją, mój zawadiako? Oni - wskazała na Riggsa, który głośno protestował, i pozostałą dwójkę - dają

tysiąc pięćset. A ty ile chcesz zapłacić?

- Cholera! - Nicka zamurowało.

Burdelmama uśmiechnęła się ironicznie.

- Za szybkie tempo? Śliczna dziewczuszka. Pieczęć nienaruszona.

James nie odrywał wzroku od bladej jak kreda twarzy Lucy.

- Dwa tysiące!

- James, to królewski okup - powiedział Nick, gdy w tle podniosła się wrzawa. - Pistolety...

- Jeszcze nie - rzucił półgłosem markiz.

James spojrzał na kuzyna.

- Chcę ją tylko stąd wydostać, to wszystko. Użyjemy pistoletów tylko wtedy, gdy okaże się to konieczne.

Nick skinął głową.

- Dobrze - ściszył głos. - Pobili mnie ci dwaj, którzy ją trzymają.

James przyjrzał się bandytom, chcąc ich zapamiętać. Fitch utrzymywał, że to Wat i Jig. Najpierw należało uwolnić Lucy, a potem nie znajdzie się dziura dość głęboka i ciemna, by ci dwaj mogli się przed nim ukryć. Jeżeli Kilby zlecił im porwanie Lucy i pobicie Nicka, to istniało duże prawdopodobieństwo, że to oni zabili Geralda, brata markiza. Dlatego przestrzegł Huntercombe'a:

- Nie rób niczego pochopnie.

- Nie martw się - odparł markiz. - Zemsta jest daniem, które najlepiej smakuje podane na zimno.

Tavering i jego kamraci naradzali się w pośpiechu.

- Odpadamy - oznajmił niechętnie po chwili Tavering.

Matka Atkinson rozejrzała się po sali.

- Nie ma więcej chętnych? Po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci... Sprzedana! - Szpicruta z hukiem uderzyła w stół.

James spojrział na Nicka i Hunta.

- Kryjcie mnie!

Ruszył przed siebie, odpychając na bok mężczyzn i kilka prostytutek.

Nagle drogę zastąpił mu Montgomery.

- Nie wiedziałem, że w to się bawisz, Cambourne. - Wskazał głową na Lucy. - Niezła sztuka. Tavinger z kamratami przelicytowali mnie, ale jak skończysz...

James walnął go pięścią tak, że ten runął na ziemię z rozkwaszonym nosem.

- Nawet nie próbuj wyzywać mnie na pojedynek - rzucił. - Przyjmuję wyzwanie jedynie od dżentelmenów.

Tłum rozstąpił się przed nim. Gdy wszedł na podium, drogę zastawiła mu Matka Atkinson.

- Opłata.

- Dostaniesz swoje pieniądze - powiedział miękko, zauważając z satysfakcją, że się wzdrygnęła. - Wypiszę ci kwit do mojego banku.

Przyjrzała mu się, mrużąc powieki.

- Myślisz, że nie znam takich jak ty? Oszuka, po czym w mgnieniu oka ucieknie z miasta.

James nie ukrywał pogardy wobec burdelmamy.

- Myślisz, że noszę przy sobie takie pieniądze? Tavinger i jego koledzy wiedzą, gdzie mnie szukać.

Burdelmama spojrzała na niego z ukosa i pokiwała głową.

- Dobrze. Wypisz kwit i jest twoja.

James sięgnął do kieszeni i wyciągnął wzór przekazu, który napisał przed wyjazdem z domu, a także podróźny kałamarz i pióro. Niechlujnie wpisał kwotę, złożył podpis i wręczył papier burdelmamie. Zerknęła na kwit i skinęła głową.

- Dobrze, ale nie próbuj nas oszukać, bo cię dopadniemy, a wtedy będzie z tobą krucho. Zapamiętaj to sobie!

James skinął głową. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- A teraz zejdz mi z drogi!

Odsunęła się powoli, z bezczelnym uśmiechem.

- Wszystko mi jedno, czyja będzie, bylebym dostała okrągłą sumkę.

James nie zwracał na nią uwagi, wpatrzony w Lucy.

- Czy oni cię skrzywdzili?

- Nie, ale takie pieniądze? - szepnęła. Błada, spoglądała na niego szeroko otwartymi oczyma i cała drżała.

- Nie myśl o tym.

Trzęsącymi się dłońmi rozpiął klamrę i zarzucił jej na ramiona swoją pelerynę. Popatrzył na mężczyzn, którzy wciąż trzymali Lucy za ręce. Pod naporem jego groźnego wzroku puścili ją i się cofnęli.

James owinął Lucy peleryną.

- Tylko mi nie zemdlej, kochanie - szepnął. - Może będą mi potrzebne wolne ręce. Wydostaniemy cię stąd. - Poczuł, że Lucy zbiera się w sobie i serce jego wypełniła duma.

Nagle Matka Atkinson nabrała podejrzeń.

- Nigdzie jej nie zabierzesz, cwaniaczku.

Na dany przez nią znak dwaj mężczyźni, którzy wcześniej trzymali Lucy, ponownie się do niej zbliżyli.

- Nigdzie pan z nią nie pójdzie, milordzie - powiedział potężniejszy z nich. - Ona jest własnością tego zakładu.

James spiął się, gotów pchnąć Lucy na podłogę, gdyby doszło do strzelaniny.

- Mylicie się, chłopcy.

Odgłos odbezpieczanych przez Huntercombe'a pistoletów sprawił, że mężczyźni zamarli.

- Ona idzie z nami - oznajmił Nick, także wyciągając broń. - Cofnąć się!

Markiz stał twarzą do podium z pistoletami wymierzonymi w obu zbirów, a Nick, stykając się z nim plecami, obserwował tłum zgromadzony w sali. Matka Atkinson z niezadowoleniem zauważyła, że jej ludzie się wycofują.

- Oni nie strzelą, a ja mam pieniądze za tę...

- Maud, do cholery! - warknął jeden z jej pomagierów. - Nie do ciebie celują.

- Drobne przeoczenie. - Przyciskając Lucy, James sięgnął do prawej kieszeni. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył go i wymierzył wprost w burdelmamę. - Zawahałbym się przed zastrzeleniem innej kobiety, ale nie ciebie.

Cofnęła się, klnąc.

- No dobrze. Bierz ją! - rzuciła, mierząc go zjadliwym wzrokiem. - Jeżeli ona jest taka dla ciebie ważna, to nawet nie myśl o wycofaniu pieniędzy. Któregoś pięknego dnia ktoś przyjdzie po nią i po forszę. Zrozumiałeś, cwaniaku? Jak nie

dostanę tych dwóch tysięcy, to już po tobie i...

Drzwi do holu otworzyły się z hukiem.

- Policja! Wsypał nas ten gnojek Fitch! - zawołał portier i uciekł.

Zapadła grobowa cisza, po czym na sali wybuchła panika. James chwycił Lucy i odciągnął ją pod ścianę.

- Schowaj się za mnie!

Spojrzał na kłębiących się mężczyzn, rozpaczliwie próbujących się wydostać na zewnątrz. Wśród nich dostrzegł Montgomery'ego.

- Uciekaj stąd, jeśli potrafisz - zwrócił się do niej i nieco opuścił lufę.

- James - jęknęła zza jego pleców Lucy.

- Nie chcę cię narażać - wyjaśnił i rzucił ostro do Maud: - Jazda, rusz się!

Przez chwilę patrzyła oniemiała, ale zaraz czmychnęła przez małe drzwiczki widoczne obok podwyższenia. Porywacze Lucy ruszyli w kierunku tych samych drzwiczek. James zaklął i wypalił. Jeden z mężczyzn wrzasnął, złapał się za kolano i upadł, pociągając za sobą kamrata.

James odrzucił bezużyteczny już pistolet i sięgnął po drugi. Szybko go odbezpieczył i poleciał:

- Nie ruszać się! Następnym razem nie skończy się na ranach!

Mężczyźni leżeli nieruchomo, bojąc się zaryzykować ucieczkę. James spojrzał na Nicka i Huntercombe'a. Za jego przykładem stanęli przy ścianie, trzymając się z dala od kłębiących się mężczyzn. Sala w połowie opustoszała,

uciekający przepychali się przez wąskie drzwi. Powtarzający się stłumiony trzask przerodził się w rytmiczne dudnienie. Pozostali w pomieszczeniu mężczyźni, w tym trzech przelicytowani przez Jamesa, zaczęli wodzić wokół dzikim wzrokiem. Blydon chwycił kolegów, wskazując wzrokiem drzwiczki przy podium.

Nick i Huntercombe ruszyli do przodu, ramię w ramię. Unieśli pistolety, blokując im ucieczkę.

- Nie ma przejścia, chłopcy - odezwał się uprzejmie markiz.

Lucy na wpół drzemała, świadoma bliskości Jamesa, wreszcie bezpieczna, otulona delikatnym zapachem jego wody kolońskiej.

- Weźmiesz teraz chłopca. Poproszę Foksa i Elizabeth, by przywieźli Lucy jutro do Chiswick - usłyszała instrukcje dawane Nickowi Remingtonowi.

- Oczywiście. Coś jeszcze?

Czy wiedział, że ona wybierała się do Elizabeth? Jedynej kobiety, która jej nie oceniała i mogła pomóc. Weźmie chłopca?

- Fitch? - wyszeptała. Zapamiętała, że ktoś wykrzyczał jego imię w sali burdelu.

James objął ją mocniej.

- Nick zabiera go do Chiswick. Jest całkiem bezpieczny. Jutro się z nim zobaczysz.

Odprężyła się w jego ramionach i odpłynęła w sen.

- Włóż termofor pod moją pościel. Co? Oczywiście, że panna Hensleigh będzie potrzebowała nocnej koszuli! Na razie musi

wystarczyć jedna z moich. Chleb i masło. Herbata.

Spokojny głos nie przestawał wydawać poleceń. Otworzyła oczy. Znajdowała się w nieznanym zapełnionym książkami pokoju. Leżała na sofie, wciąż w pelerynie Jamesa, otulona kocem. Przywiózł ją do swojego londyńskiego domu, nadal nie wiedząc, jak naprawdę się nazywa. Tłumione przez dywan kroki zbliżały się do sofy. James usiadł w fotelu i wziął ją za rękę.

- Lucy, kochanie, jesteś tu bezpieczna - powiedział.

Poczuła ukłucie w sercu nie z powodu tkliwego słowa, lecz czułości brzmiącej w jego głosie.

- Kupiłeś mnie - wyszeptła, cofając rękę, po czym ostrożnie usiadła, przyciskając do siebie pelerynę i koc.

James zbladł.

- Lucy, to był jedyny bezpieczny sposób, aby cię stamtąd wydostać. Nie dlatego... - Głos mu zadrżał. - Nie kupiłem cię, tylko zapłaciłem za ciebie okup. Przywiozłem cię do mojego domu, ponieważ tu jesteś bezpieczna, a nie po to, aby cię uwieść.

- Tamci mężczyźni... - Słowa nie chciały jej przejść przez gardło. - Im nawet nie chciało się mnie uwodzić.

- To prawda - stwierdził sucho i kategorycznie.

- Długi mojego ojca... - Urwała. Głos odmówił jej posłuszeństwa, jednak znalazła w sobie siłę, by spojrzeć mu w oczy. - Mówili, że z ich powodu mnie uprowadzili i wystawili. Wyznaczyli za mnie cenę wywoławczą - pięćset funtów.

James wciąż czule spoglądał na Lucy.

- Masz to już za sobą. Penfold przyniesie ci herbatę i coś do jedzenia. A potem zatroszczę się o twój nocleg.

Szła za nim na piętro, wciąż opatulona peleryną i oszołomiona ogromem domostwa. Miękki dywan tłumił ich kroki. Ściany były pokryte drewnianą boazerią, malowaną na biało i złoconą.

- Mój pokój. - James otworzył drzwi i zaprosił ją do środka.
- A to garderoba i zarazem przebieralnia. - Wskazał na mniejsze drzwi. - Tam będę. Drugie drzwi prowadzą z niej prosto do holu.

Koszula nocna leżała na pościelonym łożu, a na umywalce stał dzbanek z gorącą wodą.

- Pewnie będziesz chciała się umyć - powiedział. - Mam parę rzeczy do zrobienia. Będę na dole. Będzie ci tu wygodnie?

W milczeniu skinęła głową. Zapragnęła go poprosić, żeby ją objął i został, ale się powstrzymała.

- Będziesz tu bezpieczna - powiedział. - Nawet przede mną.
- Wiem - odparła z westchnieniem.

Bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Jamesa. Pod palcami poczuła szorstki zarost. Patrząc na nią, powoli ujął jej dłoń i ucałował wewnętrzną stronę. Lucy zadrżała, gdy po chwili zacisnął jej dłoń w pięść, jakby chciał zamknąć w niej pocałunek, by go mogła na zawsze zachować.

- Nie powinnaś mi ufać - rzucił szorstko. - Prosiłem cię, byś została moją kochanką, i nadal tego pragnę.

- Wiem, ale nie będziesz mnie zmuszał, prawda? - Była tego pewna. - Moje prawdziwe nazwisko brzmi Armitage.

- Dziękuję, moja miła, że mi to mówisz, ale na zaufanie trzeba sobie zasłużyć. - Potrzymał jej dłoń jeszcze przez chwilę, a potem jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. - Dobranoc.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

James niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w biurko. Na policzku wciąż czuł słodki dotyk dłoni Lucy, pamiętał wymowę spojrzenia utkwionych w niego zielonych oczu. Lucy zapłaciła bardzo wysoką cenę za jego nieodpowiedzialne zachowanie.

Westchnął głęboko. Było kilka spraw do załatwienia, zanim jutro wyjedzie z Londynu. Sięgnął po kartkę, zanurzył pióro w kałamarzu i skreślił pismo do banku. Musiał zyskać pewność, że obiecane burdelmamie dwa tysiące funtów zostaną wypłacone po otrzymaniu zlecenia. W przeciwnym razie Lucy nie będzie bezpieczna. Świadomość, że tak niewiele brakowało, a byłby się spóźnił, nie dawała mu spokoju.

Natarczywe dobijanie się do drzwi frontowych sprawiło, że pieczętując pismo do Child's Bank, opryskał je woskiem, choć wątpił, by ktoś był na tyle głupi, żeby u niego szukać Lucy. A jeśli nawet, to nie waliłby w drzwi. Mimo to sięgnął po pistolety i szybko je załadował.

- Milordzie? - W drzwiach stanął kamerdyner i wytrzeszczył oczy, widząc, do czego się szykuje jego pan. - Myśli pan, że ktoś może szukać panienki?

James odbezpieczył pistolet, kierując lufę w podłogę.

- Jeśli tak, to gorzko tego pożałuje.

Sięgnął po drugi pistolet i wręczył go Penfoldowi, który

w młodości służył jako piechur i był obyty z bronią.

- Jestem gotowy, milordzie.

James wyszedł do holu i skierował się w stronę drzwi.

- Zostań z tyłu! - rzucił do Penfolda. - W razie zamieszania strzelaj do każdego, kto wejdzie do środka.

Gdy znalazł się przed drzwiami frontowymi, stanął z boku i zapytał:

- Kto tam?

- Hensleigh. Niech mnie pan wpuści, błagam!

- Jesteś sam?

- Co? Tak! Proszę, Cambourne! Błagam pana!

James odsunął zasuwę i cofnął się, celując w drzwi.

- Wejdz!

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł ojciec Lucy, spocony i zziębnięty.

- Nie ma jej - wysapał. - Zabrali ją...

- Zamknij drzwi na zasuwę, Armitage! - zaordynował James, gestykulując dłonią uzbrojoną w pistolet.

Ojciec Lucy zamarł, gdy się zorientował, że naprzeciwko niego stoją dwaj uzbrojeni mężczyźni.

- Milordzie, zna pan moje nazwisko?

- Drzwi! - James starał się panować nad sobą, choć najchętniej udusiłby łajdaka, który własną córkę rzucił wilkom na pożarcie.

Armitage posłusznie wykonał polecenie.

- Cambourne, oni ją porwali. Nie wiem, gdzie ona jest!

James patrzył na niego, krzywiąc się z niesmakiem. Powoli opuścił broń.

- Idź tam. - Wskazał drzwi do biblioteki, po czym wziął od Penfolda pistolet i dodał: - Nie przeszkadzaj nam. Wypuszczę go potem i pozamykam drzwi.

- Dobrze, milordzie.

James podążył za Armitage'em do biblioteki. Najchętniej wyładowałby złość, trzaskając drzwiami, jednak się pohamował.

- Martwiłeś się o córkę czy o siebie? - zapytał, podchodząc do biurka.

- Cambourne, zabrali ją i...

- ...sprzedali - dokończył James, odkładając pistolety tak, by mieć je w zasięgu ręki.

Armitage pobladł.

- Błagam! Byłem idiotą, ale nigdy nie zamierzałem...

- Lucy jest moja - przerwał mu stanowczo James. - Jeśli będziesz usiłował się do niej zbliżyć, to przysięgam, że cię zabiję, chociaż jesteś jej ojcem. Powiadom też innych wierzycieli, że ona już nie jest twoja.

Zrozumienie i coś w rodzaju ulgi odmalowały się na twarzy Armitage'a.

- Kupił ją pan? Wyjawiała prawdziwe nazwisko?

- Ona jest moja - powtórzył zdecydowanie James.

Wzrok Armitage'a powędrował ku sufitowi.

- A więc jest tam? - Ruszył w kierunku drzwi - Gdybym tylko mógł ją zobaczyć... - Urwał i znieruchomiał, widząc wycelowany w siebie pistolet.

- Ani kroku dalej! To już nie twój kłopot. Od teraz i na zawsze.

- Niech pan posłucha, Cambourne. Ona jest moją córką, do cholery!

- Twoją córką? Czy nie próbowałaś sprzedać mi jej ostatniej nocy za tysiąc funtów? - Na samo wspomnienie poczuł ukłucie w sercu. - To ty sprzedałaś ją Kilby'emu?

Armitage spuścił wzrok.

- To nie było tak! On mi groził! Byli tam już wtedy, kiedy opuszczałem stację dylizansów. Powiedzieli, że mam dwadzieścia cztery godziny na spłatę pięciu setek, a jeśli tego nie zrobię, to zabiorą mi jedyną wartościową rzecz. Nie sprecyzowali jaką, ale wiedziałem, że chodzi o Lucy. Pomyślałem, że jeśli pan ją zabierze, to będzie bezpieczna. Nawet Kilby nie odważyłby się jej tknąć, gdyby była pod pańską opieką!

James opuścił pistolet i ojciec Lucy już nieco śmieiej dodał:

- Chciał ją pan mieć. Proszę nie udawać, że nie! Dawał jej pan prezenty. Jadał z nią na mieście. Zapłacił pan nawet ten cholerny czynsz!

James mógł mu uświadomić, że Lucy była głodna, że funt herbaty i pożyczenie kilku książek trudno uznać za wyraz uwodzenia, a czynsz zapłacił, by uratować ją przed eksmisją. Dał sobie jednak spokój. Wykazał się brakiem odpowiedzialności i w pewnym stopniu przyczynił się do krzywdy, jakiej Lucy doznała na skutek porwania. Poprosił ją, aby została jego kochanką, i wciąż jej pragnął.

- Pomógłbym ci, gdybyś wyjawiał mi prawdę.

Armitage wytrzeszczył oczy.

- Dałby mi pan pieniądze?

James parsknął śmiechem.

- O nie! Dopilnowałbym, żeby Lucy była bezpieczna. Rzeczywiście nie odważyliby się jej tknąć, gdyby była pod moją opieką. Chodziło ci o pieniądze, więc znowu zagrałeś i nie powiedziałeś mi, na co ją narażasz.

Armitage spuścił wzrok.

- Nie rozumie pan...

- Jak mogłeś?! - James nie krył oburzenia. - Odtąd nie masz już prawa nazywać siebie jej ojcem. Wynoś się stąd!

Armitage się cofnął.

- Chcę tylko wiedzieć, czy jest bezpieczna. Czy oni... - Zamilkł i pobladł. - Na litość boską, Cambourne! Czy przybył pan na czas? - Twarz ojca Lucy wyrażała jednocześnie strach i poczucie winy.

James trochę zmiękł.

- Tak, zdążyłem na czas - odparł.

- Dziękuję. Powie jej pan, że tu byłem?

James milczał. W końcu zapytał:

- Nie sprzedałeś jej?

- Przysięgam, że nie. - Armitage pokręcił głową. - Postanowiłem pójść do pana, by powiadomić, w jakim jest niebezpieczeństwie, ale ona wyszła i...

- W takim razie, jeżeli spyta o ciebie, powiem jej, że tu byłeś.

- Ona... będzie chciała wziąć skrzypce.

- Przyślę służącego. - James wahał się przez chwilę, po czym dorzucił: - Zajrzyj tu wczesnym popołudniem.

Armitage skinął głową.

- Dziękuję - odparł z westchnieniem i skierował się do drzwi, ale jeszcze się zatrzymał. - Przykro mi z powodu pana kuzyna i tego drugiego chłopaka. Kilby wykorzystywał Montgomery'ego, aby zwabić ich i innych dżentelmenów do salonów gry. W ten sposób spłacał własne długi.

- Rozumiem. Dzięki za informację.

Natarczywy i niepohamowany lęk kłębił się w ciemności. Poderwała się i sztywno wyprostowana usiadła na obcym łóżku. Walcząc z koszmarem, oddychała ciężko, nierówno.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich James. Nikły blask z kominka wydobył z cienia jego bladą twarz. Próbowła się odezwać, ale wydała z siebie tylko westchnienie ulgi. To jego pokój!

- Lucy.

Zanim zdążyła wziąć kolejny oddech, już był przy niej i zamknął ją w ramionach.

- Jesteś bezpieczna, kochanie. To był tylko zły sen.

Czasami marzenia mogą się ziścić, choćby na chwilę. Trzeba jedynie wykazać się odwagą, pomyślała Lucy.

- Zostań ze mną - wyszeptała.

James musnął ustami jej skroń.

- Oczywiście. Jak długo zechcesz.

- Mówiłeś, że nadal mnie pragniesz.

Stłumił chęć, by zawładnąć ustami Lucy. Zamiast tego podniósł do ust jej dłoń i ucałował ją od wewnątrz.

- Tak - przyznał. Był pewny, że może całować ją bez ryzyka, skoro narzucił sobie reżim.

- I... nie weźmiesz mnie?

- Nie wezmę cię? - Nie do końca zrozumiał, o co Lucy pyta.
Odsunęła się lekko, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Jako twoją kochankę, o ile nadal tego chcesz.

- Lucy, nie musisz...

- Wiem, że nie muszę, ale tego chcę.

Drżącymi palcami delikatnie musnęła jego policzek. Niewiele brakowało, a ucałowałby jej palce, ale zdołał się powstrzymać.

- Chcesz mnie? - wykrztusił.

- Tak.

Lucy wychyliła się i ich usta zetknęły się w najkrótszym i najbardziej niewinnym pocałunku jego życia. To ostatecznie przełamało jego opory.

- Czy zgodzi się pan zostać moim kochankiem, milordzie?

James zamknął oczy, świadom, że Lucy odwróciła sytuację.

- Całym sercem - powiedział.

Powoli przyciągnął ją do siebie. Serce waliło mu jak młotem. Tymczasem ona z lekkim westchnieniem zarzuciła mu rękę na szyję i przysunęła się bliżej.

- Pocałujesz mnie?

- Och, tak - odparł, myśląc, że będzie ją całował do utraty tchu.

Na razie chwycił koniec jej warkocza, rozwiązał wstążkę, a potem zanurzył palce w jedwabistej gęstwinie włosów, opadającej jej na ramiona.

- Chciałem je zobaczyć rozpuszczone - wyznał.

Jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, żaden inny mężczyzna nie będzie ich oglądał w takim stanie. Odchylił głowę Lucy

i przybliżył usta do jej warg.

- Teraz mogę cię pocałować - powiedział.

- Och tak, proszę.

Rozchyliła wargi, ale on musnął ustami tylko jej skroń.

- Ja... myślałam... - Chciała czegoś więcej.

- Nie myśl, tylko czuj.

Miękki głos Jamesa sprawił, że Lucy przeszedł dreszcz. Przywarła do niego, gdy pocałunkami obsypał jej szyję. Delikatne, a zarazem zaborcze usta doprowadzały ją do szaleństwa.

James był bliski utraty samokontroli, ale nie mógł sobie na to pozwolić, zmusił się więc do przerwania pocałunku. Powoli odsunął Lucy od siebie i rozpiął górny guzik nocnej koszuli. Słyszał jej przyspieszony oddech. Powiódł palcami po jedwabistej skórze, zsuwając materiał z jej ramienia, a następnie objął idealną krągłość piersi. Westchnęła tęsknie, szarpnęła za pasek szlafroka Jamesa i usłyszała pytające „Lucy?”.

- Nie powinnam?

- Powinnaś. Tak, powinnaś.

Uspokojona, rozwiązała pasek. Po chwili James zsunął go z ramion, odsłaniając nagi tors. Zaczepnęła tchu i się zawahała; zatrzymała dłoń o cal od torsu Jamesa. Ujął ją delikatnie i położył na swej piersi.

- W ten sposób będę miał z tego tyle samo przyjemności, co ty - powiedział stłumionym głosem, który przyprawił ją o kolejny dreszcz.

Wcześniej pragnęła więcej, chciała poznać całą tę męską

moc i siłę. Stało się - mogła teraz dotykać Jamesa. Palcami przeciągnęła po gorącej gładkiej skórze, kryjącej wyrobione mięśnie, i zaczęła pieścić sutek. Robiła to dla niego, dla jego przyjemności.

- Moja kolej - wymruczał, podciągając jej koszulę.

Lucy posłuchała i już po chwili została naga. Zamknęła oczy i czekała na to, co się miało stać. Chciała tego, pragnęła Jamesa. Położy się na niej i...

Nic się nie działo. Zdziwiona, uniosła powieki. James ścisnął w rękach jej koszulę i wpatrywał się w jej piersi. Nie były specjalnie duże. Czyżby się rozczarował?

- Skrzywdzili cię - powiedział.

Zrozumiała, na co zwrócił uwagę. Na sińce pozostawione przez rękę Wata, gdy boleśnie ścisnął jej pierś i zdzielił pięścią w brzuch.

- To się stało, kiedy ciągnęli mnie na salę przed... sprzedażą - z trudem wypowiedziała ostatnie słowo. - W pomieszczeniu, gdzie mnie początkowo zamknęli, znalazłam krzesło i kiedy po mnie przyszli, uderzyłam nim jednego z nich w głowę. Krzesło się rozpadło i drugiego dźgnęłam w żołądek nogą od krzesła. - Słowa przychodziły jej coraz łatwiej, jakby wyjawienie tego, co przeżyła, miało działanie uzdrawiające jej psychikę. - Chciał mnie uderzyć w twarz, ale ten drugi powiedział, że to obniży moją wartość.

- Powiniennem był ich zabić - rzucił przez zaciśnięte zęby James, po czym zwrócił się do niej łagodnym tonem: - Kochanie, nie dopuszczę, żebyś kiedykolwiek cierpiała. Na razie lepiej poczekajmy.

- Nie chcę czekać i nie chcę też, by to - dotknęła sińca na piersi - stało między nami ani teraz, ani w przyszłości.

Zapadło milczenie. Nagle James upuścił na podłogę jej koszulę i wyciągnął ręce. Lucy wstrzymała oddech, gdy opuszkami palców zaczął muskać jej piersi. Obrysowywał krawędzie sińca na jej piersi dotykiem lekkim niczym łaskotanie skrzydeł motyla.

- Zapomnij o nich - wyszeptała. - Pomóż mi o nich zapomnieć.

Poczuła, że jej tętno przyspieszyło rytm, a serce mocniej zabiło. Przepęłniło ją dojmujące pragnienie bliskości i wreszcie James wziął ją w objęcia. Wpiła się palcami w jego ramiona, ale on nagle lekko się cofnął.

- Jeszcze nie, kochanie. - Pokręcił głową. - Pozwól mi patrzeć i dotykać.

Oczami i dłońmi odkrywał jej ciało, odnajdował krągłości bioder i ud, obwodził piersi, doprowadzając ją niemal do ekstazy. Czułe pocałunki spłynęły po jej szyi aż po biust. Gdy jego usta spoczęły na sutku i zaczęły go delikatnie ssać, wydała cichy okrzyk rozkoszy. James puścił jej pierś, by dotknąć drugiej, po czym zawędrował dłonią do miękkiego trójkąta. Poczuła, jak wsuwa dłoń pomiędzy jej uda i zaczyna delikatnie pieścić jej kobiecość. Zaborcze usta Jamesa stanowiły jaskrawy kontrast z delikatnymi pieszczotami palców. Topniała pod ich dotykiem, wzbudziły w niej żarliwe pożądanie.

- Jesteś gotowa - szepnął James. - Nie sprawiam ci bólu?

- Nie. - Lucy przyciągnęła go do siebie, spragniona

i rozpalona.

Odnalazł źródło kobiecej rozkoszy i nacisnął je kciukiem. Zalała ją fala rozkoszy.

- James, proszę - powiedziała z jękiem.

- Lucy, nie mogę dłużej czekać - rzucił ochryłym głosem.

Powinna być przerażona, gdy męskie ciało uniosło się nad nią, tymczasem otworzyła się przed nim ochoczo i podała mu usta do pocałunku. Rozciągający ucisk zwiastował ból - zrozumiała, że James w nią wchodzi. Pragnęła tej powolnej inwazji, uległa i nienasycona.

Drżącym palcem otarł łzę z jej policzka.

- Wybacz, kochanie.

Nacisk zelżał. Objęła go mocniej, a on naparł bezlitośnie. Przeszył ją ostry ból, gdy wsunął się głęboko w jej wnętrze. Leżała pod nim oszołomiona, podczas gdy jej ciało próbowało zaakceptować ten atak. Ból zaczął przemijać i zamieniał się we wspomnienie.

James próbował leżeć spokojnie, by nie sprawiać bólu Lucy. Przesunęła się trochę, a on oparł się czołem o jej czoło.

- James? - wyszeptała.

- Tak. Zatańcz ze mną, kochanie.

Wsunął dłoń pod jej pośladki i zaczął się w niej lekko poruszać. Serce waliło mu jak młotem, gdy ich ciała się zakołysały. Nigdy nie przeżył czegoś podobnego. Nawet gdyby trwało to na wieki, i tak byłoby za mało.

Lucy dostosowała się do jego rytmu. Pozostawali w idealnej harmonii. Pałająca rozkosz domagała się ujścia, ale James wciąż się powstrzymywał. Po raz pierwszy w życiu bardziej pragnął

dać rozkosz kochance, niż samemu ją osiągnąć.

- Chodź do mnie, najdroższa!

Przyciągnął ją mocniej do siebie; krzyknęła i napięcie wokół niego zelżało.

Obudził się bladym świtem. Lucy spała w jego ramionach, pojękując cicho. Przyciągnął ją bliżej, szepcząc czułe słowa, dopóki nie wtuliła się w niego całkiem rozluźniona. Znowu pragnął się z nią kochać. Tego by się po sobie nie spodziewał. Poza tym połączyło ich coś więcej niż to, co do tej pory określał „uprawianiem seksu”. Doświadczył niezwyklej bliskości, jedności, porozumienia dusz i ciał.

- James? - rozległ się zaspany głos Lucy.

Złożył pocałunek na jej skroni.

- Słucham.

- Byłeś w moim śnie i nagle się obudziłam.

- To tylko sen, kochanie. Śpij dalej.

- Już nie jesteś sennym marzeniem. - Głos Lucy odpływał. -

To się dzieje

naprawdę. Kocham cię, James.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dobrze ubrana kobieta o przesadnie wyrafinowanym akcencie opuściła Child's Bank zaledwie dziesięć minut po jego otwarciu. Wyszła na Fleet Street, zauważyła czekającą dorożkę i skierowała się w jej stronę. Zza woalki rozejrzała się po ulicy i dostrzegła mężczyznę wspartego o ogrodzenie i udającego, że jej nie obserwuje.

Cholera!

Nie przyspieszyła jednak kroku, pomna, że „jak zaczniesz uciekać, to będą cię gonić”. Najważniejsze to wyglądać na pewną siebie. Gdy podeszła do dorożki, woźnica zlustrował ją chytrym wzrokiem i w mig oszacował

- Mogę zobaczyć pieniądze, kochasiu?

Zirytowana, Maud Atkinson wyłuskała monety z torebki. Woźnica wyciągnął rękę, a ona mu je wręczyła. Wszczynając kłótnię, mogłaby zwrócić na siebie uwagę.

Woźnica wsunął monety do kieszeni.

- Dokąd?

- Do St. Paul's - odparła na tyle głośno, by usłyszał ją mężczyzna stojący po drugiej stronie ulicy. Później zamierzała podać dorożkarzowi właściwy cel podróży.

- Do St. Paul's, dobrze słyszałem?

Na dźwięk znajomego głosu odwróciła się powoli, z uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Tak, panie Kilby. To oszczędzi mi mnóstwa kłopotów.

- Czyżby?

Kilby głęboko nasunął kapelusz na czoło, a dolną część twarzy zasłonił grubym szalem. Spojrzał na woźnicę i wręczył mu sześciopensówkę.

- Do Ludgate Hill.

Uśmiech Maud nieco przygasł. Lata spędzone na Drury Lane nauczyły ją, iż nie należy przesadnie się wcielać w odgrywaną rolę. Pozwoliła Kilby'emu podsadzić się do dorożki. Wsiadł za nią i zamknął drzwiczki.

- Nareszcie! - Z ulgą porzuciła wyrafinowany akcent, który męczył ją w tym samym stopniu, co za ciasne buty. - Nie miałam pojęcia, gdzie pana szukać po zakończeniu polowania.

- Wyrazy współczucia, Maud. Na myśl o tym, że się przejmowałaś, mięknie mi serce.

- Przecież nie wiedziałam, dokąd zawieźć pieniądze, prawda?

- Ale ja wiedziałem, gdzie cię znaleźć, więc wszystko w porządku. - Kilby uśmiechnął się złośliwie. - Masz je?

Poklepała torebkę.

Kilby pokręcił głową.

- Niezawodna Maud. Obawiałem się, że pieniądze przepadły. Dziwię się, że on nie anulował przekazu natychmiast po otwarciu banku.

- Ostrzegłam go, że ta lalunia wróci na swoje miejsce, gdyby próbował nas wykiwać - powiedziała, krygując się, podczas gdy Kilby kiwał głową z uznaniem.

- Postąpił bardzo rozsądnie. Dzięki, Maud. Skoro mam

pieniądze, on może jej sobie używać.

- Jak dostanę swoją dolę.

- Oczywiście, Maud. Czy można mi nie ufać?

„O to nietrudno”, chciała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

- Jak je wypłacili? - Kilby otworzył skórzaną teczkę.

Maud wyjęła z torebki zwitek banknotów.

- Dostałam dwa tysiące funtów za dziewczynę. Dziesięć procent dla mnie, to dwie stowy.

Kilby uniósł brwi.

- Zważywszy że muszę się ukrywać, bo na twój zakład był nalot, powinniśmy ponegocjować.

Maud spiorunowała go wzrokiem.

- To nie mój kret nas wsypał!

- Kret ? - Kilby wychylił się do przodu.

Ha! Tu go miała!

- Twój kret. Ten mały gówniarz Fitch. To on ich sprowadził!

Kilby zapatrzył się w dal.

- Wiedział? No proszę... A gdzie teraz jest panicz Fitch?

Maud wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nikt go nie widział. Pewnie się gdzieś zaszył. - Szczerze mówiąc, wątpiła w istnienie nory tak głębokiej, by mogła skutecznie ukryć Fitcha, co jej nawet odpowiadało.

- A Wat i Jig?

- Złapali ich. Są w więzieniu Newgate.

Kilby westchnął.

- Co z moją dolą? - upomniała się Maud.

- Tak, oczywiście. Twoja dola. Nie zapomniałem. Dodam ci

nawet trochę więcej za fatygę.

James wskazał Armitage'owi krzesło stojące po drugiej stronie biurka. Ojciec Lucy omiótł wzrokiem bibliotekę i spostrzegł ubranego na czarno mężczyznę, siedzącego z boku. James wskazał na niego i powiedział:

- Mój prawnik Kenton. Ma dla ciebie pewną propozycję.

Armitage oblizał wargi.

- Bardzo dobrze.

Kenton mówił powoli, precyzyjnie określając zasady i warunki oferty: pięć tysięcy funtów bez żadnych warunków, o ile zgodzi się trzymać z dala od Lucy i Jamesa.

Armitage milczał.

- Rozumie się - uzupełnił wypowiedź prawnika James - iż chodzi o płatność jednorazową.

Armitage skinął głową.

- Tak.

- I to nie ma nic wspólnego z twoją córką.

- Nie ma z nią nic wspólnego? - Armitage się skrzywił. - Czy zaciągnął ją pan wczoraj do łóżka, Cambourne? Płaci mi pan za...

- Nie płacę ci za nią. - James starał się nie myśleć o Lucy, o jej słowach wypowiedzianych bladym świtem. - Nawet gdyby postanowiła odejść jutro ode mnie... - Na myśl o tym serce mu zadrżało. - Nawet gdyby już nigdy nie wróciła, te pieniądze będą twoje. Nie nałożę na nią żadnych wymogów, bo robię to dla niej, nie dla ciebie.

Kenton słuchał Jamesa z jawną dezaprobatą, po czym dodał:

- Milord przygotował osobne i możliwie najkorzystniejsze

rozwiązanie dla pańskiej córki na czas, gdy będzie pozostawać na jego utrzymaniu.

James zacisnął zęby. To nie tak. Lucy należała do niego w sposób, który nie do końca mógł pojąć.

- Kiedy weźmiesz te pieniądze, nie będziesz mógł mieć żadnych dalszych roszczeń wobec mnie i swojej córki - podkreślił.

Armitage jakby skurczył się w sobie.

- Płacisz mi pięć tysięcy funtów za zniknięcie z jej życia.

James nie zamierzał współczuć temu człowiekowi. Nie potrafił jednak zapomnieć przerażenia i rozpaczki Armitage'a, kiedy sobie uświadomił cenę, jaką córka mogła zapłacić za jego głupotę. Poza tym wydał im Montgomery'ego.

- Pragnę jej bezpieczeństwa.

Armitage wzdrygnął się, jakby został uderzony.

- Spodziewałem się tego - powiedział zbolalym głosem. - No cóż, zaniedbywałem ją przez całe jej życie. - Wyprostował się.

- Pomyślałem, żeby wsiąść na statek do Ameryki. Jak szybko...? - Urwał wyraźnie skrepowany.

- Jak szybko możesz dostać pieniądze? - dokończył James.

Czy to wszystko, o co się troszczył? Wstyd i żal mniej się dla niego liczyły niż umowa? Wskazał na prawnika.

- Kenton resztę załatwi. Chcesz przeczytać ugodę w sprawie Lucy? - W jego głosie pobrzmiwała gorycz. Tego człowieka interesowały tylko pieniądze.

Armitage nie patrzył mu w oczy.

- Jest tak, jak pan powiedział poprzedniej nocy, Cambourne. Utraciłem prawo do bycia jej ojcem, kiedy oddałem ją

w zastaw. - Podniósł na moment wzrok. - Nie mam wątpliwości, że hojnie ją pan zabezpieczy. Czy...czy ona przebywa w Londynie?

Armitage wydawał się skruszony. James nieco złagodniał, mimo że miał o nim wyrobione zdanie i mu nie ufał.

- Nie.

Elizabeth zabrała Lucy do Chiswick, a on został w mieście, by wszystko uporządkować.

Armitage potarł podbródek.

- Tak jest bezpieczniej... Powiniennem zostawić jej list. - Był wyraźnie zakłopotany. - Cambourne, czy mogę poprosić o parę chwil w samotności?

James podniósł się z fotela. Niepożądane uczucie politowania zmieszało się z gniewem.

- Ile tylko chcesz.

Prawnik też wstał, ale Armitage podniósł rękę.

- Kenton, potrzebuję pańskiej porady. Będzie pan tak dobry? Moja ostatnia wola, pan rozumie?

Prawnik usiadł z powrotem.

- To bardzo rozsądne, jeśli planuje pan emigrację - stwierdził i spojrzał na Jamesa. - Czy mogę skorzystać z papieru, milordzie?

- Ależ tak. - James skinieniem głowy pożegnał Armitage'a.

- Zostawię list u Kentona - powiedział ojciec Lucy.

Godzinę później James wrócił do biblioteki, gdzie zastał prawnika pakującego dokumenty do teczki. Armitage'a już nie było.

- Wszystko załatwione, Kenton?

- Tak, milordzie. List dla panny Armitage znajduje się na pańskim biurku.

- Dziękuję.

- Zostawił wiadomość także do pana. Powinien pan przeczytać jak najszybciej. To może...

- Dziękuję, Kenton.

Prawnik odchrząknął i dodał:

- Milordzie, na biurku zostawiłem również dwie kopie umowy panny Armitage, gdyby zaszła potrzeba ponownego przemyślenia tego bardzo hojnego...

- Nie ma takiej potrzeby - uciął James.

- Milordzie, przyznanie jej dożywotniej renty oraz prawa użytkowania Hawthorne Lodge lub podobnej nieruchomości, także dożywotniego, a nie tylko na czas trwania waszego związku, jest...

- Dokładnie tym, czego chciałem. To wszystko. - Nie chciał urazić oddanego mu prawnika.

Kenton zrobił taką minę, jakby spotkał go afront, i oznajmił:

- Milordzie, nie czyniłbym mojej powinności, gdybym nie nalegał, aby przeczytał pan list pana Armitage'a. Śmiem podkreślić, że klauzule, przy których się pan upiera, chroniące pannę Armitage po zerwaniu związku, są bardziej stosowne, gdy chodzi o zabezpieczenie wdowy, a nie odprawionej metresy. - Kenton skłonił się, wziął teczkę i podszedł do drzwi. Położył dłoń na klamce i jeszcze raz zwrócił się do Jamesa: - Miłego dnia, milordzie. I proszę koniecznie przeczytać wiadomość od Armitage'a! - Zamknął za sobą drzwi.

James usiadł w fotelu. List do Lucy leżał na bibule, a pod nim

ten, który Armitage zostawił dla niego. Z boku spoczywały dwie kopie umowy, która miała chronić Lucy i zapewnić jej dobrobyt nawet po zakończeniu ich relacji. Wziął jedną z nich i zaczął czytać ponownie. Utrzymanie, zakwaterowanie, pensja, opieka i wykształcenie dla dzieci, jeśli narodzą się z tego związku. Wszystko było ujęte w precyzyjne prawnicze terminy, słowo po słowie tak, aby mieć pewność, że nie znajdzie się żadna luka, żaden kruczek, w przypadku gdyby coś mu się stało lub gdyby się rozstali. Nic dziwnego, że nieszczęsny Kenton był zszokowany tymi warunkami. Lucy i Fitch będą zabezpieczeni, bez względu na wszystko. Zastosowałby każdą możliwą klauzulę, byle to osiągnąć. Wciąż jednak nie był usatysfakcjonowany.

Lucy wyznała, że go kocha. Nie wątpił w szczerść jej słów, nawet jeśli mówiła to na poły przez sen. Szaleństwo, orzekła Elizabeth, ponieważ mężczyźni zwykli zbyt ochoczo wykorzystywać bezbronność kobiet.

Kwadrans później, gdy do biblioteki wkroczył Fox, James już wiedział, czego brakowało w umowie. Kenton dał mu wskazówkę. Nie oznaczało to wcale, że nieszczęśnik nie będzie jeszcze bardziej zaszokowany. Podał Foksowi umowę, ciekaw jego opinii.

- Chciałbym wiedzieć, co o tym myślisz.

Fox przeszedł przez pokój.

- Pozwoliłem sobie poprosić Penfolda o kawę. - Usiadł przy biurku naprzeciw Jamesa. - Byłem na Bow Street, obawiając się złych wieści. Posłuchali twojej porady i obserwowali bank. Zawołowana wygadana kobieta przedstawiła zlecenie

i wypłacono jej pełną sumę, zgodnie z twoimi instrukcjami. Wyszła i odjechała dorożką z jakimś mężczyzną. Policjanci udali się ich śladem, ale ten mężczyzna wysiadł na Ludgate Hill i stracili go z oczu. Dojechali do St. Paul's, gdzie znaleźli kobietę martwą, z podejrzanym gardłem i bez pieniędzy.

- Zgubili Kilby'ego? Znakomicie. Przynajmniej ma te pieniądze.

- Reagujesz wyjątkowo spokojnie. - Fox wziął do ręki umowę.

- Jeżeli ma pieniądze, to Lucy nic nie grozi. - James nie zwracał uwagi na lekko rozbawione spojrzenie Foksa. - Jednak brat Huntercombe'a nie został pomszczony. - To najbardziej go gryzło. Przyjaciel nie zazna spokoju, póki kara nie spotka morderców Geralda.

Fox zaczął czytać.

- Co to jest? Aha, rozumiem. - Przez chwilę milczał, przyglądając się zapisom. - Wracając do tamtej sprawy. Dwaj porywacze zostali schwytani. Dzięki rozpoznaniu przez Nicka policja oskarżyła ich także o napaść. Jeden z nich w zamian za niższy wymiar kary zgodził się zeznawać przeciwko kompanowi w sprawie Moresby'ego. Zatem policja zyska dowód na ich udział w zabójstwie Geralda. Za samo porwanie grozi kara śmierci, więc żaden z nich nie uniknie stryczka.

To nie wystarczy, skoro Kilby uciekł, pomyślał James, choć może będzie musiało...

- Oni wciąż są przesłuchiwanie - wyjaśnił Fox. - Kiedy zdadzą sobie sprawę, że jedynym sposobem na ocalenie głów jest wsypanie Kilby'ego, to wystarczy, aby wydobyć go choćby

spod ziemi. Dostałem twój list na temat Montgomery'ego i wpadłem do klubu Brooksa. Szepnąłem parę słówek na ten temat komu trzeba. Będzie miał za swoje!

Pukanie do drzwi obwieściło przybycie Penfolda z kawą. James napełnił dwie filiżanki i cierpliwie czekał, aż Fox po raz drugi przeczyta umowę. W końcu odłożył dokument.

- Co o tym sądzisz? - zapytał.

Fox sęczył napój w zadumie.

- Bardzo hojnie - zawyrokował beznamiętnym tonem.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?'

Fox uniósł brwi.

- A co chciałeś ode mnie usłyszeć? Że jesteś skończonym idiotą i...

- Że to jest zły rodzaj umowy! - James sięgnął przez biurko, chwycił obie kopie kontraktu i podarł je, po czym wstał i wrzucił strzępy do kominka, gdzie rychło zamieniły się w garstkę popiołu.

- Ależ to było teatralne - rzucił sucho Fox. - Co miało oznaczać?

James usiadł. Fox może pomyśleć, że oszalał, ale...

- Myślisz o małżeństwie, prawda? - stwierdził spokojnym tonem Fox.

James głęboko odetchnął.

- Już to sobie przemyślałem. Czy mogę mieć nadzieję?

- Chwileczkę, chłopcze. - Fox oparł łokcie o blat i splótł dłonie. - Rano, zanim Elizabeth wyjechała, poprosiłem ją o zgodę, bym mógł ci coś wyjawić. Nieczęsto ci radzę, bo zazwyczaj tego nie potrzebujesz. To też nie będzie porada,

skoro sam do tego doszedłeś. Może jednak chciałbyś wiedzieć, że pobraliśmy się z Elizabeth siedem lat temu.

Gdyby jedno z marmurowych popiersi zeskoczyło z półki i spadło Jamesowi na głowę, nie byłby bardziej oszołomiony. Siedem lat temu?

- Szokujące, prawda?

Czy był zadziwiony ich ślubem, czy raczej tym, że utrzymali ten fakt w tajemnicy?

- Dlaczego nikomu nie powiedzieliście?

Fox wzruszył ramionami.

- Elizabeth sobie tego nie życzyła.

Na pewno nie chciałyby zmierzyć się z nieuniknionymi plotkami, złośliwymi docinkami i nieukrywanym oburzeniem socjety, uznał w duchu James.

- Omal jej nie straciłem. - Fox mówił powoli, jakby wspominał sprawy zbyt bolesne.

- Jak to?

Fox spochmurniał.

- Pamiętasz Couttsów i pomyśl, że panna Fanny będzie dla mnie odpowiednią żoną?

- Owszem. - Pamiętał, że Fanny Coutts nie miała wtedy więcej niż dwadzieścia dwa lata, była młodsza od Foksa o ponad dwadzieścia lat.

- Z tego powodu Elizabeth chciała cię rzucić? - zapytał zdumiony. Przecież musiała wiedzieć, iż nie zaakceptujesz tej propozycji.

- Powiedzenie, iż chciała się usunąć dla mojego dobra, byłoby bliższe prawdy - odparł Fox. - Nie mogłem do tego

dopuścić.

- I dlatego się z nią ożeniłeś?

Fox skinął głową.

- Tak. Nie chciałem, aby kiedykolwiek zaznała bólu i niepewności, by myślała, że największa nawet fortuna mogła być dla mnie więcej warta od niej samej.

James był w stanie to zrozumieć. Nie biedził się tak nad tym cholernym kontraktem tylko po to, żeby zapewnić Lucy wygodne, spokojne życie, i dlatego nie był w pełni z niego zadowolony. W żadnej umowie jedynym, czego nie dało się zabezpieczyć, jest niegasnąca miłość.

- Przekonałem Elizabeth - ciągnął Fox - że powinniśmy ujawnić, iż jesteśmy małżeństwem, zanim tego lata wyjedziemy do Francji. - Podniósł się z krzesła. - Możesz zatem być spokojny, że plotki o twoim małżeństwie zostaną zagłuszone przez grom z jasnego nieba, jakim będzie moje oświadczenie.

James wybuchnął śmiechem. Rzeczywiście wiadomość o ślubie Foksa z Elizabeth wstrząśnie londyńską śmietanką.

- Jestem przekonany - kontynuował Fox - iż wszyscy będą mnie oskarżać, że jako twój ojciec chrzestny dałem ci fatalny przykład.

- Wcale bym się nie dziwił, niemniej... - James wyciągnął rękę - przyjmij moje gratulacje. Jest o wiele za późno, by życzyć Elizabeth szczęścia, bo ewidentnie jej go nie brakuje. Liczę na to, że zjawicie się na moim ślubie.

- Oczywiście. A teraz pędź do Chiswick i oświadczyć się damie swojego serca.

James rozpromienił się i oznajmił:

- To najlepsza rada, jaką mi kiedykolwiek dałeś.

- Nie dziwi mnie to - mruknął Fox.

Drzwi otworzyły się i kamerdyner zapowiedział gościa.

- Lord Huntercombe, milordzie.

Po wizycie Huntercombe'a James przyjął przedstawiciela sądu policyjnego, który przedstawił mu raport z interwencji w burdelu, i wysłał Kentonowi wytyczne mogące przyprawić go o apopleksję. Późne popołudnie dobiegało końca, a on wciąż nie przeczytał listu od Armitage'a. Klnąc, włożył go, wraz z listem dla Lucy, do pudełka z robotą papierkową, którą zamierzał wykonać w Chiswick, i nakazał postawić powóz.

Pół godziny później, gdy powóz ze stukotem opuszczał Londyn, James wreszcie sięgnął po liścik Armitage'a, który zaczynał się słowami:

Mam nadzieję, że w związku z tymi instrukcjami nie uznasz mnie Pan za niewdzięcznika i że nie pomyśli Pan, iż nie wierzyłem w Pana obietnicę należytego zabezpieczenia mojej córki.

List okazał się krótki i nad podziw bezpośredni. Musiał przeczytać go dwa razy, by w pełni zrozumieć przesłanki decyzji Armitage'a. Wstrząśnięty, zapatrzył się w zapadający zmrok. Każde jego nieprzemyślane, aroganckie założenie zostało odwrócone do góry nogami. Armitage zmusił go do głębszej refleksji nad pytaniem, które zadała mu Elizabeth: „Czy Lucy wybrałaby cię, gdyby była naprawdę wolna?”

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Lucy przewracała się z boku na bok, wmawiając sobie, że to obcy pokój i cudze łóżko nie pozwalały jej zasnąć. Zamknęła ponownie oczy. Po licznych przestrofach Elizabeth, po wszystkich ostrzeżeniach, jakie sobie dawała, zakochała się w człowieku, który nigdy nie będzie w pełni do niej należał. Została jego kochanką. Co gorsza, wyznała mu miłość. Być może chciał jej delikatnie przypomnieć, że to on zażyczył sobie tej relacji i że miłość nie miała z ich bliskością nic wspólnego. A przynajmniej z jego strony.

Przytłumiony hałas dobiegający z sąsiedniego pokoju wyrwał ją z rozmyślań. Usiadła w pościeli.

- Fitch? Czy wszystko w porządku?

- Tak, Lu. To nic takiego - odparł zasapanym głosem.

- To dobrze. Dobranoc.

Uspokoila się, ale niemal natychmiast zerwała się na równe nogi. Czy on rzucał czymś o ścianę? Westchnęła z irytacją i wsunęła pantofle. Wprawdzie znalazł się w zupełnie nowym otoczeniu, ale nie można pozwalać mu na demolowanie domu. Drobiąc i po cichu, czyli w najlepszy sposób, by przyłapać Fitcha na gorącym uczynku, podeszła do drzwi i je otworzyła.

Zapatrzony w ogień płonący w kominku, przy którym siedział w fotelu, James obracał w rękach pękaty kieliszek napełniony brandy. Rozmyślał o niedawno podjętej decyzji.

Postanowił nazajutrz z rana dać Lucy list od jej ojca, w którym on zrzekł się do niej praw. James pojął wreszcie, że wybór między wygodną egzystencją z nim a brakiem jakichkolwiek środków do życia nie jest autentyczny, a jedynie spowodowany określoną sytuacją. Tymczasem chciał, by Lucy podjęła decyzję, niczym nieprzymuszona. Zamierzał dać jej wolność, w nadziei, że zostanie z nim z własnej woli. Musiała poczuć, że stanowi o sobie, zanim się jej oświadczy i zacznie dzielić z nią łożę.

To było właściwe, przyzwoite i honorowe rozwiązanie. Niestety, ciało się buntowało, a i umysł się wahał. Nie potrafił też wyrzec się przekonania, że powinien być teraz przy niej, dając jej poczucie bezpieczeństwa.

Upił łyk brandy, ledwie zauważając zapach i smak wykwintnego trunku. Czynienie tego, co należy, byłoby o niebo łatwiejsze, gdyby mógł zapomnieć, jak słodko i spontanicznie reagowała, kiedy trzymał ją w ramionach. Odstawił kieliszek i sięgnął po książkę. Szkoda byłoby zmarnować brandy, upijając się bez jej należytego potraktowania. Nie chciał też podczas oświadczyn wyglądać jak wyjęty psu z gardła.

Po chwili odłożył książkę na stolik i wstał z fotela. Może przejść się po parku? Nie było późno, mógł ją odwiedzić, napić się razem z nią herbaty i... wrócić do domu jak lunatyk. Albo nie wrócić, porzucając szlachetne intencje.

Ciche pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia.

- Wejść.

W drzwiach pojawił się Field.

- Za pozwoleniem, milordzie. Posłaniec z Bow Street

przyniósł to dla pana. Mówił, że pilne.

James przeszedł przez pokój i chwycił przesyłkę. Szybko złamał pieczęć, w mgnieniu oka zapoznał się z treścią listu i poczuł, jak lodowaty dreszcz spływa mu wzdłuż kręgosłupa. Oto ludzie Kilby'ego, Jig i Wat, zgodzili się zeznawać przeciwko niemu, aby uniknąć strychnicy. Sześć godzin później odnaleziono ich martwych w ich celach, z poderżniętymi gardłami. James pojął, że najwyraźniej Kilby nie toleruje zdrady i na pewno przyjdzie po Fitcha.

Lucy położyła dłoń na klamce drzwi do pokoju Fitcha, myśląc, że delikatne upomnienie powinno na razie wystarczyć. Przyjaciel znalazł się w zupełnie dla niego obcym miejscu. Nie był przyzwyczajony do życia w jakimkolwiek komforcie, a z drugiej strony, do żadnych ograniczeń.

Otworzyła drzwi i weszła.

- Fitch...

- Lu! Nie! Uciekaj!

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch, ale krzyk uwiązał jej w jej gardle. Potężne ramię chwyciło ją za szyję i pociągnęło do tyłu. Zaczęła się wyrywać i drapać, a drugą ręką próbowała dosięgnąć do oczu napastnika.

- Nie ruszaj się, dziwko, albo cię potnę tu i teraz - usłyszała i poczuła na szyi dotyk zimnej stali.

- Lu!

Przerażenie brzmiące w głosie Fitcha pomogło jej opanować strach. Stał po drugiej stronie pokoju przy otwartym oknie, trzymając się za lewe ramię. Spomiędzy palców sączyła się krew.

Mimo silnego ucisku szyi udało jej się wydobyć głos.

- Skacz przez okno! Natychmiast!

Fitch nawet się nie poruszył. Napastnik zaśmiał się szyderczo, wprost do jej ucha.

- On swoje wie. Jeden fałszywy ruch z jego strony i już nie żyjesz. - Nacisk ostrza nieco osłabł. - Jestem Kilby. Nie poznaliśmy się, chociaż miałem przyjemność obserwować, jak Maud Atkinson bada cię przed aukcją. Byłaś tam śliczniutka, nie mam wątpliwości, że Cambourne upiekł już tę pieczeń na swoim ruszcie.

Lucy zamarła. Kilby, człowiek, który stał za zabójstwem brata lorda Huntercombe'a, za pobiciem kuzyna Jamesa i za jej porwaniem.

- Posłuchaj, Fitch - ciągnął Kilby - sam zdecyduj, czy ją zabić. Potrzebuję tylko ciebie.

- Panienko?! Czy tam na górze wszystko w porządku?! - dobiegł ich z dołu głos pokojówki Marii.

- Powiedz jej, że wszystko w porządku - rozkazał Kilby, mocniej przyciskając ostrze noża do szyi Lucy, a jednocześnie nieco zmniejszając uścisk ramienia. - Lepiej niech tu nie wchodzi, bo będzie jeszcze jeden trup.

Lucy zrozumiała, że ma przed sobą jedyną szansę na ratunek.

- Wszystko... w porządku... M...Molly. Tylko panicz Fitch trochę rozrabia. Ty i Sarah idźcie do łóżka, do dużego domu. Nie będę was potrzebowała tego wieczoru.

- Dobrze, panienko - odparła po dłuższej chwili pokojówka.
- Do zobaczenia jutro rano.

- W porządku. - Kilby opuścił nóż - To było bardzo rozsądne z twojej strony.

Lucy modliła się, by Maria zrozumiała, iż zmieniając jej imię i wydając polecenie, dała sygnał, że coś jest nie w porządku. W posiadłości nie było żadnej Sarah i Maria spała przy kuchni, a nie w głównym budynku. Zakładając, że pokojówka zorientowała się w sytuacji, ile czasu może jej zająć sprowadzenie pomocy?

Kilby pociągnął Lucy wzdłuż ściany na lewo, w głąb pokoju. Uderzyła o coś biodrem i krzyknęła z bólu, a Kilby zaklął. Kątem oka dostrzegła, że wpadli na stolik, na którym stała jedyna zapalona świeca.

- Posłuchaj, Fitch - rzucił Kilby. - Bądź dobrym chłopcem i chodź ze mną, a ja ją zostawię w spokoju.

- Nie rób tego, Fitch - wydusiła z trudem Lucy - On kłamie.

Kilby nie zaryzykowałby, że ona zaalarmuje służbę, ani nie zostawiłby świadka.

- Głupia dziwka!

Kilby szarpnął jej głowę w tył, pokój zawirował, gdy próbowała wziąć oddech i się wyrwać.

- Lu!

- Przestań się opierać albo ci potnę twarz, żeby pokazać mu, kto tu rządzi!

Rozluźnił jednak ucisk i przez gardło Lucy napłynął tak potrzebny haust powietrza. Powoli opuściła ręce, próbując zebrać myśli. Musi odwrócić uwagę Kilby'ego, by dać Fitchowi sposobność do ucieczki, nie tracąc przy tym własnego życia. Znów potrącili stolik i ponownie zauważyła, że świecznik się

chwieje. Pożar...

James ujrzał drobną postać przechodzącą przez bramę oddzielającą Hawthorne od parku.

- Milordzie, widzi pan? - spytał go stojący obok Digby.

Gdy opatulona postać zaczęła biec w kierunku domu, James zdrętwiał. Było coś dziwnego w jej ruchach.

- To Maria, poznaję ją. - Lokaj David pomachał jej ręką - Hej, kobieto!

Starał się nie podnosić za bardzo głosu, ale dziewczyna i tak najwyraźniej usłyszała, bo skręciła w ich stronę i puściła się pędem. Kiedy do nich dotarła, ledwie łapała oddech.

- Dzięki Bogu... to pan... milordzie. Dzieje się... coś złego. Na górze były dziwne odgłosy. Zawołałam... a panienska nazwała mnie Molly... Powiedziała, żebyśmy z Sarah poszły spać do dużego domu.

Oparła się o lokaja, wciąż zdyszana.

Jamesa ogarnął strach, a mimo to starał się myśleć logicznie.

- Przecież nie ma u nas żadnej Sarah, a ty masz wyznaczone miejsce do spania w Lodge.

Lucy sięgnęła do stolika i z wolna przesuwała palce po jego gładkiej powierzchni.

- Wypuść ją. - Twarz Fitcha była blada, krew wciąż spływała mu po ramieniu. - Przysięgam, że będę cicho.

Kilby się zaśmiał.

- Kłamliwy szczur. Myślisz, że nie wiem, że zaczniesz się stawiać, jak tylko ona zniknie? - Szarpnął Lucy za ramię, tak

że już nie dotykała stolika. – Nic z tego. Najpierw podejź tu, chłopcze. Potem pozwolę jej odejść.

Znowu namacała stolik i modliła się, by Kilby nie wyczuł ruchu jej ramienia, gdy palcami muskała lichtarz.

Przerażony James, zdjęwszy buty i uważając na każdy krok, skradał się po ciemnych schodach. W ślad za nim posuwali się uzbrojeni służący. Krok po kroku, trzymając się blisko ściany, szli na górę...

Oby tylko podłoga nie zaskrzypiała, modlił się w duchu, obym zdążył na czas. Szukał sprawiedliwości i zemsty, a tymczasem uruchomił istną lawinę zdarzeń, która mogła pochłonąć Lucy. Jeżeli ona i Fitch zginą... Odpędził tę myśl, pozwalając lodowatej furii zdominować wszechogarniający go strach.

– Podejź, Fitch. – Nieznajomy kulturalny głos zabrzmiał jak przyjacielska zachęta.

James zamarł i dał sygnał, by służący znieruchomieli.

– Dokładnie tak. Trochę bliżej, to ją wypuszczę.

– Dajesz słowo? – Głos chłopca trochę się łamał.

– Fitch! Nie! – rozległo się wołanie Lucy.

James odetchnął z ulgą. Oboje żyją!

– Zamknij się, dziuro!

Mężczyzna już nie mówił spokojnie, lecz groził ostrym tonem.

James przysunął się bliżej i usłyszał zduszony krzyk Lucy. Dźwięk dochodził z lewej strony otwartych drzwi, przez które ujrzał Fitcha, ale nie widział ani Lucy, ani napastnika... Dając znak swoim ludziom, by nadal się nie ruszali, James cał po calu

zaczął przemierzać podest.

W pewnym momencie dostrzegł, że Fitch skierował wzrok na otwarte drzwi i zrobił krok w kierunku miejsca, w którym musiał stać napastnik.

- Nawet nie myśl o drzwiach, Fitch - wycedził mężczyzna. - Ona zginie, zanim zdążysz przez nie przejść. Chodź tu. Dobrze, jeszcze jeden krok.

- Jak mam podejść bliżej, to zabierz nóż z jej gardła.

James zauważył, że wzrok Fitcha się po nim prześlizgnął i poszybował w bok.

- Widzisz? Opuściłem ostrze. Teraz już jej nie dotyka. Podejdź, Fitch. Byłeś najlepszy, jakiego miałem. Zrobię to szybko przez wzgląd na starą znajomość.

Chłopiec postąpił kolejny krok.

- Może najpierw zgasisz ten pożar, Kilby?

- Co takiego? A to suka!

Ryk wściekłości przerodził się w wycie, po którym rozległ się kobiecy krzyk i odgłos upadku.

- Teraz! - rzucił James i wpadł do pokoju, trzymając w dłoni pistolet.

Lucy leżała na podłodze, próbując się podnieść. Kilby się kręcił, oklepując płonące ubranie, w nadziei że uda mu się ugasić ogień. Fitch dał nura po upuszczony nóż. Podniósł go i okręcił się na pięcie. W oczach miał morderczą determinację.

- Fitch! Nie!

Na krzyk Jamesa chłopak się zawahał. Kilby, na darmo usiłując ugasić ogień, zaczynał wrzeszczeć. James uniósł

pistolet i wystrzelił. Kilby zrobił kilka chwiejnych kroków i stanął. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a na piersi wykwitła czerwona plama. Przez chwilę kołysał się, po czym z hukiem runął w sam środek płomieni.

- Do diabła! - James ściągnął narzutę z łóżka, rzucił ją na palące się ciało, próbując z pomocą Digby'ego zdusić ogień.

Jeden ze stajennych chwycił prześcieradło i pomógł owinąć w nie zwłoki. Fitch, nie wypuszczając noża z dłoni, patrzył, jak gaszono pożar. Lucy wygramoliła się do pozycji siedzącej, a James poczuł, jakby jego serce wróciło znów na właściwe miejsce. Wstał i zwrócił się do chłopca:

- Jestem ci dozgonnie wdzięczny, Fitch - powiedział drżącym głosem.

Pomyślał, że nigdy nie zapomni o tym odważnym chłopcu, zmuszonym wybierać między ocaleniem Lucy a śmiercią.

- To zasługa Lu - powiedział Fitch, nie spuszczając wzroku z Jamesa. - To ona go podpaliła. - Światło tańczyło na ostrzu noża, którego nadal nie odrzucił. - Miałem go zabić dla Lu.

James zauważył, że chłopiec cały drży. Bardzo powoli ujął jego chudy nadgarstek, wy dobył nóż z zaciśniętej pięści i podał stajennemu.

- Wiem - odparł James. Zastrzeliłem bezbronnego człowieka, pomyślał, by temu zapobiec. Miał tylko nadzieję, że uzyska rozgrzeszenie.

- To moja wina - stwierdził Fitch. - Powiniennem wiedzieć...

- Nie! - Lucy w rozdartej koszuli nocnej, potargana, była już przy nich. - Mogłeś ocalić siebie. Wydostać się przez okno, zanim weszłam do pokoju. Zostałeś, bo wiedziałeś, że wtedy

mnie zabije. - Chwyliła chłopca za ramiona i potrząsnęła nim.
- Zostałeś! Odwróciłeś jego uwagę!

James położył mu rękę na ramieniu.

- Fitch, w niczym nie zawiniłeś, to ja ponoszę winę. Ty i Lucy nawzajem uratowaliście sobie życie.

Fitch patrzył na Jamesa.

- Pan? Co pan przez to rozumie?

- Ostrzegano mnie, że Kilby nie toleruje zdrajców. Powinienem zdawać sobie sprawę, że po ciebie przyjdzie. Wybaczysz mi?

Fitch zmarszczył czoło, a po chwili namysłu odrzekł:

- Dobra. Oddał pan niezły strzał z pistoletu. Chętnie nauczyłbym się strzelać. Umiem niezłe rzucać nożem, ale Kilby zranił mnie w rękę.

Do rozmowy włączył się Digby.

- Poradzimy sobie z tym, chłopcze. Będzie mnóstwo czasu, żeby jego lordowska mość nauczył cię strzelać, gdy ręka się zagoi. - Spojrzał na Jamesa i na Lucy. - Kiedy pan wróci do rezydencji, ja się nim zaopiekuję. Mam u siebie wystarczająco dużo miejsca. - Wskazał na zwłoki Kilby'ego - Zabierzcie to stąd, chłopaki.

Kilby już nikogo nie mógł skrzywdzić, ale jeśli Digby weźmie Fitcha na noc, pomyślała Lucy, co uważała za dobry pomysł, to ona zostanie tu całkiem sama.

- Słusznie.

Wyraźny, zdecydowany głos Jamesa był dla niej ostatnim ostrzeżeniem. Chwilę później chwycił ją na rękę.

- Co ty zamierzasz? - zapytała zdziwiona.

- Zaniosę cię do domu - odparł i ruszył w kierunku otwartych drzwi.

Ponad ramieniem Jamesa Lucy dostrzegła uśmiech na twarzy Digby'ego.

- Ale nie możesz! To znaczy...

- Nie będziesz mówiła mi, co mogę, a czego nie mogę. -
Dotarli do schodów. - Nie zostaniesz tu na noc. Koniec
i kropka!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Musiał porozmawiać z Lucy, wyjaśnić jej kilka istotnych kwestii, lecz zabrakło mu słów. Dopiero wtedy, kiedy niosąc ją na rękach, dotarł do swojego apartamentu i zatrzasnął nogą drzwi, udało mu się zebrać myśli. Tutaj jest jej miejsce, przy mnie, i to na zawsze, orzekł w duchu. Spostrzegł zdumionego pokojowego, stojącego przy drzwiach do garderoby i przebieralni.

- Wyjdź! - polecił mu James.

Wystarczyło jedno słowo, by Marsham natychmiast zamknął za sobą drzwi garderoby. James przeszedł przez pokój, by postawić Lucy na podłodze.

Rozejrzała się z podziwem i spytała:

- To twoja sypialnia?

- Tak. - James zrzucił z ramion pelerynę i cisnął ją na podłogę.

- Nie powinnam tu przebywać - powiedziała Lucy.

- Przeciwnie - zaproponował, ściągając z szyi fular i posyłając go na podłogę, w okolice peleryny. Nie spuszczał przy tym wzroku z jej zarumienionej twarzy.

Chciała dodać, że łóżko i sypialnia pana domu są przeznaczone dla jego żony, a ona ma być tylko kochanką.

- Ale...

Uciszył ją zachłannym pocałunkiem, dając wyraz

płomiennemu

pożądaniu. Lucy ogarnęła nie mniej gwałtowna namiętność.

- Tu jest twoje miejsce.

Usta Jamesa zostawiały ognisty ślad na jej szyi. Zadrżała, gdy niecierpliwie rozpinał jej koszulę nocną, i pokrywał pocałunkami odsłonięte ciało, a ona pojękiwała z rozkoszy.

- Tutaj - dodał pomiędzy pocałunkami - a dokładnie w moim łóżku. Tu chcę cię kochać.

Ściągnął koszulę z Lucy i ułożył ją na szerokim łóżku. Miedziane fale opadły jej luźno na ramiona, kremowe krągłe piersi wieńczyły delikatne różowe sutki, miękkie usta, których słodycz już poznał, były rozchylone. Owładnięty pożądaniem, szybko zaczął się rozbierać. Pochylił się i pocałował Lucy w usta. Oddała pocałunek i przyciągnęła go do siebie, dając znak, że pragnie jego dotyku. Przesuwał dłonie po jej ciele tak zachłannie, jakby szukał potwierdzenia, że jej nie stracił. Nie szczędził pieścizot i odnalazł ją gotową na jego przyjęcie.

- Jesteś moja - wyszeptał - a ja twój, kochanie.

James zostawił Lucy śpiącą smacznie w łóżku. Ubrał się i poszedł do stajni. Panował tam spory ruch. Stajenni tam i z powrotem biegali z taczkami i miotłami, a także dokarmiali konie. Pochylony Digby sprawdzał kopyta kasztanka, lecz wyprostował się, gdy spostrzegł Jamesa.

- Dzień dobry, milordzie. - Spojrzał znacząco na swojego pana i usta mu drgnęły. - Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję - odparł James.

Mógł mieć pretensje tylko do siebie, że cały jego personel wiedział, co się święci. Digby znał go na tyle dobrze, by złożyć

w całość tę układankę.

- Młody Fitch pomógł Marii wczesnym rankiem przenieść rzeczy panny Lucy do rezydencji, milordzie. Z tego, co mówił, zanieśli wszystko do pokoju pani hrabiny. Moje gratulacje. Poświęcił pan trochę czasu na to, prawda?

James zaśmiał się sztucznie.

- Jeszcze jej nie spytałem - wyrwało mu się bezwiednie.

- Aha. - Digby uniósł brwi i zajął się z powrotem kasztankiem. - Wie pan, ale to chyba trochę nie po kolei.

- Chyba tak. Czy Fitch jest w pobliżu?

- Na końcu stajni, czyści Pucka.

Puck był małym walijskim kucem. James trzymał go dla swoich siostrzeńców, by mogli się z nim bawić, kiedy przyjeżdżają w odwiedziny.

- Pomyślałem, że później mógłby spróbować go dosiąść. Wydaje mi się - Digby wziął się za skrobanie kopyta - że chłopak powinien się nauczyć jeździć konno.

- Powinien - przyznał James. - Sam go później zabiorę.

Digby uniósł głowę.

- Wszystko dobrze się składa, milordzie, prawda?

- Tak .

Ludzie mogliby pomyśleć, że postradał zmysły, ale było mu z tym dobrze. Ze wszystkim. Dopóki właśnie tego pragnęła Lucy.

Fitch burczał pod nosem, czyszcząc kopyto kuca.

- Musisz się cały kłaść na mnie? Jakbyś nie miał trzech wolnych nóg!

James zaśmiał się, stojąc oparty o przegrodę.

- Moi siostrzeńcy też się na niego skarżą - powiedział.

Fitch podniósł wzrok i odgarnął zaskakująco czystą czuprynę.

- Tak?

- Wiedzą, jak zajmować się kucem. - James wszedł do boksu, a Puck z nadzieją zaczął obwąchiwać mu kieszenie. - Przykro mi, staruszk. - James pogłaskał jego aksamitny nos. - Następnym razem. - Kiedy przyjeżdżają Toby i Jeremy - zwrócił się do Fitcha - to na zmianę wywożą ściółkę i go czyszczą. Tak jak ty.

Fitch spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Trzyma pan kucyka tylko dla nich?

- Inaczej dobieraliby się do moich koni. Na pewno ich polubisz.

- Dobra.

Jak wytłumaczyć chłopcu zaistniałą sytuację? - zastanawiał się James. Zapytać, czy chce być, kim... dżentelmenem? Wychowankiem?

- Z Lu wszystko w porządku?

W tym momencie Jamesa olśniło. Już wiedział, jak powinien się zachować.

- Ma się dobrze. Spała, kiedy wychodziłem. Mam do ciebie pytanie.

- Tak? - Chłopiec odwrócił się, podniósł miękką szczotkę i zaczął szczotkować bok Pucka. Kucyk zamknął oczy i przeżywał końskie uniesienia.

- Chodzi o Lucy - ciągnął James. Po pozie Fitcha poznał, iż ten uważnie go słucha. - Czy wyrażasz zgodę, żebym poprosił

ją o rękę?

Chłopiec upuścił szczotkę i obrócił się, by spojrzeć na Jamesa.

- Co takiego?

- Chcę ją poprosić...

- To już zrozumiałem - wpadł mu w słowo Fitch. Potknął się, gdy kucyk trącił go łbem. - Nie wiem tylko, dlaczego mnie pan o to pyta. Ona ma przecież ojca.

- Bez wątpienia. Ale pytam ciebie, jej brata.

- Nie jestem...

- Na wszystkie ważne sposoby jesteś - oznajmił spokojnie James. - Masz coś przeciwko moim oświadczeniom?

- Nie, jeżeli ona tego chce.

- Jak mnie przyjmie, staniesz się moim bratem.

- Nie będę jej namawiał tylko dlatego, że mogę zostać pana bratem.

James skwitował jego słowa uśmiechem.

- Wcale na to nie liczyłem, ale jeśli mi odmówi, i tak przysposobię cię na brata.

Fitch schylił się po szczotkę, grzebiąc długo w słomie, podczas gdy Puck dmuchał mu do ucha. Wreszcie się podniósł.

- To znaczy, że pójdę do szkoły. - Skrzywił się, ale spokojnie i delikatnie szczotkował kucyka.

- Tak, ale na początek dostaniesz guwernera.

- A co z kucykiem?

- Będzie czekał, aż zakończysz lekcje. Być może będę musiał kupić jeszcze parkę dla Jeremy'ego i Toby'ego. Trzej chłopcy i jeden kucyk to gotowy problem. - Fitch otarł oczy,

więc James taktownie odszedł ku drzwiom. – Digby chciał ci dawać lekcje konnej jazdy, ale zdecydowałem, że ja się tym zajmę.

– To chyba będzie dobrze. – Fitch powoli pokiwał głową.

– Chyba tak.

– Lepiej wrócę teraz do roboty.

– Przyjdź do domu, jak zgłodniejesz. Będę kręcił się gdzieś w pobliżu. Po prostu spytaj któregoś z lokai.

– A jeżeli nie zdołam się nauczyć?

James odwrócił się.

– Ale czego?

– Czytać i pisać albo... albo nie oduczę się kraść?

– To twoje ryzyko – odparł James. – Co by było, gdybyś wczoraj w nocy uciekł?

– To co innego.

– Nie – zaproponował James. – Z powodu Lucy wzięłeś na siebie całe ryzyko. Położyłeś na szali swoje życie, by ją ocalić.

– Chłopiec pokraśniał. – Czasem trudniej zmienić życie, niż stawić czoło nożownikowi, ale dasz radę.

– Racja. Może pan powiedzieć Lucy, że ma moje błogosławieństwo.

Po śniadaniu służba nie pozwoliła Lucy wrócić do Hawthorne Lodge.

– Polecenie jego lordowskiej mości, panienko. Prosił, żeby panienka tu została.

Czuła się dziwnie w rezydencji, chociaż nikt ze służby nie wydawał się szczególnie zbulwersowany ani jej obecnością, ani tym, że spędziła noc w sypialni ich pana. Starali się

zaspokoić wszystkie jej życzenia. Kiedy spytała, czy może się przejść po ogrodzie, Maria uśmiechnęła się i pokazała jej drogę do stawu z liliami wodnymi.

Lucy usiadła na ławce i błogo westchnęła. Siedzisko było idealnej głębokości i wysokości, oparcie ustawione pod właściwym kątem. W tym spokojnym uroczym zakątku, pod wiśnią, pozwoliła sobie powspominać minioną noc i się zdrzemnąć.

- Moja matka chętnie by cię tu widziała.

Głęboki głos Jamesa wyrwał Lucy z sennych marzeń. Uniosła powieki i z radością powitała jego obecność. Czy można się w kimś coraz bardziej zakochiwać?

- Mogę się przyłączyć?

On o to pyta? To jego dom, ogród, ławka. A ona jest tylko jego kochanką, kobietą, na którą, wbrew zdaniu Jamesa, jego matka spoglądałaby ze zgrozą.

- Oczywiście.

Usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

- Mama kazała zrobić tę ławkę i ustawić posąg Erosa.

- Erosa? Myślałam, że to Kupidyn.

Wyciągnął z kieszeni złożoną i zapieczętowaną kartkę.

- Eros to grecki bóg miłości. Kupidynki są małe i tłuste. - Uśmiechnął się. - Eros jest o wiele groźniejszy. Bliżej mu do Eris, bogini niezgody i chaosu. - Podał jej kartkę - To dla ciebie.

- Co to jest?

James wstał, podszedł do brzegu i odwrócił się do niej plecami.

- Przeczytaj.

Rozpieczętowała list. Poczowała ucisk w piersi, gdy rozpoznała pismo ojca. Ból, gniew i gorycz odżyły w jej pamięci. Musiała przeczytać słowa ojca dwa razy, aby dotarło do niej ich znaczenie, i po raz trzeci, aby zyskać pewność, że to nie głupi żart. Wreszcie udało jej się wykrztusić przez ściśnięte gardło:

- Czytałeś to?

- Nie, ale jestem świadom sedna jego treści.

- Pisze, że miał dobrą passę wczorajszej nocy.

James odwrócił się gwałtownie.

- Dobrą passę?!

- Tak. Wydawało mi się, że wspomniałeś...

- Nieważne. Mów dalej. - Znowu James zwrócił się w kierunku wody.

- Miał dobrą passę i dla mnie przeznaczona wygrana, pięć tysięcy funtów w depozycie, czyli są moje.

- Oczywiście.

Ledwie mogła oddychać, tak była poruszona.

- To oznacza niezależność. Z tego można wyżyć.

- Tak.

Tak? To wszystko, co miał do powiedzenia? Nie rozumie, co to dla niej oznacza? Że jest wolna? Popatrzyła na jego nieruchome plecy i ręce założone do tyłu. A może dobrze wiedział i odetchnął z ulgą?

- Już nie muszę być kochanką, milordzie.

Stanął do niej twarzą.

- Milordzie?

W głosie Jamesa zabrzmiała ostra nuta; miał dziwne

spojrzenie. Lucy wstała z ławki.

- Dzięki tym pieniądzom mogę żyć samodzielnie. Może nie w luksusach, ale niezależnie.

- Lucy. - Mimowolnie zrobił krok w jej stronę.

Zabolała go świadomość, że ją stracił. Cały jego świat legł w gruzach i nic nie mógł na to poradzić. Odważył się mieć nadzieję i przyznać rację Elizabeth, która stwierdziła, iż Lucy oddała się mu z miłości.

- Czy czynsz za Hawthorne Lodge przerasta moje możliwości?

- Czynsz?

Wyglądała na nieco zakłopotaną.

- Wolalabym raczej płacić czynsz. Jeśli jest za wysoki, to pomożesz mi znaleźć coś mniejszego?

- O ile tego sobie życzysz.

- Gdzieś w pobliżu, bo gdybyś chciał mnie odwiedzać...

- Odwiedzać? Lucy, pozwolę ci odejść, jeśli tego sobie życzysz. - Nawet, gdyby miało to mnie zniszczyć, dodał w myśli. - Odwiedzanie cię jako przyjaciel, a nie kochanek byłoby... - Urwał. Torturą? Szaleństwem? Nie, to niemożliwe...

- Będiesz moim kochankiem, jeśli zechcesz.

- Przecież powiedziałaś, że nie musisz być kochanką, więc...- James zastanawiał się, czy aby już nie oszalał.

- Ale mogę mieć kochanka, prawda?

James pojął, że nie chciała być jego utrzymanką, ale w dalszym ciągu pragnęła go jako kochanka. W duszy Jamesa zatlił się promyk nadziei. Podszedł do Lucy i zaciągnął ją na

ławkę pod wiśnią.

- Tak, ale z pięcioma tysiącami zabezpieczonymi w depozycie możesz wyjść za mąż. - Zmusił się, by to powiedzieć.

Zbladła.

- Nie. Tylko nie to. Nigdy.

- Dlaczego, kochanie?

Usta jej zadrżały, gdy chwycił jej dłonie.

- Nawet gdybym była w stanie znowu się zakochać, to czy sądzisz, że mężczyzna mógłby mnie zechcieć z innych powodów niż dla pieniędzy? Wolę zostać sama.

- A co byś powiedziała na małżeństwo z mężczyzną, który cię kocha i ma tyle pieniędzy, że pięć tysięcy funtów nie stanowi dla niego żadnej pokusy?

Świat Lucy zachwiał się w posadach. On nie mógł sugerować tego, o czym pomyślała.

- Nie wiem, czy to pomoże, ale Fitch dał mi swoje błogosławieństwo.

- Fitch?

- Jako najbliższej ci osoby, czyli prawie brata, poprosiłem go o zgodę na oświadczyzny.

- Nie możesz się ze mną ożenić. Wybuchnie skandal!

- Eros ma w nosie skandale - James ucałował dłoń Lucy - i ja też. Chcesz, bym padł przed tobą na kolana?

Nie oczekiwała tego, ale zanim zdążyła wypowiedzieć swoje zdanie, on już klęczał u jej stóp.

- Kochanie, nie męcz mnie więcej i powiedz, że wyjdiesz za mnie.

Kwitnący ogród zaszedł mgłą i zaczął się rozplýwać, ponieważ Lucy patrzyła na otoczenie przez łzy.

- James, to szaleństwo. Nie możesz się ze mną ożenić. Nawet pan Fox będzie przerażony - oponowała, ale splóła palce z jego palcami i nie posiadała się z radości, że ukochany się jej oświadczył.

- Odbieram to jako zgodę. Jeśli martwi cię Fox, to pozwól, że cię uspokoję. Dał mi swoje błogosławieństwo. A nawet gdybym go nie miał, to i tak chciałbym tego małżeństwa, bo cię kocham.

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś. Nawet wtedy, kiedy zalecał się do mnie albo...

- Zalecałem się? - Mocno ścisnął jej palce. - Lucy, ja się do ciebie nie zalecałem, tylko cię uwiodłem. I, owszem, restrykcyjnie pilnowałem się, żeby nie wyznać ci miłości nawet wówczas, gdy ty wyjawiałaś, że mnie kochasz. Wybaczysz mi?

- Czy ci wybaczę? Ale co?

- Uwiodłem cię, wykorzystałem i przez swoją głupotę nie powiedziałem ci, że żywię do ciebie poważne uczucie.

- I chcesz się ze mną ożenić?

- Pragnę tego bardziej niż powietrza.

Uśmiech rozkwitł na ustach Lucy, którą ogarnęła wielka radość.

- Od Elizabeth usłyszałam, że nie wyznasz mi miłości, dopóki naprawdę nie będziesz jej czuł. - Pocałowała go i dodała: - Tak, James, wyjdę za ciebie.

St. Anne's Hill

20 listopada 1802

Drogi Jamesie!

Dziękuję Ci za list. Elizabeth i ja dotarliśmy bezpiecznie do domu po udanym pobycie we Francji. Ubawiła mnie wiadomość, że Twój kuzyn William zaakceptował wreszcie wasze małżeństwo. Nie byłbym wcale zdziwiony, gdyby jego żona i Nick maczali w tym palce. Susan zawsze była osobą rozsądną, a postępowanie Nicka tej wiosny dobitnie świadczy o tym, że będą z niego ludzie.

Na pewno zainteresuje cię, że widzieliśmy Montgomery'ego w Calais. Podobno postanowił zamieszkać w Europie.

Ciesz się też, że Fitchowi tak dobrze idzie nauka i w przyszłym roku będzie mógł pójść do szkoły. Zuch chłopak!

E. dostała od Lucy list, w którym zaprasza nas na Boże Narodzenie do Kornwalii. E. odpowie jej, że z radością przyjedziemy.

Nie będę przytaczał, co jeszcze mówiła, powiem tylko, że cieszę się ogromnie, iż jesteście ze sobą tacy szczęśliwi i że uświadomienie sobie wartości tego, co posiadasz, nie zajęło Ci tyle czasu co mnie

Twój oddany przyjaciel, Fox.

[1] Charles James Fox (1749-1806) - prominentny polityk Partii Wigów, popierał zniesienie niewolnictwa, niepodległość Stanów Zjednoczonych i rewolucję francuską. Zwolennik równouprawnienia katolików. Wybitny mąż stanu, wspaniały mówca, postać niezwykle barwna (*przyp. tłum.*).

[2] Elizabeth Armistead (1750-1842) - obracająca się wśród najwyższych sfer kurtyzana, kochanka m.in. księcia Walii, późniejszego króla Jerzego IV. W 1795 r. poślubiła potajemnie wieloletniego przyjaciela Charlesa Jamesa Foksa, lecz fakt ten ujawnili dopiero w roku 1802. Zmarła w wieku lat 92, otoczona sympatią i szacunkiem (*przyp. tłum.*).

[3] Vauxhall Gardens - istniejące do 1859 r. londyńskie ogrody publiczne z kawiarniami, restauracją, salonem muzycznym i salą balową (*przyp. tłum.*).

[4] Teoria głosząca, że władza królewska pochodzi od Boga, a królów nie obowiązują prawa ludzkie (*przyp. tłum.*).

Tytuł oryginału: In Debt to the Earl
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2016
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Barbara Syczewska-Olszewska
Korekta: Lilianna Mieszczkańska

© 2016 by Elizabeth Rolls
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3207-4

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.